

ROZDZIAŁ 1

Jeśli idzie o Briana Donnelly'ego, to mściwa kobieta wymyśliła krawat, który włożyła mu na szyję, dławiąc go, aż stał się taki słaby, że mogła chwycić za koniec krawata i poprowadzić mężczyznę, dokąd tylko chciała. Czuł się w tym jarzmie stłamszony, podenerwowany i trochę niezręczny.

Ciasne krawaty, lśniące buty i pełna godności postawa liczyły się w wytwornych klubach podmiejskich z gładkimi błyszczącymi podłogami, kryształowymi żyrandolami i wazonami pełnymi kwiatów, które wyglądały, jak gdyby wyhodowano je na Wenus.

Wolałby raczej być w stajni, na torze lub w dobrym zadymionym pubie, gdzie można palić cygara i mówić bez ogródek to, co się myśli. Tam spotykają się mężczyźni w interesach.

Travis Grant płacił duże pieniądze za sprowadzenie go z Kildare do Ameryki.

Trenowanie koni wyścigowych oznaczało rozumienie ich, pracę z nimi. Ludzie są, oczywiście, niezbędni, ale pośrednio. Podmiejskie kluby są dla posiadaczy oraz dla bywalców torów wyścigowych, którzy traktują to jako hobby albo źródło zysku i prestiżu.

Jeden rzut oka powiedział Brianowi, że większość obecnych na sali - kobiet w lśniących sukniach i mężczyzn w czarnych krawatach - nie spędziło nigdy ani chwili na przerzucaniu nawozu.

Jeśli jednak Grant chciał przekonać się, czy Brian poradzi sobie w eleganckim otoczeniu, czy wtopi się w wyższe sfery, proszę bardzo, zrobi to. Nie dostał jeszcze tej pracy, a chciał ją mieć.

Royal Meadows Tralisa Granta znajdowała się w czołówce stadnin, hodujących konie czystej krwi. W ciągu ostatniej dekady zdobywała coraz wyższą pozycję na świecie. Brian zobaczył amerykańskie konie podczas wyścigów w Kildare. Wszystkie były przepiękne. Ostatniego widział zaledwie kilka tygodni temu, gdy trzylatek, którego trenował, wyprzedził o łeb konia ze stadniny w Marylandzie.

To wystarczyło, by zdobyć główną nagrodę, w której miał swój udział jako trener. Co więcej, dzięki temu Brian Donnelly zwrócił na siebie uwagę wielkiego pana Granta.

I tak znalazł się tutaj, na zaproszenie samego Granta, w Ameryce, na jakiejś eleganckiej gali w wytwornym klubie, gdzie wszystkie kobiety pachniały bogactwem, a po wszystkich mężczyznach było je widać.

Muzyka mu się nie podobała, była nudna, nie budziła w nim żadnych żywych uczuć, ale przynajmniej zajął miejsce, skąd miał doskonały widok na to, co się dzieje, i stał, popijając swoje ulubione piwo. Jedzenia było w bród, a potrawy równie wymyślne i eleganckie jak ludzie, którzy jedli je od niechcienia. Pary na parkiecie tańczyły z większą godnością niż z entuzjazmem, co, zda-

niem Briana, było nie do przyjęcia, ale czy można ich winić, skoro orkiestra miała w sobie tyle życia co rozmiękła paczka chipsów?

Mimo to przyglądanie się rzucającym błyski klejnotom i skrzącym się kryształom stanowiło całkiem nowe doświadczenie. Jego szef w Kildare nie miał zwyczaju zapraszać swoich pracowników na przyjęcia.

Stary Mahan był facetem w porządku, pomyślał Brian. I Bóg świadkiem, jak bardzo kochał swoje konie - dopóki znajdowały się w kręgu zwycięzców. A jednak Brian bez chwili wahania rzucił pracę, gdy zarysowała się przed nim nowa szansa.

Cóż, jeśli nie uda mu się z Grantem, znajdzie inne zajęcie. Postanowił spędzić trochę czasu w Ameryce. A gdy się okaże, że Royal Meadows nie są jego biletem, znajdzie inny.

Podróże sprawiały mu przyjemność, a ponieważ wiedział, kiedy spakować manatki i ruszyć w drogę, zdołał się zatrudnić w najlepszych stadninach w Irlandii.

Nie widział powodu, żeby nie postępować tak samo w Ameryce. Co za różnica, pomyślał. To wielki, rozległy kraj.

Upił łyk piwa i uniósł brwi, gdy do sali wszedł Travis Grant. Brian poznał go bez trudu, jak również jego żonę, Irlandkę. Przypuszczał, że miała ona swój udział w tym, że wylądował na tym stanowisku.

Travis Grant był wysoki, potężnie zbudowany, czarne włosy mocno przyprószyła siwizna. Jego twarz o zdecydowanych rysach ogorzała od przebywania na świeżym powietrzu. Filigranowa, szczuplutka żona wyglądała przy

nim jak elf. Jej gęste kasztanowate włosy lśniły niczym sierść konia czystej krwi.

Trzymali się za ręce.

Było to dla niego zaskakujące. Jego rodzice spędzili czwórkę dzieci i stanowili zgodne stadło, nigdy jednak nie okazywali swoich uczuć publicznie, nie czynili nawet takich drobnych gestów jak trzymanie się za ręce.

Za nimi szedł młody mężczyzna, bardzo podobny do ojca - Brian pamiętał go z toru w Kildare. Brandon Grant, przyszły dziedzic fortuny. Widać było, że czuje się swobodnie, podobnie jak elegancka blondynka, uwieszona na jego ramieniu.

Brian wiedział, że Grantowie mają pięcioro dzieci - musiał wiedzieć o takich rzeczach. Córka, jeszcze jeden syn i dwójka bliźniaków różnej płci. Nie spodziewał się, że młodzi, którzy dorastali w luksusowych warunkach, będą się zbytnio przejmowali codziennym prowadzeniem stadniny.

A potem wbiegła ona, śmiejąc się perliście.

Poczuł, że coś go ścisnęło w żołądku, drgnęło w pierśsi. Przez chwilę poza nią nie widział niczego i nikogo. Miała delikatną budowę i twarz pełną wyrazu. Nawet z daleka widział, że jej oczy są błękitne jak jeziora w jego rodzinnym kraju. Ognistorude włosy, opadające falami na jej nagie ramiona, sprawiały wrażenie gorących w dotyku.

Serce załomotało mu mocno, gwałtownie.

Miała na sobie coś zwiewnego w kolorze niebieskim, jaśniejszym o ton od jej oczu. W uszach skrzyły się zapewne brylantowe kolczyki.

Nigdy w życiu nie widział kogoś tak pięknego, tak doskonałego, a zarazem tak nieosiągalnego.

W gardle mu zaschło, podniósł do ust szklanę z piwem i zauważył z niesmakiem, że dłoń mu lekko drży.

To nie dziewczyna dla ciebie, Donnelly, przypomniatł sobie. Nie masz co o niej nawet marzyć. To z pewnością najstarsza córka szefa. Istna księżniczka.

Gdy prowadził ze sobą tę wewnętrzną rozmowę, do dziewczyny podszedł opalony mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze. Podała mu rękę tak chłodno, tak powściągliwie, że Brian uśmiechnął się szyderczo - dzięki czemu poczuł się znacznie swobodniej, niż gdy wybałuszał oczy.

O tak, bez wątpienia była królewska. I wiedziała o tym.

Weszli kolejni członkowie rodziny. To z pewnością bliźnięta, pomyślał Brian, Sara i Patrick. Stanowili ładną parę, oboje wysocy i smukli, o kasztanowatych włosach. Dziewczyna, Sara, śmiała się, gestykulując żywo.

Cała rodzina podeszła do księżniczki, skutecznie - być może celowo - odsuwając od niej mężczyznę, który składał jej hołd. On jednak należał do wytrwałych, wyciągnął rękę i położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i skinęła głową.

Jest na jej rozkazy, pomyślał Brian, gdy mężczyzna gdzieś się oddalił. Kobieta jej pokroju jest zapewne przyzwyczajona do odprawiania mężczyzn lub do trzymania ich krótko. Umie sprawić, że każdy z nich jest wdzięczny niczym pies za najbardziej nawet zdawkowe klepięcie.

Ponieważ ta ostatnia konkluzja uspokoiła go, Brian pociągnął łyk piwa i odstawił szklanę. Postanowił, że to

równie dobra chwila jak wszystkie inne, by podejść do wspaniałych Grantów.

- Potem dzieliła go laską pod kolana - mówiła dalej Sara - tak mocno, że upadł twarzą w kwiaty werbeny.

- Jeśli to była moja babka - wtrącił Patrick - przenoszę się do Australii.

- Z pewnością Will Cunningham zasługuje zwykle na baty. Niejeden raz miałam sama ochotę spuścić mu lanie. - Adelia Grant rozejrzała się dookoła i napotkała spojrzenie Briana. - A więc udało się panu, prawda?

Ku jego zdziwieniu, wyciągnęła do niego obie ręce, ujęła serdecznie jego dłonie i pociągnęła go do rodzinnego kółka.

- Wygląda na to, że tak. To prawdziwa przyjemność widzieć panią znowu, pani Grant.

- Mam nadzieję, że podróż przebiegła sympatycznie.

- Spokojnie, co jest równie dobre. - Ponieważ rozmowa towarzyska nie należała do jego mocnych stron, odwrócił się do Travaisa i skłonił głowę. - Dobry wieczór panu.

- Dobry wieczór, Brianie. Miałem nadzieję, że zjawisz się tu dzisiaj. Poznałeś Brandona?

- Tak. Czy postawił pan coś na tego trzylatka, o którym panu mówiłem?

- Jasne, a ponieważ wypłata była pięć do jednego, winien ci jestem drinka. Co ci mogę zaproponować?

- Piłem już piwo, dziękuję.

- Z której części Irlandii pochodzisz? - spytała Sara. Ma oczy matki, pomyślał Brian. Zielone, o ciepłym wyrazie, ciekawe.

- Z Kerry. Ty jesteś Sara, prawda?

- Tak. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - To mój brat Patrick i moja siostra Keeley. Brakuje do kompletu Brady'ego, który wyjechał już na uczelnię.

- Miło mi cię poznać, Patricku. - Z rozmysłem skłonił minimalnie głowę w stronę Keeley w czymś, co można było uważać za ukłon. - Dobry wieczór, panno Grant.

Uniosła wąskie brwi wystudiowanym gestem.

- Witam, panie Donnelly. Och, dziękuję, Chad. - Wzięła od mężczyzny kieliszek szampana i dotknęła przelotnie dłonią jego ramienia. - Chad Stuart, Briafi Donnelly z Kerry. To w Irlandii - dodała z lekką ironią.

- Aha. Czy jest pan krewnym pani Grant?

- Niestety, nie mam tego zaszczytu. Jest nas kilku Irlandczyków rozproszonych po kraju, którzy nie są ze sobą spokrewnieni.

Patrick parsknął śmiechem, zasługując sobie na ostrzegawcze spojrzenie matki.

- No cóż, jak zwykle robimy tu sztuczny tłok. Przenieśmy się do naszego stołu. Mam nadzieję, że przyłączysz się do nas, Brianie.

- Może zatańczymy, Keeley? - spytał Chad, stając z miną posiadacza u jej boku.

- Chętnie - rzuciła z roztargnieniem, idąc w stronę stołu. - Trochę później.

- Proszę uważać - powiedział Brian, ujmując lekko jej łokieć - bo jeszcze poślizgnie się pani na odłamkach serca, które właśnie pani złamała.

Zmierzyła go spojrzeniem od góry do dołu.

- Bardzo pewnie stąpam po ziemi - odparła, siadając między dwoma braćmi.

Ponieważ poczuł jej zapach - subtelnie seksowny, a jednocześnie wytworny - zadbał o to, by usiąść naprzeciwko niej. Posłał jej krótki uśmiech, a następnie pozwolił, żeby zabawiała go Sara, która już zaczęła rozmowę na temat koni.

On mi się nie podoba, pomyślała Keeley, sącząc szampana. Wszystko w nim jest jakieś trochę przesadzone. Oczy zbyt zielone, o ton ciemniejsze od oczu jej matki. Spojrzenie tak ostre, że mógłby nim przeciąć przeciwnika na pół. I czuła, że bawiłoby go to. Włosy brązowe, ale nie w spokojnym odcieniu, lecz przetykane złotymi pasemkami, zbyt długie, opadające na kołnierzyk, wijące się wokół twarzy.

Ostre rysy, ledwie widoczny dołek w brodzie, ładnie wykrojone usta, zdaniem Keeley trochę zbyt zmysłowe.

Pomyślała, że jest zbudowany jak kowboj - długonogi, szczupły, długoreki. Garnitur i krawat zupełnie do niego nie pasowały.

Denerwował ją sposób, w jaki się w nią wpatrywał. Nawet kiedy nie patrzył, miała uczucie, że wlepia w nią wzrok. Jak gdyby czytając w myślach dziewczyny, Brian spojrzał jej w oczy. Uśmiechnął się leniwie, bez wątpienia bezczelnie. Miała ochotę go zbesztać, ale się pohamowała. Wstała i poszła niespiesznym krokiem do toalety.

Nie zdążyła jeszcze wejść do środka, gdy Sara wpadła za nią jak pocisk.

- Boże! Czyż on nie jest szałowy?
- Kto?

- Daj spokój, Keeley. - Sara zajęła jeden z miękkich stołków przed lustrem, wyraźnie zamierzając uciąć dłuższą pogawędkę. - Oczywiście Brian. Jest taki seksowny. Przyjrzałaś się jego oczom? Cudowne. I te usta - człowiek ma ochotę przyssać się do nich. Poza tym ma fantastyczny tyłek. Wiem, ponieważ specjalnie szłam za nim, żeby to sprawdzić.

Keeley wybuchnęła śmiechem i usiadła obok siostry.

- Po pierwsze, łatwo przewidzieć twoje reakcje. Po drugie, jeśli tata usłyszy, że mówisz w taki sposób, odeśle tego faceta pierwszym samolotem do Irlandii. I po trzecie, nie przyglądałam się jego tyłkowi ani w ogóle niczemu.

- Kłamczucha. - Sara wsparła łokcie na blacie, gdy tymczasem siostra wyjęła z torebki szminkę. - Widziałam, jak otaksowałaś go znanym spojrzeniem Keeley Grant.

Rozbawiona Keeley podała Sarze szminkę.

- Wobec tego powiem ci, że wcale mi się nie spodobało to, co zobaczyłam. Prymitywny i w dodatku dumny z tego - zdecydowanie nie w moim guście.

- A w moim tak. Gdybym nie wyjeżdżała w przyszłym tygodniu do college'u...

- Ale wyjeżdżasz - przerwała jej Keeley. - Poza tym on jest dla ciebie zdecydowanie za stary.

- To nie przeszkadza w małym flircie.

- Który już zresztą zaczęłaś.

- Dla zrównoważenia twojego królewskiego chłodu. „Och, witaj, Chad”. - Sara zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem i podniosła dłoń wdzięcznym ruchem.

Komentarz Keeley był krótki, niegrzeczny i sprowokował wybuch śmiechu Sary.

- Poczucie godności nie jest wadą - nie dawała za wygraną Keeley, mimo że sama z trudem powstrzymywała się od śmiechu. - Tobie też przydałoby się go trochę.

- Ty masz go dość za nas obie. - Sara zeskoczyła ze stołka. - Idę sprawdzić, czy uda mi się zwabić irlandzkiego przystojniaka na parkiet. Założę się, że wspaniale tańczy.

- Jasne - mruknęła Keeley, gdy siostra zniknęła za drzwiami. - Nie mam co do tego wątpliwości.

Oczywiście jej nie interesowało to ani trochę.

Zresztą w chwili obecnej mężczyźni nie mieścili się w ogóle w kręgu jej zainteresowań. Miała swoją pracę, stadninę, rodzinę. Dzięki temu była stale zajęta i szczęśliwa. Życie towarzyskie - świetnie, myślała, interesujący towarzysz przy kolacji - wspaniale, podobnie zresztą jak wypad do teatru czy na jakąś uroczystość, ale nic poza tym.

Była po prostu zbyt zajęta, by zawracać sobie głowę takimi sprawami. Jeśli z tego powodu sprawiała wrażenie wyniosłej i chłodnej, to co? Jej serce było zawsze miękkie jak wosk dla Sary. Ale, pomyślała, wstając, jeśli jej ojciec zatrudni Donnelly'ego, w przyszłym tygodniu będzie miała na oku jego oraz swoją małą siostrzyczkę.

Zaledwie zdążyła wyjść z toalety, u jej boku natychmiast pojawił się Chad, prosząc o taniec. Ponieważ miała świeżo w pamięci słowa Sary, uśmiechnęła się do niego na tyle ciepło, że oczy mu rozbłyły i porwał ją ochoczo na parkiet.

Brian nie miał nic przeciwko tańcowi z Sarą. Mężczyzna, któremu nie sprawiałoby przyjemności trzymanie w ramionach ślicznej młodej dziewczyny i słuchanie jej paplaniny, byłby doprawdy godzien pożałowania.

Uważał ją za urocze dziecko, cudownie niezspsute i przyjazne jak szczeniak. Po dziesięciu minutach wiedział, że zamierza studiować weterynarię, kocha muzykę irlandzką, złamała rękę, spadając z drzewa, gdy miała osiem lat, oraz że jest urodzoną i pełną wdzięku flirciarą.

Taniec z Adelią Grant był czystą przyjemnością. Słyszał w jej głosie melodię swojego kraju, czuł jej życzliwy stosunek do siebie.

Rzecz jasna, wysłuchał opowieści, jak to przyjechała do Ameryki, do Royal Meadows, by zamieszkać u wuja, Patricka Cunnane'a, który był w tamtych czasach trenerem u Tralisa Granta. Została zatrudniona w charakterze stażennego, ponieważ odziedziczyła po wuju dobrą rękę do koni.

Jednakże prowadząc po parkiecie tę drobną elegancką kobietę, Brian puszczał te opowieści mimo uszu. Nie potrafił wyobrazić jej sobie wyrzucającej gnój z przegrody - podobnie jak jej ślicznych córek.

Zycie towarzyskie nie jest takie straszne, przyznał, jeździu też nie można nic zarzucić, choć wolałby dobrą kanapkę z pieczenia wołową. W każdym razie było go w bród, nawet jeśli trzeba było długo szukać, by znaleźć coś znajomego.

Choć jednak wieczór nie okazał się tak ciężką próbą, jak się spodziewał, był zadowolony, gdy Travis zaproponował, by wyszli nieco się przewietrzyć.

- Ma pan przemiłą rodzinę, panie Grant.

- Tak. I bardzo hałaśliwą. Mam nadzieję, że nie stracił pan słuchu po tańcu z Sarą.

Brian uśmiechnął się, lecz zachował ostrożność.

- Jest urocza i bardzo ambitna. Weterynaria to trudny wydział, zwłaszcza jeśli ktoś wybiera jako specjalizację konie. Nigdy nie ciągnęło jej do innych studiów - mówił dalej Travis, gdy szli szeroką ścieżką z białego kamienia. - Oczywiście, musiała przejść przez kolejne etapy. Balerina, astronautka, gwiazda rocka. Ale tak naprawdę zawsze chciała zostać weterynarzem. Będzie mi jej brakowało, jak również Patricka, kiedy wyjadą w przyszłym tygodniu do college'u. Przypuszczam, że pańska rodzina będzie również tęskniła za panem, jeśli zostanie pan w Ameryce.

- Od pewnego czasu jestem stale w podróży. Jeśli osiedlę się w Ameryce, nie będzie to stanowiło problemu.

- Moja żona tęskni za Irlandią - powiedział cicho Travis. - Częśćka jej pozostała tam, niezależnie od tego, jak głęboko zapuściła korzenie tutaj. Rozumiem to. - Umilkł i przyjrzał się twarzy Briana w smudze światła. - Kiedy angażuję trenera, oczekuję, że jego umysł i serce będą tu, w Royal Meadows.

- To zrozumiałe, panie Grant.

- Kręciłeś się tu i ówdzie, Brianie - dodał Travis. - Spędziłeś dwa, góra trzy lata w jednej stajni, a następnie zmieniałeś miejsce pobytu.

- To prawda. - Brian skinął głową, patrząc mu prosto w oczy. - Można powiedzieć, że nie znalazłem dotąd miejsca, które zatrzymałoby mnie na dłużej. Dopóki jestem tutaj, ta stadnina, te konie mogą liczyć na moją całkowitą lojalność i oddanie.

- Tak mi mówiono. Mam duże wymagania. Nikt od czasu przejścia na emeryturę Paddy'ego Cunnane'a w peł-

ni mnie nie zadowolił. To on zasugerował mi, żebym ci się przyjrzał.

- Pochlebia mi to.

- I słusznie. - Travisowi spodobało się, że widzi na twarzy Briana jedynie umiarkowane zainteresowanie. Cenił mężczyzn, którzy potrafią panować nad swymi reakcjami. - Chciałbym, żebyś przyjechał do stadniny, kiedy się urządzisz.

- Jestem już wystarczająco urządzony. Wolałbym pojechać od razu, jeśli nie robi to panu różnicy.

- Cieszę się.

- Świetnie. Stawię się jutro na poranny trening, żeby zobaczyć, jak pan to robi, panie Grant. Zorientuję się, czym pan dysponuje, i powiem panu, co o tym myślę. To pozwoli nam poznać wzajemnie nasze oczekiwania. Czy to panu odpowiada?

Pewny siebie, nawet za bardzo, pomyślał Travis, ale nie uśmiechnął się. On też potrafił panować nad reakcjami.

- Całkowicie. Wróćmy do środka, postawię ci piwo.

- Bardzo dziękuję, chyba jednak pojedę już do hotelu. Niedługo zacznie świtać.

- Wobec tego do zobaczenia jutro. - Travis uściśnął mu energicznie dłoń. - Czekam z niecierpliwością.

- Ja również.

Gdy Brian został sam, wyjął cienkie cygaro, zapalił je i wypuścił długą smugę dymu.

To Paddy Cunnane go zarekomendował... Ta myśl powodowała ściskanie w żołądku, zarówno z radości, jak i zdenerwowania. Powiedział Travisowi, że mu to pochle-

bia, ale prawdę mówiąc byt wstrząśnięty. W tym świątku jego nazwisko wymawiano z wielkim nabożeństwem.

Paddy Cunnane miał na swoim koncie ogromną liczbę zwycięskich koni, a trenowanie ich było dla niego bulką z masłem.

Spotkał tego człowieka zaledwie kilka razy w życiu, a rozmawiał z nim tylko raz. Brian nie przypuszczał, że Paddy Cunnane zwrócił na niego uwagę.

Travis Grant chciał zatrudnić kogoś, kto dorównałby Paddy'emu. Cóż, Brian Donnelly z pewnością tego nie zdoła zrobić, ale potrafi pokazać, na co go stać, i udowodni, że jest dobry.

Jutro rano poznają nawzajem swoje oczekiwania i wymagania.

Ruszył ścieżką w stronę wyjścia, gdy jakiś cień przysłonił światła. To Keeley rozsunęła szklane drzwi i wyszła na taras wyłożony płytami kamiennymi.

Taka chłodna, samotna i doskonała, pomyślał Brian, patrząc na nią. Stworzona dla blasku księżyca. Albo blask księżyca został stworzony dla niej. Delikatny powiew igrał materiałem błękitnej sukni, gdy pochyliła się, by powąchać rdzawe i złotawe kwiaty rosnące w dużej kamiennej misie.

Pod wpływem impulsu zerwał z krzewu jedną z rozkwitłych róż i wszedł na taras. Keeley odwróciła się, słysząc odgłos jego kroków. W pierwszej chwili w jej oczach pojawiła się irytacja, opanowała się jednak błyskawicznie i gdyby Brian nie był taki skoncentrowany na niej, pewnie by tego nawet nie zauważył. Dziewczyna pokryła wszystko chłodną uprzejmością

- Panie Donnelly...

- Panno Grant - powiedział równie oficjalnym tonem, podając jej różę. - Te kwiaty są zbyt skromne dla pani. Róża pasuje lepiej.

- Doprawdy? - Wzięła od niego różę, by nie zachować się niegrzecznie, nie spojrzała jednak na nią ani jej nie powąchała. - Lubię proste kwiaty, ale dziękuję panu za miły gest. Jak spędził pan wieczór?

- Cieszę się z poznania pani rodziny.

Ponieważ zabrzmiało to szczerze, Kecley złagodniała na tyle, że się uśmiechnęła.

- Nie poznał pan jeszcze wszystkich.

- Słyszałem, że brat pani wyjechał do college'u.

- Brady, owszem, ale są jeszcze moja ciotka i wuj, Erin i Bart Loganowie, oraz trójka ich dzieci. Mieszkają po sąsiedzku, w stadninie Three Aces.

- Słyszałem o Loganach. Widziałem ich parę razy na torach w Irlandii. Nie biorą udziału w tutejszych przyjęciach?

- Owszem, nawet często, ale w tej chwili nie ma ich w kraju. Jeśli zostanie pan tutaj, będzie ich pan widywał dość często.

- A panią? Czy nadal mieszka pani w domu?

- Tak. - Odwróciła się i spojrzała ku światłom. - Po to jest dom.

Uświadomiła sobie, że tam właśnie chciałyby znaleźć się w tej chwili. W domu. Myśl o powrocie do zatłoczonej i dusznej sali wydawała jej się nie do zniesienia.

- Lepiej słuchać tej muzyki z daleka.

- Słucham? - Nie spojrzała nawet na niego, marząc, by

wreszcie sobie poszedł i pozwolił jej cieszyć się znów samotnością.

- Muzyka - powtórzył Brian. - Lepiej, jeśli ledwie się ją słyszy.

Jako że Keeley całkowicie zgadzała się z jego opinią, wybuchnęła śmiechem.

- A najlepiej, jeśli nie słyszy się jej w ogóle.

Wszystko przez ten śmiech. Przyniósł ze sobą tyle ciepła. Tak jak dym niesie z sobą ciepło, nawet gdy otumania mózg. Objął ją, zanim zdążył się zreflektować.

- Nie wiem o tym.

Zmroziła go. Nie szarpnęła się, jak uczyniłoby to wiele kobiet, lecz stała absolutnie nieruchomo, sztywno, nie drgnął jej nawet jeden mięsień.

- Co pan robi?

Powiedziała to tak lodowatym tonem, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko uchwycić ją mocniej w pasie. Duma starła się z dumą.

- Tańczę. Widziałem, że pani potrafi tańczyć. A to jest lepsze miejsce do tego celu niż tam, gdzie panuje taki ścisk, że ludzie trącają się łokciami, nie sądzi pani?

Być może zgadzała się z jego opinią. Być może nawet ją to bawiło. Przywykła jednak do tego, że ją proszono, a nie porywano.

- Wyszłam na dwór po to, żeby uciec od tańca.

- Nie, nieprawda. Wyszła pani, żeby uciec od tłumu.

Zaczęła sunąć z nim po kamiennych płytach, ponieważ w przeciwnym razie wyglądałoby to na uścisk. Sara nie myliła się, rzeczywiście wspaniale tańczył. Dzięki temu, że miała pantofelki na wysokich obcasach, jej oczy znaj-

dowały się na poziomie ust Briana. Potwierdziło się jej pierwsze wrażenie - były zdecydowanie zbyt zmysłowe. Celowo odchyliła głowę do tyłu, aż spotkały się ich spojrzenia.

- Jak długo pracuje pan z końmi? - Pomyślała, że to bezpieczny i spodziewany temat.

- W pewnym sensie przez całe życie. A pani? Jeździ pani konno czy tylko przygląda się zwierzętom z daleka?

- Jeżdżę konno. - Pytanie zirytowało ją, miała ochotę rzucić mu w twarz całą kolekcję swoich błękitnych wstążek i medali. - Jeśli przeniesie się pan do Stanów, będzie to dla pana oznaczało dużą zmianę. Praca, kraj, kultura.

- Lubię wyzwania. - Sposób, w jaki to powiedział, w jaki trzymał dłoń na jej plecach, sprawił, że zmrużyła oczy.

- Ci, którzy je lubią, często błędzą, szukając kolejnego wyzwania, gdy sprostają jednemu. To gra pozbawiona solidnych podstaw lub zaangażowania. Cenię wyżej ludzi, którzy budują coś wartościowego tam, gdzie są.

Nie powinno go to urazić, ponieważ powiedziała tylko prawdę. A jednak uraziło.

- Tak jak pani rodzice.

- Właśnie.

- Łatwo jest mieć taką wrażliwość, jeśli nigdy nie musiało się budować czegoś od podstaw, nie mając nic oprócz dwojga rąk i rozumu.

- Być może, ale ja szanuję bardziej kogoś, kto się przykłada i podejmuje zadania na dłuższą metę, od kogoś, kto skacze od okazji do okazji lub od wyzwania do wyzwania.

- I sądzi pani, że ja właśnie to robię?

- Trudno mi powiedzieć. - Wzruszyła lekko ramionami wdzięcznym gestem. - Nie znam pana.

- Rzeczywiście, to prawda. Ale wydaje się pani, że mnie zna. Włóczęga mający na oku nagrodę, z końskim łajnem za paznokciami, bez względu na to, jak długo je szoruje. Absolutnie niegodzien pani uwagi.

Zdumiona, nie tyle słowami, co tającą się pod nimi namiętnością, chciała się odsunąć i zrobiłaby to, gdyby jej nie przytrzymał. Jakby miał do tego prawo, pomyślała.

- To śmieszne. niesprawiedliwe i nieprawdziwe.

- Nie ma znaczenia ani dla pani, ani dla mnie. - Nie pozwoli, żeby stało się to ważne dla niego, mimo że trzymanie jej w ramionach sprowokowało myśli, o których musi jak najszybciej zapomnieć. - Jeśli ojciec pani proponuje mi pracę, a ja ją przyjmę, wątpię, czy będziemy obracać się w tych samych kręgach, tańczyć ten sam taniec. Będę przecież pracownikiem.

Zauważyła, że w jego spojrzeniu kryje się gniew.

- Panie Donnelly, ma pan błędne mniemanie o mnie, mojej rodzinie i o sposobie prowadzenia stadniny przez moich rodziców. Błędne i obraźliwe.

- Jest pani zimno czy po prostu jest pani wściekła? - spytał Brian, unosząc brwi.

- O co panu chodzi?

- Drży pani.

- Zrobiło się chłodno. - Żałowała swoich słów, zirytowana, że dała się sprowokować i okazała zdenerwowanie. - Wracam do środka.

- Jak sobie pani życzy. - Odsunął się, ale wciąż trzy-

mał jej dłoń w swojej. Pochylił głowę, gdy próbowała uwolnić rękę. - Nawet stajenny chłopak uczy się manier - powiedział cicho, odprowadzając ją do drzwi. - Dziękuję za taniec, panno Grant. Mam nadzieję, że miło spędzi pani resztę wieczoru.

Wiedział, że może kosztować go to ofertę pracy, ale czuł nieprzepartą chęć sprawdzenia, czy za tą bryłą lodu nie kryje się choć odrobina żaru. Uniósł dłoń Keeley i, z oczyma utkwionymi w jej oczach, musnął wargami jej palce.

Iskra zapłonęła na jedną chwilę, po czym zgasła, gdy Keeley wyrwała mu rękę, odwróciła się do niego plecami i wmieszała się z powrotem w wytworny, wyperfumowany tłum.

ROZDZIAŁ 2

Świt w stadninie jest jedną z tych magicznych chwil, gdy mgła snuje się nad ziemią, a powietrze ma jasnoszarą barwę. Muzyka rozbrzmiewa w pobrzękiwaniu uprzęży, głuchym tupocie butów i kopyt, gdy stajenni, trenerzy i konie udają się do swoich zajęć. Pachniało końmi, mgłą i latem.

Brian przypuszczał, że przyczepy zostały już załadowane, a konie wybrane przez Granta wyjechały na tor, by trenować lub przygotowywać się do dzisiejszego wyścigu. Ale tutaj, w stadninie, czekało mnóstwo innych prac.

Trzeba skontrolować skręcenia, zastosować leczenie, wyczyścić przegrody. Ujeżdźczace zaprowadzą wierzchowce na owalny wybieg, żeby je trenować lub oprowadzać dookoła. Pomyślał, że w Royal Meadows jest chyba ktoś, kto wyznacza czas.

Nie zauważył niczego, co nie byłoby tutaj pierwszorzędne. Stadnina wyróżniała się wspaniałą organizacją i schludnością, wynikającą nie tylko z tego, że wymagali jej właściciele - lub płacili za nią. Stajnie, stodoły, szopy były starannie pomalowane na biało z ciemnozielonym wykończeniem. Płoty również były białe, w idealnym stanie. Wybiegi dla koni i pastwiska były eleganckie niczym salony towarzyskie.

Była to również sprawa atmosfery. Mógł to osiągnąć inteligentny lub bogaty człowiek. Drzewa w pełnej krasie listowia znaczyły rozległe pastwiska na stoku. Brian zauważył przepiękny dąb, rosnący pośrodku padoku, ogrodzony białym płotem. Trawę wewnątrz owalu toru zdobiła kolorowa plama kwiatów i krzewów. Z tyłu ciągnął się między stajniami i torem strzyżony zielony żywopłot.

Pochwalał taką dbałość, zarówno o konie, jak o ludzi. Wiedział z doświadczenia, że i jednym, i drugim pracuje się lepiej w ładnym otoczeniu. Przypuszczał, że zdjęcia pięknej stadniny Grantów zdobią stronice wielu wytwornych czasopism.

•"•i

Dom też robił duże wrażenie. Mimo że Brian przejeździł obok niego jeszcze raczej nocą niż za dnia, zwrócił uwagę na elegancki kształt kamiennej budowli z wystającymi balkonami i ozdobami z kutego żelaza. Z pięknych dużych okien roztacza się zapewne wspaniały widok na całe królestwo, pomyślał.

Nad dużym garażem znajdowała się miniaturowa replika głównego budynku. W półmroku majaczyły też zarysy kwiatów i krzewów ozdobnych. I ogromne, cieniste drzewa.

Ale jego interesowały przede wszystkim konie. W jakich pomieszczeniach były trzymane, jak się z nimi obchodziło. Jeśli zaproponują mu tę pracę, a on ją przyjmie, jego miejsce będzie w stajniach. Właściciel to właściciel.

- Będiesz zapewne chciał obejrzeć stajnie - powiedział Travis, prowadząc Briana do drzwi. - Wkrótce przyjedzie Paddy. Odpowiemy na wszystkie pytania, jakie zechcesz zadać.

Uzyskał odpowiedzi po prostu patrząc. Wewnątrz było równie schludnie, jak na zewnątrz. Pochyłe betonowe posadzki były wyszorowane, wrota przegród z wytrzymałego drewna. Na każdych znajdowała się mosiężna tabliczka z wygrawerowanym imieniem lokatora. Stajenni już wygarniali brudne siano na taczki lub rozrzucali świeże. W powietrzu unosił się silny słodki zapach ziarna, mazidła i koni.

Travis przystanął obok przegrody, gdzie młoda kobieta troskliwie bandażowała przednią nogę gniadosza.

- Jak ona się czuje, Lindo?

- Coraz lepiej. Za dzień lub dwa nie będzie już z nią kłopotu.

- Skręcenie? - Brian wszedł do boksu i przesunął dłońmi po nogach i piersi jednolatka. Linda zerknęła na niego, potem na Travisa, który skinął głową.

- To jest Berty Złośnica - powiedziała Linda. - Lubi wszczynać awantury. Nabawiła się lekkiego skręcenia, ale nie powstrzyma jej to na długo.

- Taka z ciebie sekutnica? - Brian ujął w obie dłonie łeb Betty i zajrzał jej w oczy. Przebiegł go dreszcz emocji na widok tego, co tam zobaczył. Co wyczuł. Cudowną gotowość do skoku, jeśli tylko znajdzie się właściwe zakłęcie.

- Tak się składa, że ja lubię sekutnice - powiedział cicho.

- Może uszczypnąć - ostrzegła Linda. - Zwłaszcza jeśli odwróci się pan do niej plecami.

- Nie chcesz mnie ugryźć, kochanie, prawda?

Betty zastrzygła uszami, jak gdyby przyjmowała wyzwanie, i Brian uśmiechnął się do niej.

- Stosunki między nami będą się układały świetnie, jeśli nie zapomnę, że ty tu jesteś szefową. - Gdy przesuwając palcami po jej szyi w dół, a następnie z powrotem, parsknęła do niego. - Jesteś piękna.

Szeptał do niej, nieświadomie przestawiwszy się na irlandzki, a Linda tymczasem kończyła bandażowanie. Betty znowu postawiła uszy i przyglądała mu się teraz raczej z ciekawością niż ze złościwością.

- Ona chce biegać. - Brian odsunął się, szacując budowę klaczki. - Jest do tego urodzona. Co więcej, jest urodzoną zwyciężczynią.

- Możesz to stwierdzić na pierwszy rzut oka? - spytał Travis.

- Ma to w oczach. Nie zechce pan jej hodować, gdy wejdzie w okres rui, panie Grant. Musi wyfrunąć wcześniej.

Celowo odwrócił się do klaczki plecami, a gdy Betty podniosła głowę, spojrzął na nią przez ramię.

- Nie robiłbym tego - powiedział cicho. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, po czym Betty odrzuciła głowę w geście, który był końskim odpowiednikiem ludzkiego wzruszenia ramionami.

Rozbawiony Travis odsunął się, by wypuścić Briana z boksu.

- Ona terroryzuje stajennych.

- Ponieważ jej na to pozwalają i prawdopodobnie jest inteligentniejsza od większości z nich. - Wskazał sąsiednią przegrodę. - A kim jest ten przystojny starszek?

- To Prince, potomek Majesty.

- Majesty z Royal Meadows? - W głosie Briana zabrzmiał szacunek. - I jego Prince. Miał pan swoje wspaniałe chwile, sir, prawda? - Brian pogładził delikatnie dostojne chrapy wiekowego kasztanka. - Podobnie jak pański ojciec. Oglądałem go podczas wyścigów, panie Grant, w Curragh, kiedy byłem młodym chłopakiem, stajennym. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego. Pracowałem z jednym z ogierów, które spłodził. Nie przynosił wstydu swoim potomkom.

- Tak, wiem o tym.

Travis oprowadził go po całej stadninie, przechodząc od wybiegu, gdzie jednolatek był prowadzony na długiej linii, do owalnego wybiegu, na którym piękny ogier biegał w towarzystwie dobrze ułożonego wałacha.

Niski chudy mężczyzna w niebieskiej czapeczce na grzywie siwych włosów odwrócił się do nich, gdy podeszli bliżej. Z kieszeni zwisał mu stoper, jego twarz dobrotliwego krasnoludka rozjaśniał wesoły uśmiech.

- A więc odbyłeś długą podróż, prawda? I co sądzisz o naszym małym azylu?

- To piękna stadnina. - Brian wyciągnął do niego rękę. - Miło mi spotkać pana znowu, panie Cunnane.

- Wzajemnie, Brianie z Kerry. - Paddy uściśnął mocno dłoń Briana. - Powiedziałem im, żeby zatrzymali Zeusa do twojego przyjazdu, Travis. Pomyślałem, że ty i chłopak zechcecie popatrzeć na poranną gonitwę.

- Królewski Zeus, potomek Prince'a- wyjaśnił Travis. - Biega dla nas z wieloma sukcesami.

- Zdobył Belmont Stakes w zeszłym roku - przypomniał sobie Brian.

- Tak jest. Zeus lubi długie dystanse. To groźny współzawodnik, będzie protoplastą czempionów.

Na znak Paddy'ego młody ujeżdżacz zbliżył się do nich klusem na wspaniałym kasztanku. W coraz silniejszym słońcu sierść konia miała ciemnorudy kolor, na czole widniała biała plama w kształcie błyskawicy. Dosłownie tańczył z odrzuconą do tyłu głową.

Brian wiedział od pierwszej chwili, że to czysta poezja.

- Co o nim sądzisz? - spytał Paddy.

- Przepiękny. - Tylko tyle zdołał powiedzieć.

Sześćset kilogramów muskułów na niewiarygodnie długich i kształtnych nogach. Szeroka pierś, lśniąca skóra, harda głowa. I dumne, błyszczące oczy.

- Zrób z nim rundkę, Bobbie - polecił Paddy. - Nie karć go. Pozwolimy mu dziś trochę się popisać. - Poświstując przez zęby, Paddy oparł się o płot i włączył stoper.

Zaczepiwszy kciuki o kieszenie, Brian przyglądał się, jak Zeus wraca na tor i tańczy w miejscu. Wreszcie ujeżdżacz opanował konia, uniósł się w strzemionach i pochylił nad silnym karkiem. Zeus wystrzelił do przodu jak strzała, wzbijając pył z toru.

Powietrze rozbrzmiewało głośnym stukotem kopyt.

Serce Briana uderzało w tym samym rytmie, mocno, radośnie. Czapka sfrunęła młodemu ujeżdżaczowi z głowy, gdy wychodził z zakrętu na ostatnią prostą. Kiedy mijali ich pędem, Paddy zatrzymał stoper.

- Nieźle - rzekł sucho i pokazał Brianowi wynik.

Brian, który miał stoper w głowie, nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że właśnie ogląda czempiona.

- Wreszcie zobaczyłem chyba konia pokroju pańskiego Prince'a, panie Grant.

- I on o tym wie.

- Chcesz trenować właśnie jego, chłopcze? - spytał Paddy.

Jest czas, by trzymać karty zakryte, pomyślał Brian. i czas, żeby je odkryć.

- Tak - odrzekł po prostu. Starając się opanować niecierpliwość, powiedział do Trávisa: - Jeśli proponuje mi pan tę pracę, panie Grant, przyjmuję ją.

Travis przechylił głowę i wyciągnął rękę do Briana.

- Witaj w Royal Meadows. Chodźmy napić się kawy.

Brian gapił się ze zdumieniem na odchodzącego Trávisa.

- I to tyle? - powiedział cicho.

- On już dawno podjął decyzję - wyjaśnił Paddy - inaczej by cię tu nie było. Travis nie marnuje czasu - ani swojego, ani czyjegoś. Gdy napijesz się kawy i coś przegryziesz, przyjdź do mnie - do domku nad garażem. Zapoznasz się z warunkami i trochę pogadamy.

- Dobrze, dziękuję. - Lekko oszołomiony Brian ruszył za Trávistem.

Dogonił go, trochę zakłopotany i zdziwiony, że dłonie ma wilgotne od potu. Praca to tylko praca, powtarzał sobie w myśli.

- Jestem wdzięczny, że dał mi pan tę szansę, panie Grant.

- Travis. Będziesz na to pracował. Mamy w Royal Meadows wysokie normy. Spodziewam się, że je spełnisz. Chciałbym, żebyś zaczął jak najszybciej.

- Zacznę od dzisiaj.

Travis spojrział na niego przez ramię.

- Świetnie.

Rozglądając się po terenie, Brian wskazał gestem nieduży budynek z padokiem, na którym były ustawione przeszkody.

- Czy trenuje pan również konie do konkursów jeździeckich?

- To oddzielne przedsięwzięcie - odpowiedział z lekkim uśmiechem Travis. - Ty będziesz pracował z końmi wyścigowymi. Możesz przenieść swoje rzeczy do kwatery dla trenerów, kiedy będziesz gotów. - Travis" spojrział w stronę domu nad garażem.

Brian otworzył usta, po czym z powrotem je zamknął. Nie spodziewał się, że zakwaterowanie -mieści się w warunkach umowy, nie zamierzał jednak się spierać. Jeśli nie będzie mu to pasowało, załatwią tę sprawę później.

- Masz piękny dom. Ktoś najwyraźniej kocha kwiaty.

- Moja żona. - Travis skrzywił się w łupkową ścieżkę. - Ma na ich punkcie bzika.

Brian pomyślał, że muszą mieć cały sztab ogrodników i architektów krajobrazu, którzy się nimi zajmują.

- Konie lubią piękne otoczenie.

Travis, który wszedł do patia, odwrócił się do Briana.

- Doprawdy?

- Tak.

- Czy to właśnie powiedziała ci Betty, gdy z nią rozmawiałeś?

Brian ze spokojem wytrzymał rozbawione spojrzenie Trávisa.

- Powiedziała, że jest królową i oczekuje, że tak właśnie będzie traktowana.

- I będziesz tak ją traktował?

- Będę, dopóki nie nadużyje tego przywileju. Nawet królowa musi od czasu do czasu poczuć wędzidło.

Z tymi słowy wszedł przez drzwi, które przytrzymał Travis.

Brian nie miał pojęcia, czego się spodziewał. Czegoś wytwornego i wyszukanego. Z pewnością czegoś wspólnego.

Nie spodziewał się natomiast zupełnie, że znajdzie się w kuchni Grantów, dużej i zabałaganionej, i pomimo pięknych lśniących urządzeń oraz fantazyjnych kafelków - przytulnej.

A już na pewno nie przyszłoby mu do głowy, że zobaczy panią tej rezydencji w starych dżinsach, bosą, w spłowiałej koszulce z krótkim rękawem, stojącą przy kuchni z patelnią i ciskającą gromy nad głową swego najmłodszego syna.

- I powiem ci coś jeszcze, Patricku Michaelu Thomasie Cunnane, jeśli wydaje ci się, że możesz przychodzić i wychodzić, kiedy ci się żywnie podoba, ponieważ wyjeżdżasz do college'u, to lepiej puknij się w głowę albo zrobie to sama patelnią, którą trzymam w ręku, gdy tylko skończę smażyć.

- Tak jest. - Przy stole siedział Patrick, przygarbiony, krzywiąc się do pleców matki. - Dopóki jeszcze jej używasz, może mógłbym dostać grzanekę. Nikt nie smaży takich dobrych jak ty.

- Nie przekonasz mnie w ten sposób.

- A może tak.

Rzuciła mu przez ramię spojrzenie, jakim tylko matka potrafi skarcić dziecko. Brian rozpoznał je bezbłędnie.

- A może nie - wymamrotał Patrick, rozjaśniając się na widok Briana, stojącego w drzwiach. - O, mamy towarzystwo. Siadaj, Brianie. Zjesz coś? Moja mama smaży najwspanialsze grzanki na świecie.

- Świadkowie cię nie uratują - powiedziała Adelia, odwróciła się jednak z uśmiechem do Briana. - Wejdz i siadaj. Patricku, podaj talerze Brianowi i ojcu.

- Nie, dziękuję. Nie będę sprawiał kłopotom.

- Mamo, nie mogę znaleźć moich brązowych bucików! - wykrzyknęła Sara, wpadając do kuchni. - Cześć, Brianie, dzień dobry, tato.

- Wpadałam na nie bez przerwy od-tygodni - powiedziała Adelia, przewracając skwierczącą grzankę na patelni. - Nie potrafię zrozumieć, jak to się stało, że zniknęły z mojego pola widzenia.

Sara szarpnęła drzwi lodówki.

- Spóźnię się.

- Możesz włożyć jedną z sześciu tysięcy par, upchniętych w twojej szafie - odpowiedział jej brat.

Sara stuknęła go w plecy kartonowym pudełkiem soku, który wyjęła z lodówki, lekceważąc poza tym jego radę.

- Nie mam czasu na śniadanie. - Nalała sobie soku i wypijała duszkiem. - Będę w domu o piątej.

- Weź słodką bułeczkę - poleciła Adelia.

- Nie ma z jagodami.

- To weź z tym, z czym jest.

- Dobrze, dobrze. - Sara chwyciła drożdżówkę z tale-

rza, ucałowała matkę w policzek, okrążyła stół, by dać buziaka również ojcu, wymieniła spojrzenia z bratem i wybiegła z kuchni.

- Sara pracuje w lecie w gabinecie weterynaryjnym - wyjaśniła Adelia. - Wy dwaj możecie umyć ręce tutaj, a potem dam wam coś do zjedzenia.

Ponieważ Brian nie potrafił się oprzeć smakowitemu zapachowi smażonych grzanek, podszedł do zlewu. Zobaczył wtedy wielkiego starego psa, leżącego przy kuchni. Przypominał długi, czarny, straszliwie skudłany dywanik.

- A to kto? - Brian spontanicznie przykucnął przy nim.

- To nasz Sheamus. Jest już stary i bardzo lubi układać się u moich stóp, gdy gotuję.

- Moja żona uwielbia kundle - powiedział Travis, puszczając wodę do zlewu.

- A one mnie kochają. Sheamus przesypia większość czasu - powiedziała Adelia do Briana. - Stał się dla nas członkiem rodziny. - Uniosła wysoko brwi. Brian pogłaskał kudłaty łeb psa. Sheamus otworzył leniwie oczy, zamrdał ogonem i przewrócił się z pomrukiem na grzbiet, wystawiając brzuch do drapania.

- Coś takiego! Spodobałeś mu się.

- Rozumiemy się z kundlami. Jesteś starym szczęściarzem, co? Szczęściarzem i grubasem.

- Ktoś przekarmia go resztkami ze stołu. - Adelia spojrzała z ukosa na męża.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Travis podał mydło Brianowi z miną niewiniątka.

- Ha! - To był jedyny komentarz Adelii. - Napijesz się kawy czy herbaty, Brianie?

- Herbaty, jeśli można.

- Siadaj. - Wskazała mu krzesło, po czym wycelowała palec w syna. - Idź. Skończ z tobą później.

- Będę odbywał pokutę w stajniach. - Westchnąwszy ciężko, Patrick wstał i objął matkę w talii, opierając brodę na czubku jej głowy. - Przepraszam.

- Wynoś się.

Brian zauważył, że Adelia ujęła dłoń syna i ścisnęła ją lekko. Patrick wybiegł z kuchni, błysnąwszy przedtem krótkim uśmiechem, skierowanym do wszystkich.

- Ten chłopak ponosi odpowiedzialność za każdą nową zmarszczkę na mojej twarzy - mruknęła Adelia.

- Jakie zmarszczki? - spytał Travis, pobudzając żonę do śmiechu.

- To właściwe pytanie. A więc, Brianie, czy odpowiada ci Royal Meadows?

Osuszywszy ręce, Brian podszedł do stołu i usiadł.

- Tak, proszę pani.

- Och, nie jesteśmy tutaj tacy oficjalni. Chyba że jest to dla ciebie kłopotliwe. - Nalała mu herbaty, a Travisowi kawy. Stała obok męża, opierając wolną rękę na jego ramieniu. - Jak sprawował się dzisiaj Zeus?

- Pokonał okrążenie dokładnie w minutę pięćdziesiąt sekund.

- Żałuję, że tego nie widziałam. - Wróciła do kuchni, by wyłożyć na półmisek złociste kromki chleba.

- Proponuję ci roczny kontrakt - zaczął Travis.

- Może pozwolisz chłopcu zjeść, zanim przejdziecie do interesów?

- Chłopiec chce wiedzieć.

Brian wziął półmisek i włożył trzy kromki na swój talerz.

- Owszem, chce.

- Będziesz miał zagwarantowaną roczną pensję. - Travis wymienił kwotę, od której Brianowi zakręciło się w głowie i omal nie rozlał syropu. - Po dwóch miesiącach otrzymasz dwa procent od sumy każdej nagrody. Po sześciu miesiącach będziemy renegotjowali wysokość procentu.

- Wynegocjujemy wyższy. - Zupełnie już spokojny, Brian zabrał się do śniadania. - Ponieważ obiecuję ci, że na to zasłużę.

Omawiali - targując się trochę dla zachowania pozorów - obowiązki, korzyści, premie, odpowiedzialność.

Brian nakładał sobie drugą porcję grzanek, a Travis pił ostatnią kawę, gdy weszła Keeley.

Miała na sobie szare bryczesy. Eleganckie i obcisłe. Jej czarne wysokie buty do konnej jazdy lśniły. Luźna biała bluzka z szerokim kołnierzykiem była zapięta pod szyję. Włosy spięta gładko w węzeł, twarz miała całkowicie odsłoniętą. W jej uszach błyszczały małe złote kolczyki o zawiłym splocie.

Uniosła brwi na widok Briana, jedzącego śniadanie w jej kuchni. Zacisnęła wargi, zanim rozciągnęły się w chłodnym, wystudiowanym uśmiechu.

- Dzień dobry, panie Donnelly.

- Dzień dobry, panno Grant.

- Mam dziś mało czasu. - Podeszła do ojca, pochyliła się i potarła policzkiem o jego policzek.

- Powinnaś coś zjeść - powiedziała Adelia.

- Przegryzę coś później. - Keeley wyjęła z lodówki napój orzeźwiający. - Skończę za parę godzin. - Zbliżyła się do matki, pochylając się najpierw, by podrapać Sheamusa za uchem, potarła policzkiem o policzek matki tak samo, jak to zrobiła przedtem z ojcem, po czym skierowała się ku drzwiom.

- Przyjdę za chwilę! - zawołała za nią Adelia. - Chciałabym popatrzeć.

Dwadzieścia minut później Brian wyszedł z rezydencji, kierując się do kwater trenerów. Zobaczył Keeley na padoku przed małym budynkiem. Siedziała okrakiem na czarnym wałachu. Gdy jechała na koniu, jakiś mężczyzna fotografował ją ze wszystkich stron.

Brian przystanął z rękami wspartymi na biodrach, by na nią popatrzeć. Pomyślał, że pozwala robić sobie zdjęcia do jakiegoś wytwornego czasopisma. Księżniczka z Royal Meadows. Bez wątplenia będzie wyglądała wsporniale.

Zmusiła konia do kłusa, następnie do cwału, by potem przeskoczyć przez przeszkodę. Brian zacisnął usta. Musiał przyznać, że jest w świetnej formie. Gdy powtórzyła ten skok, następnie jeszcze jeden, do zdjęcia, usłyszał jej radosny śmiech.

Odwrócił się, lekceważąc ją. A przynajmniej próbując ją zlekceważyć.

Wszedł po schodach do kwater trenerów i zapukał.

- Wchodź i rozgość się tutaj! - zawołał Paddy.

Siedział przy biurku w pokoju urządzonej jak biuro. Pod jedną ścianą były ustawione szafki z aktami, pozostałe zdobiły zdjęcia koni. Okno było otwarte, a na półce obok

stał komputer. Sądząc po kurzu, który go pokrywał, korzystano z niego rzadko, o ile w ogóle.

Okulary Paddy'ego zjechały na czubek nosa, gdy wskazał gestem krzesło.

- Omówiliście z Travisem szczegóły.
- Tak. Jest uczciwym facetem.
- Spodziewałeś się czegoś innego?
- Nie spodziewam się niczego po właścicielach i dlatego nieczęsto mnie zaskakują.

Paddy poprawił ze śmiechem okulary i podrapał się po nosie.

- Ten jeden może.
- Chcę panu podziękować za przedstawienie mojej kandydatury pod rozwagę panu Grantowi.

- Siedzę na bieżąco sytuację i słucham opinii, mimo że przeszedłem na emeryturę. Prawdę mówiąc, robię to już po raz drugi. Poprzednio wróciłem, ponieważ Travis i Dee nie byli zadowoleni z trenerów, których przyjmowali do pracy. Tym razem zamierzam wytrwać przy swojej decyzji i zatrzymać tutaj ciebie, chłopcze.

Okulary znowu zjechały mu na czubek nosa. Paddy prychnął z irytacją i je zdjął.

- Będziemy tu mieszkać razem przez następny tydzień, jeśli ci to nie przeszkadza. Potem wyjadę i będziesz miał mieszkanie do swojej dyspozycji.

- Dokąd pan wyjeżdża?
- Do domu. Do Irlandii.
- Po tylu latach?
- Urodziłem się tam i postanowiłem tam umrzeć -

choć bez wątpienia mam w sobie jeszcze mnóstwo życia. Marzę o spędzeniu ostatnich lat w rodzinnym kraju.

- Co pan będzie tam robił?

- Och, będę przesiadywał w pubie i opowiadał kłamstwa - rzekł Paddy z radosnym uśmiechem. - Pił duży kufel porządnego guinnessa. Będzie ci tego brakowało tutaj, możesz być pewien. To nie to samo, co amerykańska lura.

Brian musiał się roześmiać.

- To długa droga, żeby wypić duży kufel, nawet guinnessa.

- Na południu hrabstwa Cork, niedaleko od Skibbereen, znajduje się mała farma. Znasz Skibbereen, Brianie?

- Tak. Ładne miasteczko.

- Strome ulice i malowane drzwi - powiedział z lekkim rozmarzeniem Paddy. - Farma leży kawałek od tego ślicznego miasta. Moja Dee chowała się tam u mojej siostry po śmierci rodziców. Gdy siostra zachorowała, na farmę przyszły ciężkie czasy, bo Dee sama musiała ją prowadzić i doglądać ciotki Lettie. W końcu Lettie umarła, a Dee straciła farmę i przyjechała tutaj do mnie. Kilka lat temu farmę wystawiono na sprzedaż i Travis kupił ją dla niej, choć mówiła mu, żeby tego nie robił.

- A więc tam pan wyjeżdża? - spytał Brian, choć nie miał pojęcia, dlaczego Paddy mu o tym opowiada. - Zostanie pan farmerem?

- Jadę tam, ale wcale nie po to, żeby uprawiać rolę. Będę miał tam dla towarzystwa kilka koni.

Odwrócił się i spojrzał przez okno na wzgórze, gdzie pasły się konie w blasku porannego słońca.

- Będzie mi brakowało mojej malej Dee, Trávisa i dzieci. Także tutejszych przyjaciół. Jednak potrzeba osiedlenia się w rodzinnych stronach jest silniejsza. Strasznie mnie korci, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Rozumiem.

- Z pewnością będę trochę podróżował tam i z powrotem, są przecież samoloty, a i oni będą mnie odwiedzali. Dee poślubiła mężczyznę, którego szanuję i kocham jak własnego syna. Przyglądałem się, jak dzieciaki wyrosły na wspaniałych młodzieńców i młode kobiety. To rzadkość. Miałem też dobrą rękę do trenowania czempionów. Mężczyzna, który może pracować z końmi czystej krwi, jest szczęściarzem.

- Nie chce pan założyć własnej hodowli czempionów?

- Bawiłem się taką myślą, ale ostatecznie stwierdziłem, że to nie dla mnie. - Spojrzał z uwagą na Briana. - Czy to właśnie chciałbyś robić potem?

- Nie. Własny dom i własna stadnina oznaczają, że jesteś uziemiony, prawda? I nie ma mowy o przenoszeniu się z miejsca na miejsca, jeśli to właśnie nadaje sens twojemu życiu. Tak czy owak większość właścicieli pozostawia pracę i decyzje trenerowi.

- Travis Grant potrafi pracować. - Paddy pochylił głowę. - Zna swoje konie. Kocha je. Jeśli zasłużysz na jego zaufanie, obdarzy cię nim, ale będzie znał każdy twój krok. On i Adelia będą interesowali się stajniami na równi z tobą, czy ci się to spodoba, czy nie.

- Jego żona?

- Poznałeś ją wczoraj wieczorem, gdy była elegancko ubrana. Lubię, kiedy tak wygląda. Ty będziesz częściej

widywał ją w stajniach, nacinającą ropnie lub uspokajającą klacz, która dostała kolki. Nie jest delikatnym kwiatkiem. Moja Dee jest rasowa. I wychowała takie same dzieci. Żadne z nich nie cofnie się przed ciężką pracą, jeśli jest taka potrzeba. Sam się zorientujesz, jak się sprawy mają, i przekonasz się, że stajni nie dzieli od głównego domu tak duża odległość jak w innych posiadłościach.

- Zwykle lepiej bywa, jeśli odległość jest duża - mruknął Brian. Paddy wybuchnął śmiechem.

- Masz rację, chłopcze, w większości przypadków tak bywa. Właściciele bez wątpienia mogą być łyżką dziegciu w beczce miodu. Sam wyrobisz sobie zdanie o'tym miejscu i jego panach. I mam nadzieję, że podzielisz się nim ze mną po pewnym czasie. A teraz zapoznam cię na początek z warunkami.

Gdy Brian wyszedł od Paddy'ego, był zadowolony ze swojej sytuacji. Pozostawi swój ślad w Royal Meadows, a czyniąc to, będzie dobrze żył. Kwatera była po prostu świetna. Prawdę mówiąc, gotów był mieszkać w norze, żeby tylko mieć szansę pracowania z końmi Trvisa Granta.

Wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, znajdowało się w zasięgu jego ręki. Nie pozwoli, żeby mu się wymknęło.

Ruszył w kierunku stajni, gdzie zaparkował wynajęty samochód. Paddy powiedział, żeby rzucił po drodze okiem na małą czerwoną ciężarówkę, którą zamierza sprzedać przed wyjazdem do Irlandii. Jeśli wszystko się ułoży, całkiem wystarczy na moje potrzeby, pomyślał Brian. Najwyższy czas przyzwyczać się do jazdy przekłętą złą stroną drogi.

Obchodząc garaż i krzywiąc się z powodu tej jednej niedogodności, omal nie wpadł na Keeley.

Wyglądała świeżo i nieskazitelnie, tak jak wczesnym rankiem. Nie sterczał jej ani jeden włos, na butach nie miała nawet drobiny kurzu. Zastanawiał się, jak, u diabła, jej się to udało.

- Dzień dobry, panno Grant. Widziałem panią na padoku. To piękny koń.

Była podniecona, rozdrażniona i bliska wybuchu, ponieważ fotograf nieźle ją wymęczył. Zdjęcia były konieczne. Potrzebowała reklamy, ale absolutnie niepotrzebne jej było zawracanie głowy.

- Tak, to prawda. - Chciała go wyminąć, ale Brian zastąpił jej drogę.

- Bardzo przepraszam, księżniczko. Czyżbym zapomniał oddać hołd?

Uniosła dłoń. Miała nieposkromiony temperament, jeśli popuściła sobie cugli, a dudnienie w głowie ostrzegało ją, że za chwilę wybuchnie.

- Jestem już zdenerwowana. Niewiele brakuje, żebym wpadła we wściekłość. - Wzięła głęboki oddech. Jeśli scena w kuchni wcześniej rano coś znaczyła, to Brian Donnelly stał się od tej chwili częścią Royal Meadows. Nie może wejść jej w zwyczaj krytykowanie członka zespołu. - Sam jest dziewięciolatkiem. Czystej krwi, krzyżówka z Irish Draught. Mam go od chwili, gdy skończył cztery lata. - Podniosła do ust butelkę z napojem orzeźwiająjącym, którą trzymała w ręku, i napiła się powoli.

- Tylko tym się pani żywi? - Popukał palcem w butelkę. - Bąbelkami i substancjami chemicznymi?

- Jakbym słyszała moją matkę.
- Może dlatego boli panią głowa.

Keeley opuściła dłoń, którą przyciskała do skroni. Ma zdecydowanie zbyt bystre oko.

- Czuję się świetnie.
- Proszę się odwrócić.
- Słucham?

Brian zaszedł ją z tyłu i położył jej dłonie na karku. Szarpnęła zeszywniałymi ramionami w niemym proteście.

- Proszę się rozluźnić. Nie rzucam się na panią w napadzie namiętności, gdy lada chwila może się zjawić ktoś z pani rodziny. Chciałbym przepracować przynajmniej jeden dzień, zanim zostanę wylany.

Mówiąc do niej, jednocześnie ugniatał, szczypał, głaśkał stwardniałe mięśnie. Nienawidził patrzeć na czykolwiek ból.

- Proszę odetchnąć głęboko - polecił, gdy stała sztywna jak kij. - No, dalej, *maverneen*, niech pani nie będzie taka uparta. Proszę odetchnąć głęboko, niech pani to zrobi dla mnie.

Keeley usłuchała go z ciekawości, starając się nie myśleć, jak cudowny jest dotyk jego rąk.

- Jeszcze raz.

Głos Briana działał kojąco, usypiająco. Powieki jej zatrzepotały, zamknęła oczy. Stwardniałe mięśnie rozluźniły się. Przerażliwe dudnienie w głowie ustało. Omal nie wpadła w trans.

Wygięła się lekko pod jego dłońmi. Brian masował nadal kark dziewczyny, profesjonalnie, z dużą wprawą.

wyobrażając sobie, że wsuwa ręce pod luźną białą bluzkę. Pragnął przyłgnąć wargami do jej szyi, tam gdzie uciskał mięśnie kciukiem, poznać smak jej skóry.

Wiedział jednak, że to zakończyłoby wszystko, zanim jeszcze cokolwiek by się zaczęło. Pragnienie kobiety jest czymś naturalnym, ale zbliżyć się do niej, gdy wiąże się to z takim ryzykiem, byłoby samobójstwem.

Opuścił więc ręce i odsunął się. Zachwiała się, ale natychmiast wzięła się w garść. Gdy odwróciła się do niego, odniosła wrażenie, że unosi się w powietrzu.

- Dziękuję. Jest pan w tym bardzo dobry.

Magiczne dłonie, pomyślała. Ten mężczyzna potrafi sprawiać nimi cuda.

- Tak mi mówiono. - Uśmiechnął się do niej zarożumiale. - Wydaje mi się, że potrzebuje pani częstego masażu dla rozluźnienia. - Wyjął jej butelkę z dłoni. - Proszę iść napić się trochę wody. Nie zaszkodziłoby się przebrać. Jest pani ubrana zbyt ciepło jak na taki gorący dzień.

Przekrzywiła głowę, znowu zirytowana na tyle, by zmierzyć go przeciągłym, baczny spojrzeniem. Wiatr rozwiewał mu grzywę brązowych włosów ze złocistymi pasemkami. Pięknie wykrojone usta miały lekko uniesione kąciki.

- Jeszcze jakieś polecenia?

- Nie, ale mała uwaga.

- Zamieniam się w słuch.

- Znowu jest pani zdenerwowana, ale i tak pani powiem. Pani usta są bardziej pociągające nie umalowane, tak jak teraz, niż gdy je pani maluje, tak jak rano.

- Nie lubi pan szminki?

- Nie to, że w ogóle. Niektóre kobiety muszą się malować. Pani nie musi, szminka tylko psuje efekt.

Zdumiona, trochę rozbawiona, pokręciła głową.

- Serdeczne dzięki za radę. - Ruszyła w stronę domu, aby, zgodnie z sugestią Briana, przebrać się w coś lżejszego-

- Keeley.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła, spojrzała jedynie przez ramię na Briana, który stał z kciukami zaczepionymi o kieszenie starych dżinsów.

- Słucham?

- Nie, nic. Chciałem po prostu usłyszeć pani imię. Podoba mi się.

- Mnie też.

Tym razem on westchnął głęboko, patrząc, jak odchodzi - długie nogi w obcisłych bryczesach i wysokich butach. Podniósł butelkę z jej napojem i pociągnął solidny łyk. Igrasz z ogniem, Donnelly, ostrzegł sam siebie. Ponieważ był absolutnie pewny, że się sparzy, jeśli zaryzykuje, najbezpieczniej było wycofać się w porę.

ROZDZIAŁ 3

Pięty do dołu, Lynn. Świetnie. Ręce, Shelly. Willy, uważaj. - Keeley przyglądała się badawczo postawie swoich popołudniowych uczniów.

Sześć koni, których dosiadało sześcioro dzieci, krążyło powoli po padoku. Dwa miesiące temu trójka tych dzieci nie widziała nigdy konia z bliska, nie wspominając o tym, że nigdy go nie dosiadła. Szkółka jeździecka Royal Meadows zmieniła ten stan.

- Dobrze. Teraz kłusem. Głowy do góry - komenderowała z dłońmi wspartymi na biodrach, przyglądając się, jak uczniowie wykonują jej polecenia ze zmiennym powodzeniem. - Pięty do dołu. Kolana, Joey. Tak trzeba. Pamiętajcie, że stanowicie zespół. Wyglądacie dobrze. O wiele lepiej.

Podeszła bliżej i poklepała po piętach jednego ze swoich dwóch chłopców. Uśmiechnął się i opuścił je nisko. O, tak, znacznie lepiej, pomyślała. Miesiąc temu Willy szarpał się jak marionetka za każdym razem, gdy go dotknęła.

Zaufanie było bardzo istotne.

Kazała im zmienić prowadzenie, pojechać w odwrotnym szyku, a następnie spróbować wykonać ósemkę.

Robili to trochę beładnie, ale Keeley pozwoliła im chichotać do woli.

Trzeba umiejętnie łączyć naukę z zabawą.

Brian obserwował ją z daleka. Nie widział jej od kilku dni. Prawie cały czas spędzał w stajniach albo na którymś z torów, gdzie biegały konie Grantów. Najwyraźniej Keeley nie bywała w tamtych miejscach.

Doszedł do wniosku, że spędza czas, jedząc lunch w jakiejś modnej restauracji, robi zakupy, siedzi u fryzjera lub manikiurzystki, jednym słowem robi to, co zwykle robią dziewczyny pochodzące z zamożnych rodzin.

A ona była tutaj, na padoku, z dziećmi. Uczyła je jazdy konnej. Przypuszczał, że są to dzieci z zamożnych rodzin, bywalców klubów podmiejskich, a Keeley traktuje to zajęcie jak hobby. Przecież nie musiała zarabiać pieniędzy.

Hobby czy nie, wyglądała przy tym zajęciu świetnie. Była ubrana bardzo swobodnie. Miała na sobie dżinsy i bawełnianą bluzkę. Włosy zczesaała do góry i przewiązała wstążką w koński ogon, tak że opadały jej na plecy kędzierzawą falą. Buty były stare, zdarte i mocne.

Wyglądało na to, że świetnie się bawi. Brian nigdy przedtem nie widział, żeby uśmiechała się w taki sposób - żywo, szczerze i serdecznie. Nie mogąc się oprzeć, podszedł bliżej. Keeley zatrzymała jedną ze swoich uczennic. Gładząc dłonią końską szyję, prowadziła poważną rozmowę z dziewczynką.

Gdy dotarł do płotu, ustawiła właśnie w rzędzie wszystkich uczniów, z wyjątkiem dziewczynki. Uczy ich panowania nad końmi, pomyślał, żeby zachowywały się spokojnie, gdy coś się dzieje wokół nich.

Dziewczynka krążyła z wdziękiem wokół padoku, Keeley zaś obracała się wokół własnej osi, by nie stracić jej z pola widzenia. W pewnym momencie zauważyła Briana, opartego o płot.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Wielka szkoda, pomyślał. Było jednak coś niemal równie pociągającego w chłodnym spojrzeniu, którym często go mierzyła. Odpowiedział jej szerokim uśmiechem i usiadł na płocie, by przyglądać się dalej lekcji.

Keeley nie przeszkadzali widzowie. Często jej rodzice, rodzeństwo lub pracownicy przystawali obok wybiegu i przyglądali się lekcjom. Czasami przychodzili też rodzice uczniów. Ponieważ jednak ten szczególnie obserwator nie obchodził jej, nie zwracała na niego uwagi..

Uczniowie kolejno wykonywali codzienne ćwiczenia w pojedynkę. Korygowała postawę, zachęcała, trochę dopingowała, kiedy należało się skoncentrować i włożyć nieco więcej wysiłku. Gdy kazała im zsiąść z koni, wszyscy jęknęli zgodnym chórem.

- Jeszcze pięć minut, panno Keeley. Możemy pojeździć jeszcze przez pięć minut?

- Już wam przedłużyłam lekcję o pięć minut. - Poklepała Shelley po kolanie. - W przyszłym tygodniu spróbujemy galopu.

- Dostanę konia na Gwiazdkę - oznajmiła Lynn. - Mama mówi, że w przyszłym roku na wiosnę weźmiemy udział w konkursie jeździeckim.

- Wobec tego będziesz musiała bardzo ciężko pracować. Niech wasze konie trochę ostygną.

- Masz tutaj ładną grupkę. Witam, panno Keeley.

Wrodzona grzeczność zmusiła ją do przywitania się z Brianem. Podeszła do płotu, nie spuszczać wzroku ze swoich uczniów.

- Lubię tak myśleć.

- Tamten chłopiec - powiedział Brian, wskazując gestem głowy ciemnookiego Willy'ego o wąskiej twarzy - kocha swojego konia. Śni o nim w nocy, o tym, jak pędzi na nim przez pola i wzgórza, przeżywa przygodę.

Jego uwaga przywołała z powrotem uśmiech na twarz Keeley.

- Teddy też go kocha. Teddy Bear - wyjaśniła. - Duży, łagodny, kochany.

- To prawdziwe szczęście mieć środki na lekcje z dobrą instruktorką i mądrymi końmi. Trzymasz je w tutajszych stajniach? Nie widziałem żadnego z nich tam, gdzie pracuję.

- Są moje. Trzymam je w stajniach tutaj. - Jej konie, jej szkoła, jej odpowiedzialność. - Przepraszam, ale jeszcze nie skończyłam lekcji. Konie muszą zostać oporządzone.

Nie ma pośpiechu, pomyślał Brian. Mam parę spraw do dopilnowania, ale to wcale nie znaczy, że nie mogę tu wrócić".

Drażnił ją. Nie ma na to rozsądnego wytłumaczenia, pomyślała Keeley. Po prostu tak jest. Nie podobał jej się sposób, w jaki zazwyczaj na nią patrzy.

Nie podobało jej się również to, jak na ogół z nią rozmawia. I znowu, czemu tylko ona słyszała tę ukradkową melodyjną intonację, gdy wymawiał jej imię?

Wszyscy inni uważają, że Brian Donnelly jest po prostu świetnym fachowcem, myślała, przesuwając dłońmi po nogach wałacha, by sprawdzić temperaturę. Jej rodzice uznali, że jest idealnym kandydatem na następcę wujka Paddy'ego - a sam wujek Paddy nie mógł się go nachwalić.

Zdaniem Sary, jest ogromnie seksowny. Patrick twierdzi, że jest super. A Brandon uważa go za bardzo bystrego.

- Mają przewagę liczebną - mruknęła, podnosząc przednią nogę konia, by obejrzyć kopyto.

Może to jakaś reakcja chemiczna. Coś, co doprowadza ją do szału, kiedy Brian znajduje się w jej pobliżu. Przecież wykonuje swoją pracę doskonale, ze znajomością rzeczy. Bardzo fachowo, musiała to przyznać na podstawie tego, co słyszała. A ponieważ oboje są zajęci, będą rzadko wpadali na siebie. Nie powinno zatem mieć to znaczenia. Nie podobało jej się jednak, że zaczęła omijać stajnie i tor, że celowo rezygnuje z przyjemności przechadzania się i przyglądania treningom oraz oporządzaniu koni. Nie podobało jej się, że wie to o sobie.

Z pewnością nie obchodził jej fakt, że podejrzewała, iż on to wie. Co nadawało mu zbyt duże znaczenie.

Przyznała w duchu, że robi to nawet teraz, myśląc o nim.

Kori parsknęła. Ramiona Keeley zeszywniały.

- Masz doskonałe wyczucie, jeśli idzie o konie - powiedział Brian.

Nie zdziwiło jej, że nie słyszała, jak wszedł. Nie zdziwiło jej również, że choć nie słyszała jego kroków, to wyczuła obecność. Zmieniła się atmosfera, pomyślała.

- Nabyłam je w naturalny sposób.

- Wiem. Teddy Bear. - Wymówił końskie imię szeptem, Keeley pochyłona nad końską nogą, podniosła wzrok. Brian patrzył koniowi prosto w oczy, jego wprawne dłonie gładziły koński łeb i szyję. Keeley usłyszała, jak wałach wzdycha cicho z czystej przyjemności.

- Masz życzliwe i cierpliwe serce, prawda? - Brian wszedł do boksu, wciąż głaszcząc, poklepując, macając skórę konia rozcapierzonymi palcami. - I kapitalny szeroki grzbiet do noszenia na nim małych, pełnych marzeń chłopców. Od jak dawna jest u ciebie?

Zamrugała powiekami, czerwieniąc się lekko. W jego rękach i głosie było coś hipnotyzującego.

- Od prawie dwóch lat.

Brian przesunął dłońmi wzdłuż boku zwierzęcia. Nagle jego ręce znieruchomiały. Podszedł bliżej, mrużąc oczy i przyglądając się badawczo krechom blizn.

- Co to jest? - spytał, wiedząc doskonale co. Odwrócił się do Keeley tak szybko, że cofnęła się pod ścianę, nim zdołała się powstrzymać. - Ten koń był smagany batem, i to do krwi.

- Jego poprzedni właściciel - odparła lodowatym tonem, będącym reakcją obronną na pierwszy odruch - miał ciężką rękę. Chciał, żeby Teddy wystartował w konkursie jeździeckim, ale koń bał się skakać. Pokazał mu więc, kto tu jest panem.

- Cholerny drań! Jesteś teraz w znacznie lepszym miejscu, co, chłopcze? Piękny dom i śliczna kobieta, która o ciebie dba. Uratowałaś go, prawda? - spytał Keeley.

- Nie posuwałabym się w ocenie aż tak daleko. Są różne metody poskromienia konia. Ja nie...

- Nie poskrwiam koni. - Brian oparł się o szeroki grzbiet koński i popatrzył Keeley w oczy. - Ja je układam. Byle idiota potrafi użyć kija lub bata i złamać końską duszę i serce. Wyhodowanie czempiona, a może tylko przyjaciela, wymaga umiejętności, cierpliwości i łagodnej ręki.

Odczekała chwilę, zdziwiona i zaniepokojona, że przeszedł ją dreszcz.

- Czemu spodziewasz się, że się z tobą nie zgodzę? - spytała. Wyszła z boksu, przechodząc do następnego.

Starzejąca się klacz przywitała ją parsknięciem i potrząsnęła łbem. Keeley wzięła zgrzebło, by dokończyć dzieła rozpoczętego przez uczniów.

- Nie mogę znieść, gdy ktoś jest źle traktowany - powiedział cicho Brian za jej plecami. Keeley nie odwróciła się, nie odezwała. Gdy minął pierwszy poryw gniewu, Brian odczuwał wstyd, że potraktował ją tak niegrzecznie. - Zwłaszcza ktoś, kto ma tak mały wybór. Robi mi się niedobrze i wpadam we wściekłość.

- Znowu spodziewasz się, że będę odmiennego zdania?

- Napadłem na ciebie. Przepraszam. - Położył dłoń na jej ramieniu i nie cofnął jej, nawet gdy Keeley zeszywniała - robił tak zawsze w przypadku nerwowego konia. - Zaglądam w oczy takiego zwierzęcia, jak to tam obok, i widzę wielkie czułe serce. A potem blizny po razach kogoś, kto je bił - ponieważ mógł. Po prostu dostaję szału.

Keeley uczyniła wysiłek, by rozluźnić ramiona.

- Minety trzy miesiące, zanim zaufał mi na tyle, że nie płoszył się za każdym razem, gdy podnosiłam rękę. Pewnego dnia wystawił głowę, kiedy przyszłam, i zarzął tak, jak robią to konie, gdy są szczęśliwe, że cię widzą. Karmiłam go marchewkami i płakałam jak dziecko. Nie mów mi, proszę, o złym traktowaniu i wpadaniu w szal.

Nieczęsto odczuwał wstyd, ale tym razem było mu naprawdę głupio. Wziął głęboki oddech i spróbował zacząć od nowa.

- A jaka jest historia tej ładnej klaczy?

- Czemu myślisz, że w ogóle jest jakaś historia? To zwyczajny koń, na którym się jeździ.

- Keeley. - Przykrył dłonią jej dłoń, w której trzymała zgrzebło. - Przepraszam.

Chciała zabrać rękę, ale poddała się i przytuliła twarz do szyi klaczy. Pocierała policzkiem o końską szyję, tak jak to robiła, gdy obejmowała rodziców.

- Jej zbrodnią był wiek. Ma prawie dwadzieścia lat. Stała w stajni, kompletnie zaniedbana. Miała pokrzywkę i wszy. Jej właściciele pewnie się nią znudzili.

Bez zastanowienia pogłaskał włosy Keeley. Jego dłonie były takim samym środkiem porozumiewania się jak głos.

- Ile masz koni?

- Osiem, łącznie z Samem, ale on jest nieodpowiedni dla uczniów na tym poziomie.

- Uratowałaś je wszystkie?

- Sama dostałam na moje dwudzieste pierwsze urodziny. Inne... cóż, kiedy człowiek obraca się wśród koniarzy, słyszy o koniach. Poza tym potrzebne mi były do szkoły.

- Można by się spodziewać, że będziesz kolekcjonowała konie czystej krwi.

- Tak. Niektórzy by tak zrobili. Przepraszam, muszę nakarmić konie, a potem mam sporo papierkowej roboty.

- Pomogę ci w karmieniu.

- Nie trzeba.

- I tak pomogę.

Keeley wyszła z boksu i oparła się o framugę drzwi. Najlepiej będzie, postanowiła, jeśli postawi sprawę jasno.

- Brianie, pracujesz dla mojej rodziny w bardzo ważnej roli, toteż myślę, że mogę być z tobą szczerą.

- Jak najbardziej. - Poważny ton Briana nie szedł w parze z błyskiem w jego oku.

- Drażnisz mnie - powiedziała. - Pod pewnymi względami po prostu mnie drażnisz. Prawdopodobnie dlatego, że nie interesują mnie zarozumiali, uparci mężczyźni, którzy uśmiechają się do mnie głupio, ale to nie ma znaczenia.

- Owszem, ma. Jaki rodzaj mężczyzn cię interesuje?

- Widzisz - właśnie takie rzeczy mnie denerwują.

- Wiem. To ciekawe, że korci mnie, by robić właśnie coś, co cię drażni. Ty też działasz mi na nerwy. Może dlatego, że nie interesują mnie królewskie kobiety o zimnym spojrzeniu, które patrzą na mnie z góry. Jednak jest, jak jest, musimy więc znaleźć jakiś sposób, by ułożyć nasze stosunki.

- Nie patrzę z góry na nikogo.

- To zależy od twojego punktu widzenia, prawda?

Obróciła się na pięcie i odeszła, koncentrując się na odmierzaniu ziarna,

- Czemu nie wybierzemy bezpiecznego tematu? - zaproponował. - Na przykład, co sądzę o Royal Meadows. Pracowałem w stadninach i na torach, odkąd skończyłem dziesięć lat. Byłem stajennym i ujeżdżaczem. Piąłem się w górę, pokonując przeciwności. Przez dwadzieścia lat poznałem wszystkie strony trenowania, wyścigów i hodowli. Jasne i ciemne. I przez dwadzieścia lat nie widziałem czegoś wspanialszego od Royal Meadows.

Przerwała na chwilę swoje zajęcie i spojrzała mu w twarz, zanim zaczęła dodawać substancje odżywcze do ziarna.

- Moim zdaniem, niewielu jest ludzi tak wartościowych jak jeden dobry koń. Twój rodzice są ludźmi godnymi podziwu. Nie z powodu tego, co mają, ale co zrobili. Praca dla nich do dla mnie zaszczyt. A oni - dodał, gdy odwróciła się znowu do niego - mają szczęście, że dla nich pracuję.

- Najwyraźniej zgadzają się z tobą. - Roześmiała się, kręcąc głową, po czym zaczęła karmić konie. Gdy przeszła obok niego, poczuł zapach jej włosów, jej skóry.

- Ale ty nie jesteś pewna, czy zgadzasz się ze mną. Chyba nie przejawiasz szczególnego zainteresowania pracami w stadninie.

- Doprawdy?

Czytał uważnie starannie wypisaną listę na ścianie, która dokładnie określała, jakie dodatki do paszy są przewidziane dla każdego konia.

- Widuję codziennie twoich braci i siostry - dodał, szykując paszę dla Teddy'ego. - Wszyscy, oprócz ciebie, pracują w stajniach lub na torze.

Mogłaby mu podać czas i miejsce każdego konia, który biegał w ubiegłym tygodniu. Które były leczone, które klacze są żrebne. Duma jej na to nie pozwoliła. Wolała nazywać to dumą, a nie uporem.

- Przypuszczam, że twoja szkółka zabiera ci dużo czasu.

- O, tak, moja szkółka zabiera mi dużo czasu.

- Jesteś dobrą nauczycielką. - Przeszedł do boksu Teddy'ego.

- Dziękuję bardzo - odpowiedziała z przekąsem.

- Nie musisz się obrażać. Któreś z tych bogatych dzieciaków może wytrwać do końca, a nie znudzić się, gdy minie pierwsza gorączka.

- Któreś z moich bogatych dzieciaków - powiedziała cicho.

- Start w konkursie jeździeckim wymaga umiejętności, wytrwałości i pieniędzy, prawda? Sam nie biorę udziału w takich konkursach, choć przyglądam im się z przyjemnością. Mogłabyś wytrenować czempiona. Royal International lub Dublin Grand Prix. Albo zdobyć laur olimpijski.

- Zaraz, zastanówmy się, czy dobrze zrozumiałam. Bogate dzieciaki startują w konkursach jeździeckich i zdobywają błękitne wstążki, a ci, którzy nie znajdują się w takiej uprzywilejowanej sytuacji, robią co? Zostają stajennymi?

- Tak to jest na tym świecie, może nie?

- Tak mogłoby być. Jesteś snobem, Brianie.

Spojrzał na nią z osłupieniem.

- Co takiego?

- Jesteś snobem i to snobem najgorszego rodzaju - takim, który uważa się za człowieka tolerancyjnego. Teraz, gdy już to wiem, przestałeś mnie drażnić.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu. Keeley ucieszyła się. Ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie linii, zadzwonił w najbardziej odpowiednim momencie i zasłużył na jej wdzięczność. Zaskoczenie, malujące się na twarzy Briana, sprawiło jej wielką przyjemność.

- Szkoła jeździecka Royal Meadows. Proszę poczekać chwilę. - Z przyjaznym uśmiechem zasłoniła dłonią słuchawkę. - Naprawdę musimy na tym skończyć. Nie chcę odrywać cię dłużej od pracy.

- Nie jestem snobem - wykrztusił wreszcie Brian.

- Oczywiście ty widzisz to inaczej. Czy możemy porozmawiać o tym kiedy indziej? Muszę odebrać ten telefon.

Rozdrażniony, wrzucił łopatkę z powrotem do ziarna.

- To nie ja noszę cholerne brylanty w uszach - mruknął, wychodząc ze stajni.

Ta rozmowa popsowała mu humor na resztę dnia. Tkwiła w jego myślach jak bolesny kolec. Toczyła niczym rak jego męskie ego.

Snob? Skąd tej kobiecie przyszło do głowy nazwać go snobem? I to po tym, gdy uczynił wysiłek, by nawiązać przyjazne stosunki, a nawet skomplementował jej elitarną szkółkę jeździecką.

Dokonał wieczornego przeglądu, tak jak to miał w zwyczaju, i spędził sporo czasu, zajmując się młodą klaczą, która miała wziąć udział w wyścigu Hialeah. Travis chciał,

żeby Brian z nią pojechał, a on był szczęśliwy, stosując się do tego polecenia.

Najlepiej, żeby dzieliło go od Keeley tysiące kilometrów.

- Nie powinienem był spoglądać w jej kierunku nawet przez mgnienie oka - powiedział cicho do siebie, przytulając twarz do szyi klaczki. - Zwłaszcza że mam pod ręką taką słodycz jak ty. Spędzimy oboje miło czas na Florydzie, prawda?

- Partyjka pokera dziś wieczorem! - zawołał jeden ze stajennych, gdy Brian wychodził ze stajni. Poruszył znacząco brwiami i dodał szeroki uśmiech do tego zaproszenia.

- Wrócę niedługo i z przyjemnością opróżnię wasze kieszenie. - Na razie ja też mam trochę papierkowej roboty, dodał w myślach.

Po powrocie z Florydy odłączył źrebięta od matek. Odstawione od piersi będą z początku rozrabiać. Na dobre rozpocznie się trenowanie jednolatków. Musi sporządzić wykresy, harmonogramy, zaplanować wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Chciał też poświęcić sporo swego prywatnego czasu na ułożenie Betty Złośnicy.

Nie miał powodu, by zbaczać w stronę stajni Keeley. Ale przecież, pomyślał Brian, wyjaśnienie wszystkiego tej kobiecie zajmie mi zaledwie chwilę.

Jednakże zamiast Keeley spotkał jej siostrę. Sara zwolniła kroku i pomachała Brianowi.

- Cześć. Wspaniały wieczór, prawda? Zamierzam to wykorzystać i wybrać się na przejażdżkę przed zachodem słońca. Przyłączysz się?

Propozycja była kusząca. Sara jest świetnym kompanem, a on nie siedział na koniu od tygodni. Miał jednak jeszcze sporo pracy.

- Z wielką przyjemnością, ale innym razem. Jeździsz na jednym z koni Keeley?

- Tak. Zawsze szuka kogoś, kto potrenuje któregoś z jej pieszczoszków. Dzieciaki nie dają im specjalnie do wiwatu, toteż mogłyby zardzewieć albo się znudzić. Jej sobotni uczniowie są bardziej zaawansowani, ale spokojni.

Brian zrównał się z nią.

- Nie sądzę, żeby godzina cwałowania dała wiele koniom.

- Och, Keeley wypuszcza je na pastwisko i dosiada ich sama, kiedy tylko może. Nie tak często, jak chciałaby, ale dzieci mają pierwszeństwo. Ta godzina ewałowania to dla nich bardzo wiele.

Brian mruknął coś pod nosem, gdy okrążali budynek. Miał nadzieję, że Keeley nadal jest w pomieszczeniu, które, jak przypuszczał, było jej biurem. Chciał zamienić z nią parę słów.

- Widziałem dzisiaj część jej uczniów.

- Tak? Czy te dzieciaki nie są milutkie? Dzisiaj... ach, tak, Willy. Zwróciłeś uwagę na małego chłopczyka o ciemnych włosach i oczach? Jeździ na Teddym.

- A, tak. Ma dobrą postawę i cieszą go te lekcje.

- Owszem, teraz. Kiedy Keeley wzięła go pod swoje skrzydła, był porządnie wystraszony. - Sara skręciła do stajni, kierując się prosto do pomieszczenia, gdzie przechowywano sprzęt do konnej jazdy.

- Bał się koni?

- Bał się wszystkiego. Nie wiem, jak ludzie mogą zrobić coś takiego dziecku. Nigdy tego nie zrozumiem.

Sara wybrała uzdę i podziękowała cicho Brianowi, który wybrał dla niej siodło.

- Sprawiać im ból. - Spojrzała przez ramię na Briana. - Och, ale przecież skoro widziałeś uczniów Keeley, to z pewnością opowiedziała ci wszystko o swojej szkole.

- Nie. - Brian wziął również koc na siodło. - Nie rozmawialiśmy o tym. Może ty mi opowiesz?

- Jasne. - Podeszła do starej klaczy i zaczęła przemaszać do niej czule. - Jest moja kochana dziewczynka. Masz ochotę na małą przejażdżkę? Na pewno masz. - Założyła klaczy uzdę i wyprowadziła ją ze stajni. - Nie wiem, czy mam zacząć od koni, czy od dzieci. Wszystko wydarzyło się chyba w tym samym czasie. Najpierw Keeley kupiła Easterna Stara. Był to pięciolatek czystej krwi, który, zdaniem właścicieli, nie wykorzystywał swego potencjału. Faszzerowali go przed wyścigami.

- Dawali narkotyki?

- Amfetaminę. - Rysy jej ładnej twarzy stwardniały. - Przyłapano ich, ale zdążyli uszkodzić mu serce i nerki. Keeley go kupiła. Pielęgowaliśmy go, robiliśmy wszystko, co tylko było można. Nie przeżył roku. Wciąż mnie to rusza - wyszeptała Sara.

Pokręciła głową i zaczęła siodłać klacz.

- Po jego śmierci Keeley zaczęła uważać ratowanie koni za swoją misję. Chyba więc konie były pierwsze. Zorganizowała to miejsce i rozpuściła wieści, że otwiera szkołę jeździecką. Ci, którzy są bogaci, płacą słono za lekcje, co wykorzystuje do dotowania innych uczniów.

- Jakich innych?

- Takich jak Willy. - Sara zacisnęła popręg, sprawdziła strzemiona. - Społecznie upośledzonych, maltretowanych. Uczy je za darmo - wyszukuje je, sponsoruje, ubiera, pracuje z psychologiem zajmującym się problemami dzieci. Dlatego nie ma tyle czasu co kiedyś na konne przejażdżki. Nasza Keeley nie robi niczego połowicznie. Przyjęłaby ich więcej, ale chce, żeby grupy były małe, ponieważ wtedy może poświęcić dużo czasu każdemu dziecku. Prowadzi więc kampanie, żeby zachęcić innych właścicieli do założenia podobnych szkół.

Sara poklepała klacz po szyi.

- Dziwię się, że o tym nie wspomniała. Rzadko pomija okazję, by wciągnąć kogoś do tej akcji.

Z radosnym uśmiechem usadowiła się w siodle.

- Słuchaj, może wpadłbyś na kolację? Słyszałam, że tata będzie piekł dziś kurczęta na rożnie.

- Dziękuję za zaproszenie, ale mam już plany. Życzę miłej przejażdżki.

Tak, mam plany, pomyślał, gdy Sara odjechała kłusem. Odszczekać wszystko. Nie bardzo wiedział, jak to zrobić, był natomiast pewien, że nie sprawi mu to przyjemności.

Obszedł budynek, kierując się do biura. Gdyby nosił kapelusz, pewnie ścisnęłyby go w dłoni. Nikt się nie odezwał, otworzył więc drzwi i zajrzał do środka.

Jak się spodziewał, panował tam idealny porządek. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum Keeley.

Wszystko wewnątrz było urządzone jak przystało na biuro. Na biurku stał komputer, z którego - jak przypuszczał - korzystano znacznie częściej niż z tego, który stał

u Paddy'ego, były dwie linie telefoniczne i mały faks. Kartoteki, dwa porządne fotele, nieduża lodówka. Ciekawy, podszedł do niej i otworzył drzwiczki. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy zobaczył, że jest wyładowana butelkami z napojami orzeźwiającymi, którymi najwyraźniej Keeley żyła.

Gdy obrzucił spojrzeniem ściany, jego uśmiech zamienił się w grymas. Błękitne wstążki, medale, nagrody. Zdjęcia Keeley w pełnym jeździeckim rynsztunku, jak frunie nad przeszkodami, uśmiecha się, siedząc w siodle, albo stoi przytulona policzkiem do szyi wierzchowca.

Na honorowym miejscu wisiał medal olimpijski. Srebrny.

- Cholera jasna! Będę musiał odszczekać dwa razy - mruknął ze złością.

ROZDZIAŁ 4

Wszystko przez niego. Mogła obarczyć winą za to, co się wydarzyło, Briana Donnelly'ego. Gdyby nie był taki niezdolny, i to wtedy, gdy zadzwonił Chad, nie zgodziłyby się na tę kolację i nie straciłyby prawie czterech godzin, nudząc się jak mops, zamiast zajmować się czymś pożytecznym.

Chad jest całkiem w porządku. Dla kogoś, kto ma, powiedzmy, połowę mózgu i żadnych zainteresowań poza krojem marynarki od znanego projektanta mody, kto ekscytuje się burzliwą dyskusją nad właściwym sposobem podawania likieru amaretto, jest doskonałym towarzyszem.

Niestety, nie dla Keeley.

Właśnie w tej chwili rozwodził się na temat obrazu, który kupił ostatnio na wystawie. Nie, nie na temat obrazu, pomyślała ze znużeniem Keeley. Rozmowa o malarstwie i o sztuce mogłaby być cudownym lekarstwem, które uratowałoby ją przed zapadnięciem w śpiączkę. Chad opowiadał jednak nie tyle o obrazie, co o doskonałej lokacie kapitału.

Okna w samochodzie były zamknięte, huczała klimatyzacja. Noc jest po prostu przepiękna, myślała Keeley, ale

gdyby Chad otworzył okna, wiatr zburzyłby mu fryzurę. To niedopuszczalne.

Nie musiała przynajmniej wysilać się na rozmowę. Chad był zwolennikiem monologów.

Pragnął tylko atrakcyjnej towarzyszkii z dobrej rodziny, w odpowiednim przedziale podatkowym, która dobrze się ubiera i będzie w milczeniu wysłuchiwała jego perorowania na parę tematów, które go interesują.

Keeley zdawała sobie jasno sprawę z tego, że pasuje do jego wymagań i że tylko zachęciła go, zgadzając się na tę nieprawdopodobnie nudną randkę.

- Makler zapewnił mnie, że za trzy lata ten obraz będzie wart pięć razy tyle, ile za niego zapłaciłem. W innych okolicznościach wahałbym się, ponieważ artysta jest młody i właściwie nieznany, ale wystawa odniosła spory sukces. Zauważyłem, że T.D. Giles sam zastanawiał się nad kupnem dwóch obrazów, a wiesz, jaki jest przebiegły w tych sprawach. Czy mówiłem ci, że kilka dni temu spotkałem jego żonę Sissy? Wygląda po prostu wspaniale. Chirurgia plastyczna powiek zdziałała u niej cuda, poza tym powiedziała mi, że znalazła nową fantastyczną stylistkę.

O, Boże. pomyślała Keeley. O, Boże, zabierz mnie stąd.

Gdy przejechali między kamiennymi filarami Royal Meadows, miała ochotę krzyknąć z radości.

- Tak bardzo się cieszę, że wreszcie znaleźliśmy dla siebie czas. Życie jest strasznie skomplikowane i wymaga wielu wyrzeczeń, prawda? Nie ma nic bardziej relaksującego od spokojnej kolacji we dwoje.

Jeszcze trochę i zapadłabym w śpiączkę, pomyślała Keeley.

- Milo, że mnie zaprosiłeś, Chad. - Zastanawiała się, na ile niegrzecznie zachowałaby się, gdyby wyskoczyła w biegu z samochodu i popędziła do domu, nie oglądając się za siebie.

Bardzo niegrzecznie, doszła do wniosku. Trudno, zrezygnuje z tego pomysłu.

- Drakę i Pamela - oczywiście znasz Larkenów - wydają w sobotę wieczorem małe *soiree*. Może przyjechałbym po ciebie około ósmej?

Minęła dobra chwila, zanim ochłoneła ze zdumienia, że istotnie użył słowa *soiree*.

- Naprawdę nie mogę, Chad. W sobotę manrlekcje od rana do wieczora. Gdy się już wreszcie skończą, nie mam siły, by udzielać się towarzysko. Ale dziękuję. - Sięgnęła dłonią do kłamki, chcąc jak najszybciej uwolnić się od uprzykrzonego towarzysza.

- Keeley, nie możesz pozwolić, żeby twoja mała szkółka zabierała ci tyle życia.

Zatrzymała dłoń na kłamce i choć widziała światła domu, odwróciła do niego głowę i przyjrzała się badawczo jego idealnemu profilowi. Pewnego dnia ktoś musiał nazwać jej przedsięwzięcie „małą szkółką”, a ona musiała być niegrzeczna i podnieść głos.

- Nie mogę?

- Jestem pewien, że cię to bawi. Hobby to bardzo miła rzecz.

- Hobby?

- Każdy chyba musi znaleźć ujście dla swej energii. - Zdjął rękę z kierownicy i lekceważącym gestem dłoni podsumował dwa lata jej ciężkiej pracy. - Jednak powin-

naś mieć trochę czasu dla siebie. Właśnie niedawno Renny wspomniała, że nie widziała cię od wieków. Gdy już minie pierwsza fascynacja czymś nowym, będziesz się zastanawiała, na czym zszedł ci cały ten czas.

- Moja szkoła to nie hobby ani zabawa, ani też fascynacja nowością. To wyłącznie moja sprawa.

- Jasne. Oczywiście. - Chad zatrzymał samochód, odwrócił się do Keeley i poklepał ją protekcjonalnie po kolanie. - Musisz przyznać, że zabiera ci to nadmiernie dużo czasu. Na wspólną kolację czekałem pół roku.

- To wszystko?

Błądnie zinterpretował jej spokojną reakcję i błysk w oczach. Pochylił się ku niej.

Uderzyła go dłonią w pierś.

- Wybij to sobie z głowy. Coś ci powiem, kolego. Robię więcej przez jeden dzień w mojej szkole niż ty przez tydzień przerzucania papierków w biurze, które podarował ci twój dziadek, pomiędzy manikiurem a likierem amaretto i niezliczonymi *soiree*. Mężczyźni twojego pokroju nie interesują się kobietami takimi jak ja, dlatego minęło sześć miesięcy, zanim doszło do tej nudnej randki. Następnym razem, gdy umówię się z tobą na randkę, będziemy lizać lody owocowe w piekle. Zabieraj więc swój francuski krawat i włoskie buty i się wypchaj.

Chad doznał takiego wstrząsu, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Keeley otworzyła gwałtownie drzwi. Obrażony, zacisnął wargi w wąską kreskę.

- Najwyraźniej ciągle przebywanie w stajni popsuło twoje maniery i poglądy.

- Masz rację, Chad. - Pochyliła się, wysiadając. - Je-

steś dla mnie za dobry. Pójdę na górę i będę wypłakiwać się w poduszkę.

- Plotka głosi, że jesteś zimna - powiedział cichym zjadliwym tonem. - Musiałem sam się o tym przekonać.

Uraziła ją ta uwaga, ale nie zamierzała tego okazać.

- Plotka głosi, że jesteś kretyńcem. Teraz oboje potwierdziliśmy miejscowe plotki.

Chad włączył silnik. Keeley mogłaby przysiąc, że widzi, jak się trzęsie.

- Ikra wat jest angielski.

Zatrzasnęła drzwi samochodu, po czym patrzyła przez zmrużone powieki, jak odjeżdża.

- Angielski krawat. - Śmiech wzbierał w niej, aż wreszcie znalazł ujście. Keeley stała, obejmując się ramionami, i śmiała się na cały głos. - O tym z pewnością mi mówili.

Odetchnęła głęboko i odrzuciła głowę do tyłu, patrząc w niebo na migocące gwiazdy.

- Kretynizm - powiedziała cicho. - To dotyczy nas obojga.

Usłyszała ciche pstryknięcie, odwróciła się i zobaczyła Briana, który zapalał cienkie cygaro.

- Sprzeczka kochanków?

- Właśnie. - Wściekłość, którą rozbudził Chad, rozgorzała na nowo. - Chce mnie zabrać na Antiguę, a ja zdecydowanie wolę Mozambik. Antigua śmiertelnie mi się znudziła.

Brian zaciągnął się w zamyśleniu cygarem. Wyglądała tak przepięknie w blasku księżyca w swojej skromnej małej czarnej, włosy opadały jej na ramiona ognistą falą. Gdy

usłyszał jej długi, perlisty, cudowny śmiech, miał wrażenie, że odkrył skarb. Teraz znów w jej oczach płonął gniew skierowany przeciwko niemu.

Było to niemal równie wspaniałe.

Zaciągnął się jeszcze raz cygarem i wypuścił kłęb dymu.

- Nakręcasz mnie, Keeley.

- Chciałabym cię nakręcić, potem roztrzaskać na drobne kawałki i wysłać wszystkie z powrotem do Irlandii.

- Tyle się domyśliłem. - Wyrzucił cygaro i podszedł bliżej. W przeciwieństwie do Chada nie zinterpretował błędnie błysku w jej oczach. - Masz ochotę kogoś walnąć. - Zamknął jej zwiniętą w pięść dłoń w swojej ręce i podniósł na wysokość brody. - No, śmiało!

- Choć to zaproszenie jest niezwykle kuszące, nie zwykłam rozwiązywać moich problemów w ten sposób. - Chciała odejść, ale Brian nie puścił jej dłoni. - Ale - wycedziła - mogę uczynić wyjątek od reguły.

- Nie cierpię przeproszać i nie musiałbym tego robić, gdybyś od początku postawiła sprawy jasno.

Uniosła brwi. Uchybiałoby jej godności, gdyby próbowała uwolnić się z uścisku tej dużej, silnej ręki.

- Czy chodzi ci o moją małą szkółkę?

- To, co robisz, jest naprawdę wspaniałe. Godne podziwu i wcale nie jest to „mała szkółka”. Chciałbym ci pomóc.

- Słucham?

- Chciałbym cię zastąpić, kiedy będę mógł. Odstap mi trochę swojego czasu.

Kompletnie zaskoczona, pokręciła głową.

„ Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

- Tak też myślę. Ale nie zaszkodziłoby to twojej reputacji, prawda?

- Czemu mi to proponujesz?

- A czemu nie? Przyznasz, że znam konie. Mam mocne plecy i wierzę w to, co robisz.

Była to ostatnia rzecz, która złamała jej linię obrony. Nikt spoza rodziny nie zrozumiał tak łatwo, co chce osiągnąć. Spróbowała uwolnić rękę, a gdy ją puścił, cofnęła się.

- Proponujesz mi to, ponieważ czujesz się winny?

- Proponuję ci to, ponieważ jestem zainteresowany. Przeprosiłem cię, ponieważ czułem się winny.

- Jeszcze mnie nie przeprosiłeś - zauważyła, ale uśmiechnęła się, zaczynając iść. - Nieważne. Być może skorzystam z twoich mocnych pleców" od czasu do czasu. - Spojrzała na niego, gdy się z nią zrównał. Wygląda na to, że zyskała pomocnika. Przesunęła spojrzeniem po dżinsach i białej koszulce, które miał na sobie.

Silne zdrowe ciało, dobre ręce i wrodzone rozumienie koni. Z pewnością mogła trafić znacznie gorzej.

- Jeździsz konno?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział, zauważając w chwilę później jej pełen wyższości uśmiezek. - Przyłapałaś mnie znowu, prawda?

- Tym razem bez trudu. - Ruszyła przed siebie ścieżką, która wiała się pośród kwitnących krzewów i dywanu stokrotek. - Nie zapłacę ci.

- Mam pracę, dziękuję.

- Dzieci radzą sobie z wieloma obowiązkami - powiedziała. - To część programu. Nie chodzi o to, by nauczyć

je unosić się w siodle w czasie kłusa. Chodzi o zaufanie - do samych siebie, do konia, do mnie, o nawiązanie stosunków z koniem. Przerzucanie gnoju taki związek ustanawia.

- Nie mogę zaprzeczyć - rzekł z uśmiechem.

- To przecież jeszcze dzieci, a więc zabawa stanowi ważną część programu. Dopiero się uczą, toteż nie zawsze najlepiej oporządzą konia czy też wyrzucają gnój.

- Zacząłem moją znakomitą karierę od wideł w dłoni i mydła do siodeł.

Gdy skręciła w stronę domu, chwycił ją znów za rękę.

- Nie idź jeszcze. Noc jest taka piękna, że szkoda ją tracić na sen.

Miał ładny głos, o kojącym brzmieniu. Nie było powodu, by zastanawiać się, czemu przyprawiał ją o dreszcz.

- Oboje musimy wcześniej wstać.

- To prawda, ale przecież oboje jesteśmy młodzi, prawda? Widziałem twój medal.

Zaskoczona, zapomniała cofnąć rękę.

- Mój medal?

- Twój medal olimpijski. Szukałem cię w biurze.

- Ten medal wabi rodziców, których stać na płacenie za lekcje.

- Możesz być z niego dumna.

- Jestem dumna. - Wolną ręką przygładziła włosy, które rozwiewał lekki wietrzyk. Musnęła czubkami palców delikatne płatki kwiatu. - Ale to mnie nie definiuje.

- Nie tyle co... Jak to było? Angielski krawat?

Wybuchnęła szczerym śmiechem, który rozładował nieco rosnące w niej napięcie.

- A to niespodzianka. Przy dużym nakładzie czasu i wysiłku być może zacznę cię jeszcze lubić.

- Mam mnóstwo czasu. - Puścił jej dłoń i dotknął delikatnie włosów. Cofnęła się gwałtownie. - Jesteś strasznie płochliwa - powiedział cicho.

- Nie, szczególnie. - Na ogół, pomyślała. Nie wobec większości ludzi.

- Rzecz w tym, że lubię dotykać - powiedział, celowo muskając jeszcze raz jej włosy. - To właśnie ten... kontakt. Człowiek uczy się przez dotyk.

- Ja nie... - Głos jej zamarł, gdy dłoń Briana spoczęła na jej karku.

- Dowiedziałem się już, że tu właśnie koncentrują się twoje zmartwienia. Jest ich więcej, niż widać na twarzy. To niesamowite, jaką masz twarz, Keeley. Zwała faceta z nóg.

Napięcie wymykało się spod jego palców, gdy jej dotykał, i narastało wszędzie gdzie indziej. Zdawało się skupiać w niej, koncentrować. Ucisk w klatce piersiowej był tak nagły i silny, że zabrakło jej tchu.

- Moja twarz nie ma nic wspólnego z tym, kim jestem.

- Może nie, ale to nie przeszkadza w odczuwaniu czyściej przyjemności, gdy się na nią patrzy.

Gdyby nie zadrżała, Brian zdołałby się powstrzymać. To był błąd. Ale popełniał je przedtem i pewnie jeszcze nieraz je popełni. Noc była księżycowa, w powietrzu unosił się zapach ostatnich letnich róż. Czy mężczyzna ma odejść od pięknej kobiety, która drży pod jego dłonią?

Nie on, pomyślał.

- Noc jest zbyt piękna, żeby ją marnować - powiedział znowu, pochylając się ku niej.

Chciała się cofnąć, gdy Brian zbliżył usta do jej warg, ale wciąż masował palcami jej kark, trzymając ją blisko siebie. Opuścił wzrok na jej usta i uśmiechnął się.

- *Cushla machree* - wyszeptał i Keeley uległa czarowi chwili, jak gdyby to było zaklęcie.

Muśnięcie jego warg było tak delikatne jak dotyk skrzydeł motyla. Keeley zadrżała. Przyciągnął ją do siebie bliżej, kusząc powoli jej ciało, by przylgnęło do niego, jej krągłości do jego kantów, i przesuwając pieśczośliwie dłońią po jej plecach.

Rozchyliła wargi, gdy chwycił je leciutko zębami.

W głowie jej się zakręciło, krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach, miała wrażenie, że balansuje na krawędzi. Wspaniale było czuć tę miękkość w kolanach, swoją kobiecość. Zarzuciła mu ramiona na szyję, pozwalając sobie zachwiać się na tej rozkosznej krawędzi.

Potrafił być delikatny, zawsze miał w sobie czułość dla kruchych istot. Jednak nagłe i całkowite poddanie się Keeley wyzwoliło w nim potrzebę zagarnięcia. Spodziewał się oporu. Zrozumiałby wszystko, od zimnej pogardy do instynktownej namiętności. Ale to... poddanie pokonało go kompletnie.

- Więcej - tchnął w jej wargi. - Jeszcze trochę więcej. - I pogłębił pocałunek.

Keeley wydała niski pomruk. Serce w nim zadrżało, zaczęło bić nierówno, po czym, niech mu Bóg dopomoże, zamarło.

Wstrząs spowodował, że odsunął ją, przyglądając jej się bacznie, z ostrożnością człowieka, który nagłe odkrył, że trzyma tygrysa, a nie kociaka.

Czy naprawdę myślał, że to błąd? Zwykły błąd? Właśnie dał jej do ręki władzę nad sobą, która może go zniszczyć.

- Do diabła!

Zamrugła, próbując oswoić się z niespodziewaną zmianą. Brian miał surową minę, dłonie, którymi trzymał ją teraz za ramiona, nie były już delikatne. Ogarniało ją drżenie, ale nie mogła pozwolić sobie jeszcze raz na okazywanie słabości.

- Pozwól mi odejść.

- Do niczego cię nie zmuszałem.

- Nic takiego nie powiedziałam.

Wargi Keeley nadal drżały, jej żołądek wyczytniał dziwne harce. Plotka głosi, że jestem zimna, pomyślała półprzytomnie. W dodatku sama w to uwierzyłam. Odkrycie, że jest inaczej, nie jest powodem do świętowania. Raczej do paniki.

- Nie chcę tego. - Bezbronność i pragnienie.

- Ani ja. - Puścił ją i włożył ręce do kieszeni. - Niezła sytuacja.

- Żadna sytuacja, jeśli do tego nie dopuścimy. - Miała ochotę przyłożyć rękę do serca i trzymać ją tam. Dziwiło ją, że Brian nie słyszy jego łomom. - Jesteśmy oboje dorośli, bierzemy odpowiedzialność za własne czyny. Oboje mieliśmy chwilę słabości. Więcej się to nie powtórzy.

- A jeśli się powtórzy?

- To się nie stanie, ponieważ każde z nas ma swoje priorytety, a... sprawy by się skomplikowały. Zapomnimy o tym. Dobranoc.

Ruszyła w stronę domu. Nie biegła, choć z trudem się od tego powstrzymała.

Miał nadzieję, że wyjazd na Florydę i ciężka praca pomogą mu zapomnieć, jednak mu się to nie udało. Ponieważ sam cierpiał, nie widział powodu, dlaczego Keeley miała-by łatwo i szybko wyrzucić z pamięci to, co ich do siebie przyciągało.

Potrafi radzić sobie z kobietami. Księżniczka czy nie, Keeley jest kobietą. Dowie się, że nie uda jej się opędzić od Briana Donnelly'ego jak od uprzykrzonej muchy.

Zdażał drogą od stajni do swej kwatery z workiem przewieszonym przez ramię. Spał niewiele w drodze powrotnej z Hialeah. Mógł przylecieć samolotem, ale wolał zostać z końmi i jechać samochodem.

Jego konie dały z siebie wszystko, czego się po nich spodziewał. Był z nich dumny, a jednocześnie miał wypchaną kieszeń. Mógł się im przynajmniej odwdzięczyć, doglądając ich w drodze powrotnej do domu.

Teraz jednak marzył wyłącznie, by wziąć gorący prysznic, ogolić się i wypić filiżankę mocnej herbaty.

Oddałby jednak to wszystko za jeszcze jedną możliwość poczucia smaku Keeley.

Rozdrażniony, rzucił spojrzenie w stronę jej padoku. Gdy tylko się umyje, przyrzekł sobie, odbędzie krótką rozmowę. Bardzo krótką, a potem znowu jej dotknie. A gdy już jej dotknie...

Erotyczny obraz, który wyczarował w swoich myślach, przysnął jak bańka mydlana, gdy okrążył dom i zobaczył matkę Keeley, klęczącą przy klombie.

Poczuł się średnio, wpadając na matkę w chwili, gdy wyobrażał sobie jej córkę naga. Gdy Adelia podniosła na niego wzrok, zauważył łzy na jej policzkach.

- Ach... pani Grant - wydukał zmieszany.

- Brian. - Pociągając nosem, otarła policzki grzbietem dłoni. - Postanowiłam wypielić grządki. Strasznie zagłuszają kwiaty. - Poprawiła czapkę na głowie, po czym opuściła ręce i opadła z powrotem na pięty. - Przepraszam.

- Ach... - Już to mówiłem, pomyślał, spanikowany. Powiedz, idioto, coś innego. Nigdy nie czuł się tak bezradny jak w obliczu kobiecych łez.

- Tęsknię za wujkiem Paddym. Wyjechał Wczoraj. - Nie udało jej się stłumić szlochu. - Myślałam, że jak przyjdę tutaj i zajmę się pracą przy kwiatkach, poczuję się lepiej, ale uświadomiłam sobie, że nie ma go w stajniach ani nigdzie w pobliżu. Wiem, że chciał wyjechać, ale...

- Ach... - O, do diabła! Brian zaczął gorączkowo szukać po kieszeniach chusteczki. - Może powinna pani...

- Dziękuję. - Wzięła chustkę od Briana, który przykucnął obok niej. - Przypuszczam, że wiesz, co znaczy rozłąka z rodziną.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie utrzymuję z moją bliskich kontaktów.

- Rodzina to rodzina. - Wytarła twarz i westchnęła głęboko.

Wygląda tak młodo, pomyślał, zupełnie nie jak matka dorosłych dzieci, w czapeczce przekrzywionej na głowie i mokrymi oczami. Zrobił to, co było dla niego całkiem naturalne - ujął jej dłoń.

Wsparła na chwilę głowę na jego ramieniu.

- Paddy zmienił całkiem moje życie, sprowadzając mnie tutaj. Denerwowałam się okropnie - nowe miejsce, nowi ludzie, nieznany kraj. Poza tym nie widziałam Paddy'ego od lat, tylko na zdjęciach, a twarzą w twarz zetknęłam się z nim, gdy byłam małym dzieckiem. Jednak gdy tylko go zobaczyłam, wszystko było wspaniale. Nie wiem, co bym bez niego poczęła.

Rozmowa z Brianem złagodziła ból; znalazła w nim wdzięcznego słuchacza, przy którym mogła się wygadać.

- Nie chciałam płakać przy Travisie i dzieciach, ponieważ im również go brakuje. Trzymałam się całkiem nieźle, dopóki nie przyszłam tutaj. Mieszkałam tu na początku, po przyjeździe do Royal Meadows. W ładnym pokoju o zielonych ścianach i białych zasłonach. Byłam taka młoda.

- A teraz jest pani stara i niedołączna - powiedział Brian, czując ulgę, gdy się roześmiała.

- No, może nie całkiem niedołączna, ale wtedy byłam bardzo niedoświadczona. W całym moim życiu nie widziałam takiego miejsca jak to, a miałam tu zamieszkać. Gdyby nie on, Travis pewnie nie zatrudniłby kogoś takiego jak ja w charakterze stajennego.

- Stajenny. - Brian uniósł ze zdziwieniem brwi. - Myślałam, że to zmyślona historia.

- Ależ nie, szczerą prawdą - zaprzeczyła gorąco i z niewątpliwą nutą dumy. - Zarabiałam na swoje utrzymanie. W tamtych czasach byłam dobrym stajennym. Do mnie należał Majesty.

Brian osunął się na ziemię obok niej.

- Pani zajmowała się Majestym?

- Tak, i byłam świadkiem, jak wygrywa w derbach. Och, kochałam tego konia. Znasz to uczucie.

- O tak, znam.

- Straciliśmy go dopiero w zeszłym roku. Miał długie piękne życie. Myślę, że właśnie wtedy Paddy postanowił wrócić do domu. Jest tam teraz. Wiem, co widzi, gdy stoi przed domem, i to jest dla mnie pociechą. Dziękuję ci, Brianie...

- Nic nie zrobiłem. Nie umiem radzić sobie ze łzami.

- Ale potrafisz słuchać. - Oddała mu chusteczkę.

- To dlatego, że na widok łez tracę mowę. Ma pani na twarzy trochę ziemi ogrodowej.

Keeley nadeszła ścieżką w chwili, gdy Brian ocierał delikatnie twarz jej matki niebieską chusteczką. Ujrzawszy ślady łez, rzuciła się naprzód jak lwica w obronie swoich małych.

- Co się stało? Co zrobiłeś? - syknęła do Briana, obejmując Adelę.

- Nic. Tylko znokautowałem twoją mamę i kopnąłem ją kilka razy.

- Keeley. - Adelia poklepała ze śmiechem dłoń córki. - Brian użyczył mi chustki i ramienia, żebym mogła się wypłakać z tęsknoty za wujkiem Paddym.

- Och, mamó! - Keeley przytuliła policzek do policzka matki i potarła go lekko. - Nie smuć się.

- Odrobinę muszę. Już mi lepiej - powiedziała Adelia. - Pochyliła się, całując zaskoczonego Briana w policzek. - Jesteś przemiłym i cierpliwym młodzieńcem.

Wstał i podał jej rękę, pomagając się podnieść.

- Nie mam u nikogo takiej opinii, pani Grant.

- To dlatego, że nikt ci się nie przyjrzał z bliska. Teraz, gdy wypłakałam się na twoim ramieniu, łatwiej powinno ci przyjść mówienie do mnie po imieniu. No, najwyższy czas iść do stajni trochę popracować.

- Mama prawie nigdy nie płacze - powiedziała cicho Keeley, gdy Adelia odeszła. - Chyba że jest bardzo szczęśliwa albo bardzo smutna. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam, ale gdy zobaczyłam, że płacze, przestałam myśleć.

- Łzy działają na mnie w taki sam sposób.

Skinęła głową, po czym rozejrzała się dookoła, szukając słów, które rozładowałyby niezręczną sytuację. A była taka pewna, że zachowa spokój i opanowanie, gdy znów go zobaczy!

- Słyszałam, że dobrze się sprawiłeś w Hialeah.

- Sprawiliśmy się. Twój Hero biega naprawdę wspaniale.

- Tak, widziałam go. Żyje po to, by biegać. - Zauważyła torbę, którą Brian położył na ziemi. - Jeszcze nie zdążyłeś całkiem wrócić, a tu jedna kobieta wypłakuje ci się na ramieniu, a druga rzuca się na ciebie z pięściami. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Na tyle, żeby zaparzyć mi herbaty, kiedy będę brał prysznic?

- Ja... no, dobrze, ale mam niecałą godzinę.

- Wystarczy, by przygotować dzbanek herbaty. - Zadowolony, zaczął wchodzić po schodach na górę. - Prowadzisz dzisiaj lekcje?

- Tak. - Schwytna w pułapkę Keeley wzruszyła ramionami i weszła za nim do środka. Był taki miły dla jej

matki. Powinna mu się zrewanżować. - O wpół do czwartej. Muszę zrobić jeszcze to i owo, zanim zjawią się uczniowie.

- Pośpieszę się. Chyba wiesz, gdzie jest kuchnia?

Skrzywiła się do jego pleców, gdy wymaszerował do sypialni.

Pomyślała, że parzenie mu herbaty nie mieściło się w jej wyobrażeniach, jak poradzić sobie z sytuacją. Rozważyła wszystkie za i przeciw i doszła do wniosku, że najlepiej będzie zachować uprzejmy, przyjacielski dystans. To, co się wydarzyło kilka dni temu, dało się wytłumaczyć chwilowym brakiem rozsądku.

Nie do wiary.

Otrząsnęła się i wyjęła stary ulubiony dzbanek do herbaty Paddy'ego. Nie, nie ma się -czym przejmować. Właściwie z jednego względu powinna być naprawdę wdzięczna Brianowi. Udowodnił jej, że wcale nie jest taka obojętna wobec mężczyzn, jak jej się wydawało. Trocheja martwiło, że nigdy nie poczuła tej iskry, o której opowiadało tyle jej przyjaciółek.

Hm, z pewnością poczuła cały snop iskieł, gdy jej dotknął. I było to dobre, zdrowe. Ktoś wreszcie objął ją we właściwym czasie, właściwym miejscu i gdy była we właściwym nastroju. Skoro zdarzyło się raz, może zdarzyć się znowu.

Oczywiście, z kim innym. Kiedy ona zdecyduje, że nadszedł czas.

Odstawiła herbatę, żeby naciągnęła, po czym otworzyła kredens i wspięła się na palce, by wyjąć z półki filiżankę.

- Ja to zrobię. - Podeszedł do niej od tyłu, zręcznie

więżąc ją między swym ciałem a białem. Zamknął dłonie na jej dłoniach, w których trzymała filiżankę.

Czuła zapach jego ciała świeżo po prysznicu, czuła jego żar. W ustach nagle jej zaschło.

- Postanowiłem, że nie będę starał się zapomnieć.

Keeley zamarła.

- Słucham?

- I że tobie też nie pozwolę.

Musiała przełknąć ślinę, ale gardło miała ściśnięte.

- Uzgodniliśmy...

- Nie, nie uzgodniliśmy. - Wyjął z jej dłoni filiżankę i postawił na blacie kredensu. - Uzgodniliśmy jedynie, że tego nie chcemy. - Koński ogon odsłaniał urocze wygięcie jej nagiej szyi. Przytulił do niej wargi. - Powiedziałbym, że istnieje milczące porozumienie, że mimo to pragniemy się nawzajem.

Potężny dreszcz, wzniecony przez jego usta, spłynął od karku w dół jej pleców.

- Przecież się nie znamy.

- Wiem, jaki masz smak. - Uszczypnął lekko zębami szyję Keeley. - Jak pachniesz, jaka jesteś w dotyku. Zawsze mam przed oczyma twoją twarz, czy chcę tego, czy nie. - Okręcił ją twarzą do siebie, oczy miał pociemniałe i pełne niepokoju. - Dlaczego ty masz mieć wybór, skoro ja nie mam?

Zmiażdżył pocałunkiem jej wargi, wzbudzając namiętny i niebezpieczny dreszcz podniecenia. Zanurzwszy dłonie w jej włosach, przylgnął do niej całym ciałem.

Tym razem wyczuła w jego uścisku tyleż gniewu, co namiętności. W dreszczyku emocji czaiła się odrobina

strachu. Ta kombinacja była nieprawdopodobnie podniecająca.

- Nie jestem na to gotowa. - Wyzwoliła się z jego objęć. - Nie jestem gotowa. Potrafisz to zrozumieć?

- Nie. - Rozumiał natomiast to, co zobaczył w jej oczach. Przeraził ją, a tego nie miał prawa robić. - Ale i tym razem po prostu nie chcę. - Odsunął się. - Twoja matka powiedziała, że jestem cierpliwy. W pewnych okolicznościach rzeczywiście mi się to udaje. Zaczekam, ponieważ przyjdiesz do mnie. Coś się dzieje między nami, toteż przyjdiesz do mnie, gdy będziesz gotowa.

- Między pewnością siebie a arogancją istnieje cienka granica, Brianie. Uważaj, żebyś jej nie przekroczył - powiedziała, idąc ku drzwiom.

- Tęskniłem za tobą.

Trzymała rękę na klamce, ale nie mogła jej obrócić.

- Znasz wszystkie aspekty - szepnęła.

- Być może to prawda. Mimo to tęskniłem za tobą.

Dziękuję za herbatę.

Westchnęła.

- Proszę bardzo - odrzekła i wyszła.

ROZDZIAŁ 5

Betty Złośnica w pełni zasłużyła na swoje imię. Nie tylko rozrabiała, ale szukała do tego okazji. Nic chyba nie cieszyło jej bardziej od podszczypywania stajennych. Chyba że kopanie ujeżdżaczy. Na pastwisku ganiała inne jednolatki, wierzgała, parskła ze złością i stawiała dęba, gdy wieczorem nadchodził czas powrotu do stajni.

Ze wszystkich tych powodów oraz jeszcze kilku innych Brian ją wprost uwielbiał.

Wśród pracowników rozległo się ogólne westchnienie ulgi, gdy się zdecydował osobiście nią zająć. Poddawała go próbom i mimo że rzadko udawało jej się zmylić jego uwagę, nosił na sobie imponującą kolekcję sińców z jej autografem.

Szeptano po kątach, że jest ludożercą, ale Brian wiedział, że to nie prawda. Była buntowniczką. I zwyciężczynią. Trzeba ją było tylko nauczyć, jak zwyciężać, nie niszcząc jednocześnie jej dzikiej natury.

Wyprowadził ją na spacer na lonży, ona zaś udawała, że go nie zauważa. Mimo to, gdy do niej mówił, strzygła uszami i od czasu do czasu spoglądała na niego z ukosa. Dni ciężkiej pracy zostały nagrodzone, gdy przedłużył linkę, a Betty puściła się cwałem dookoła wybiegu.

- Ach, o to chodzi. Ależ jesteś piękna! - Chciałby zatrzymać tę chwilę - piękna młoda klacz, cwałująca wokół wybiegu na tle zielonych wzgórz i błękitnego nieba.

Gdy patrzył na nią, na jej sylwetkę, postawę, łatwy do rozpoznania błysk w oku, widział jeszcze jedno - a mianowicie swoje przeznaczenie.

- Pasujemy do siebie, ty i ja - powiedział cicho. - Jesteśmy sobie przeznaczeni. Oboje jesteśmy buntownikami, a przynajmniej tak twierdzą ludzie, którzy nie rozumieją, dokąd zmierzamy. Musimy zwyciężyć w wyścigach, prawda?

Brian skrócił linkę i Betty przeszła w kłus. Gdy skrócił ją jeszcze bardziej, zaczęła iść stępa. Pot lśnił na skórze klaczy, spływał po plecach Briana. Lato nie chciało podać się jesieni, choć nastał już wrzesień.

Ignorując upał, przyglądali się sobie nawzajem.

Co pewien czas używał linki, by dać klaczce znak, gdy krążyła wokół padoku, a jednocześnie ciągle ją chwalił.

Keeley nie mogła się oprzeć, tak bardzo korciło ją, by przyjrzeć się treningowi klaczy. Czekają na nią sporo pracy, nagromadziło jej się trochę zaległości. Czemu jednak nie miałyby skraść kilku chwil cudownego wrześnieowego dnia, żeby być świadkiem małego cudu?

Oparła się o płot, patrząc z przyjemnością, jak Brian zmusza Betty, by pokazała, co potrafi. Ojciec miał rację, zatrudniając go, pomyślała. Między koniem a mężczyzną istniał związek silniejszy i nawet bardziej namacalny od lonży, na której Brian prowadził klacz. Keeley czuła to. Rozbawienie, uczucie, wyzwanie.

To jest coś, czego nie można się nauczyć. To po prostu jest.

Wiedziała, że Brian znajduje czas dla każdego żrebaka odstawionego od piersi, gdy nie wyjeżdża poza miasto na wyścigi. To niełatwe zadanie w stadninie tak dużej jak Royal Meadows. Mądry i troskliwy koniarz wie, że im więcej mówi się do konia, gdy jest miody, dotyka go, tym lepszej reakcji można się spodziewać później, podczas treningu.

- Wygląda świetnie, prawda? - powiedział Brian, puszczając linę do ostatniego cwału.

- Świetnie. Uczyniłeś z nią duże postępy.

- Oboje uczyniliśmy wzajemne postępy, prawda, *ghra*? Naprawdę gotowa jest poczuć na swoim grzbiecie jeźdźca.

Znając reputację Betty, Keeley zrobiła minę pełną wątpliwości.

- A kogo przekupisz - albo zmusisz groźbą - żeby na niej pojechał?

Brian skracał stopniowo lonżę, aż Betty przeszła w równy kłus.

- Szukasz pracy?

- Dziękuję, mam pracę - odparła, ale zadanie było kuszące.

Brian wiedział, kiedy trzeba zostawić zasiane ziarno, żeby wykiełkowało w spokoju.

- Jutro rano będzie po raz pierwszy nosiła na sobie jeźdźca. - Skrócił jeszcze bardziej linę, zmuszając Betty, by podeszła do niego, po czym oboje zbliżyli się do Keeley.

Cieszył go widok dziewczyny opartej o płot, jej włosy lśniły niczym sierść klaczki, oczy miały równie nieufny wyraz.

- Ona nie będzie ani łagodna, ani nie zechce bardzo się starać. Da się jednak przekonać, prawda, *maverneen*?

Pogłaskał klaczkę po szyi, ona zaś trąciła nosem torbę, którą miał przypiętą do pasa, po czym odwróciła łeb.

- Chce mi dać do zrozumienia, że nie obchodzą jej jabłka, które tutaj mam. Ani trochę. - Obwiązał linę wokół sztachety płotu, wyjął z torby jabłko, a z kieszeni nóż. Przeciął je bez pośpiechu na pół. - Może dam je innej ślicznej kobiecie.

Wyciągnął rękę z jabłkiem do Keeley i w tym samym momencie Betty poczęstowała go potężnym ciosem łba, który rzucił go na płot.

- Teraz chce zwrócić moją uwagę. Czy wobec tego zjesz kawałek?

Odwrócił się do klaczy i podał jej jabłko. Betty wzięła je z jego dłoni z pełną godności delikatnością.

- Ona mnie kocha.

- Kocha twoje jabłka.

- Och, to wcale nie tak. Spójrz tylko. - Zanim Keeley zdążyła się uchylić - czy nawet o tym pomyśleć - Brian położył dłoń na jej karku, przyciągnął ją bliżej i potarł prowokacyjnie wargami o jej wargi.

Betty parsknęła ze wzburzeniem i znów trąciła go mocno głową.

- Widzisz? - Brian musnął lekko zębami usta Keeley, zanim ją puścił. - Jest zazdrosna. Nie pozwala mi okazywać uczuć innej kobiecie.

- Następnym razem pocałuj ją i oszczędź sobie siniaków.

- Warto było. Podwójnie.

- Konie łatwiej oczarować niż kobiety. - Wyjęła jabłko z jego dłoni i zatopiła w nim zęby. - Po prostu smakują mi twoje jabłka - powiedziała, odchodząc.

- Jest równie przekorna jak ty. - Przytulił twarz do pyska Betty, patrząc za Keeley, która szła do swoich stajni. - Ciekawe, dlaczego tak bardzo pociągają mnie przekorne kobiety?

Wcale nie zamierzała odwiedzić stajni jednolatków. Naprawdę. Po prostu wstała wcześniej rano, a swoje obowiązki już wypełniła. Była ciekawa, to fakt. Gdy weszła do środka z szarego łagodnego świtu, od razu usłyszała głos Briana.

Uśmiechnęła się. Rozbawiło ją brzmiące w nim rozdrażnienie.

- Daj spokój, Jim, przegrałeś w ciagnieniu. Nie możesz mnie wystawić do wiatru.

- Wcale tego nie robię.

Młody ujeżdżacz zaciskał zęby i kulił ramiona, gdy Keeley weszła do boksu.

- Dzień dobry. Słyszę, że wyciągnąłeś krótszą słomkę, Jim.

- Takie mam szczęście. - Obrzucił Betty smutnym spojrzeniem. - Ta tutaj chce mniej zjeść żywcem.

- Raczej przeżuć i wypluć - powiedział z niesmakiem Brian. - Dajesz jej w tej chwili do tego powód, okazując, że się jej boisz. Przejdziesz dzisiaj do historii - na jej

grzbiecie pojedzie pierwszy dżokej i następny zwycięzca Triple Crown.

Jak gdyby reagując na tę przepowiednię, Betty parsknęła i zatańczyła w miejscu, gdy Brian szarpnął mocniej skrócone lejce. Oczy Jima zrobiły się duże i okrągłe w pobladłej twarzy.

- Ja to zrobię. - Keeley nie była pewna, czy powoduje nią współczucie dla przerażonego chłopca, czy też chce stawić czoło wyzwaniu. - Skoro jest to historyczna chwila, to czempiona Royal Meadows powinno osiąść któreś z Grantów. - Uśmiechnęła się do Jima. - Daj mi kurtkę i czapkę.

- Jesteś pewna? - Jim wodził spojrzeniem od Keeley do Briana z większą nadzieją niż wstydem.

- To ona jest szefem - powiedział Brian. - Twoja strata. Jim.

- Wolę stracić, ale uratować skórę. - Ruszył ku wyjściu z boksu trochę zbyt ochoczo. Betty, jak gdyby wyczuwając swoją szansę, wierzgnęła. Klnąc pod nosem, Brian wypchnął Jima ramieniem za zewnątrz, inkasując cios kopytem w żebra.

Posypał się grad przekleństw, wymówionych półgłosem, co tylko spotęgowało wrażenie. Po chwili namysłu Keeley wsunęła się do boksu i chwyciła za lejce, by pomóc Brianowi w poskromieniu klaczy.

Pięćset kilogramów koma próbowało się uwolnić. Keeley czuła bijący od niej żar, jak również od Briana. gdy ich ciała się zetknęły.

- Jak mocno cię kopnęła?

- Nie tak mocno, jak chciała. - Wystarczająco, pomy-

ślał, żeby pozbawić go tchu i żeby zobaczył wszystkie gwiazdy.

Odrzucił włosy, opadające mu na oczy, zamrugał, strze-
pując pot z powiek, i zmusił klacz do poddania się.

- Brian, przepraszam.

- Powinieneś mieć więcej rozsądku i nie odwracać się
plecami do bojaźliwej klaczy - rzekł Brian do Jima. -
Następnym razem pozwolę jej kopnąć cię w głowę. Wyjdź.
Ona doskonale wie, że cię okpiła. Cofnij się - polecił
Keeley tym samym chłodnym rozkazującym tonem, po
czym szarpnął mocno wodze, ściągając w dół głowę Betty.

- No i jak to ma być? Chcesz pokazywać humory i zre-
zygnować ze sławy? Tracę z tobą czas? Może nie chcesz
biegać? Zaczekamy po prostu, aż będziesz w rui i przypro-
wadzimy ogiera, żeby cię pokrył, a potem wyślemy na
pastwisko, żebyś urodziła. A wtedy nigdy się nie dowiesz,
co to znaczy zwyciężać.

Wyszędłszy z przegrody, Keeley włożyła watowaną
kurtkę i czapkę. Czekwała. Koszula Briana była mokra od
potu, włosy miał potargane, mięśnie ramion napięte.

Pomyślała, że wygląda właśnie tak, jak powinien wy-
glądać koniarz. Silny. Pewny siebie. I na tyle zuchwały, by
wierzyć, że potrafi wygrać ze zwierzęciem ponad pięcio-
krotnie od niego cięższym.

Przemawiał nadal do klaczy, ale teraz w starym irlandz-
kim. Melodia słów łagodziła, a zarazem rozgrzewała.
Unosiły się w powietrzu, to opadając, to się wznosząc.
Hipnotyzując.

Klacz stała spokojnie, utkwivszy spojrzenie swych brą-
zowych oczu w zielonych oczach Briana.

Uwodzi ją, pomyślała Keeley. Była świadkiem aktu uwodzenia. Klacz zrobi dla niego wszystko, uświadomiła sobie. Kto by nie zrobił, gdyby go dotykano w taki sposób, tak na niego patrzono, przemawiano takim tonem.

- Wejdz tutaj - polecił Brian Keeley. - Niech poczuje twój zapach, twój dotyk.

- Wiem, jak to się robi - powiedziała cicho, choć nigdy nie widziała, żeby ktoś właśnie tak to robił.

Wsunęła się do przegrody, przeciągnęła delikatnie dłońmi po szyi i boku Betty. Czuła, jak mięśnie drżą pod jej palcami, ale klacz patrzyła wyłącznie na Briana.

- Napatrzyłam się w swoim życiu na bardzo wiele osób pracujących z mnóstwem koni - mówiła cicho Keeley, głaszcząc Betty, ale ze wzrokiem również utkwionym w Briana. - Nigdy jednak nie widziałam kogoś takiego jak ty. Masz dar.

Przeniósł spojrzenie z kłaczy na nią, ich oczy spotkały się na chwilę. Jedną ponadczasową chwilę.

- To ona ma dar. Mów do niej.

- Betty. Betty Wcale-Nie-Taka-Złośnica. Przestraszyłaś biednego Jima, ale ja się ciebie nie boję. Uważam, że jesteś piękna. - Klacz zastrzygła uszami, poruszyła się lekko, a Keeley mówiła dalej: - Chcesz się ścigać, prawda? Nie możesz tego robić sama. Powiedziałabym ci, że to nie będzie bolało, ale i tak cię to nie obchodzi. Jesteś bardzo dumna.

Spojrzała znowu na Briana.

- Jesteś bardzo dumna - powtórzyła, rozumiejąc zarówno konia, jak i mężczyznę. - Nie przeżyjesz dumy z powodu zwycięstwa, jeśli nie uczynisz tego kroku.

Gdy Brian dopiął popręgi, wszyscy dosłownie wstrzymali oddech. Wreszcie Keeley pierwsza wypuściła powietrze i oparła kolano o dłoń Briana, żeby pomógł jej wsiąść na konia.

Przewieszona na brzuchu przez siodło, leżała spokojnie, żeby nie spłoszyć Betty. Wiedziała, co może się stać, jeśli nie zapanuje nad klaczą. Jeden fałszywy ruch z czyjejkolwiek strony i może się znaleźć pod ważącym kilkaset kilogramów podnieconym koniem.

Cichy, łagodny szept Briana robił swoje, szarość poranka powoli przechodziła w kolor bladozłoty. Keeley ostrożnie się podciągnęła i usiadła, wsuwając stopy w strzemiona.

To nowe doznanie sprawiło, że Betty próbowała odrzucić głowę, cofała się i wierzgała. Keeley pochyliła się do przodu, głaszcząc ją i przemawiając do niej wraz z Brianem.

- Przyzwyczaisz się - powiedziała rzeczowym tonem, w przeciwieństwie do jego gruchania. - Jesteś do tego urodzona.

- No i co, *cushla*? - Gdy tak uspokajał Betty, kąciki jego warg uniosły się w górę. - Ona wcale nie jest taka straszna, prawda? Niemalże niknie na twoim szerokim pięknym grzbiecie. Jest tylko księżniczką, ty natomiast królową.

- A więc zostałam zdetronizowana? - Keeley nie była pewna, czy ma się śmiać, czy obrazić.

Stopniowo klacz się uspokajała. Brian wyjął z kieszeni cząstkę jabłka i podał ją Betty z cichą pochwałą i słowami otuchy.

- Dobrze sobie radzi.
 - Chciałaby wyrzucić mnie z siodła pod sufit.
 - Pewnie tak, ale na razie nie próbuje. Ty też dobrze sobie radzisz. - Podniósł wzrok i spojrzał Keeley prosto w oczy. - Jesteś tak naturalna jak ona w tym, co robisz. W obu was płynie błękitna krew.

- Przejdziemy do historii, Brianie?
 - Bez wątpienia - zapewnił ją i pocałował Betty ponad chrapami.

Poświęciła mu prawie cały ranek. Zsiadała z konia, wsiadała ponownie, siedziała spokojnie, gdy oprowadzał je dookoła przegrody. Betty bryknęła kilka razy,* ale wszyscy wiedzieli, że robi to tylko na pokaz.

- Spróbujesz zrobić na niej kółko?

Keeley wahała się. Ma sporo pracy, a już jest opóźniona. Jednak dosiadanie młodego niedoświadczonego konia sprawiało jej ogromną przyjemność, stanowiło duże wyzwanie. Papierkową robotę odłoży na wieczór.

- Jeśli uważasz, że jest gotowa...

- O, z pewnością jest. To my musimy nadrobić zaległości. - Otworzył boks i wyprowadził je.

Wybieg w kształcie koła otaczał wysoki mur, żeby uczeń czuł się swobodnie i żeby nic nie rozpraszało konia, gdy stawia swoje pierwsze kroki pod jeźdźcem. Kiedy Brian prowadził tam Betty z Keeley na grzbiecie, kilku robotników przerwało pracę, by na nich popatrzeć. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk.

- Niektórzy zakładają się, że nie poradzimy sobie z nią dzisiaj rano - rzekł od niechcena Brian. - Właśnie zarobiłaś dla mnie pięćdziesiąt dolarów.

- Gdybym wiedziała, że są zakłady, sama postawiłabym parę dolarów.

Spojrzał na nią w górę.

- Na kogo?

- Zawsze zakładałam się, żeby wygrać.

Stanął pośrodku koła i podał Keeley wodze.

- Jest teraz twoja.

Keeley przekrzywiła głowę, zerkając na niego.

- Poniekąd - powiedziała i trąciła Betty piętami, zmuszając do stępu.

Stanowią śliczny obrazek, pomyślał Brian. Po prostu oszałamiający. Długonoga rasowa klacz o królewskim łbie i lśniącej sierści i jadąca na niej delikatna, piękna kobieta.

Gdyby kiedykolwiek zapragnął mieć własnego konia - a nigdy nie chciał - to byłby właśnie ten.

Gdyby kiedykolwiek zapragnął własnej kobiety...

Cóż, dokładnie taka sama sytuacja. Nigdy nie chciał ponosić odpowiedzialności z tytułu posiadania. Zresztą, żadna z nich nie będzie nigdy do niego należała. Będzie miał choć odrobinę każdej i to najlepsze wyjście.

Co do klaczy, wiedział, że poświęci jej część siebie, by zrobić z niej czempiona. Co do kobiety, wkrótce będzie miał przyjemność poznania, jakie to uczucie spleść się z nią w nocy. Może tylko raz, ale i to wystarczy.

Jakkolwiek jest to ryzykowne, nie położy temu kresu. Zbliżają się do siebie coraz bardziej za każdym spojrzeniem. Dzisiaj to zrozumiał, a ona też wiedziała. Teraz była to jedynie kwestia miejsca i czasu. I to będzie zależało od niej.

- Wyglądają razem doskonale.

Brian nie skrzywił się, choć miał na to ochotę. Poczł się zdecydowanie niezręcznie, gdy ojciec kobiety, o której marzył, przerwał mu sny na jawie. Zwłaszcza że był równocześnie jego szefem.

- Rzeczywiście. Betty potrzebuje pewnej ręki, a twoja córka ma taką.

- Zawsze miała. - Travis poklepał Briana po ramieniu, przeprasając go natychmiast. - Spotkałem Jima, który przyznał się do wszystkiego. Zainkasowałeś niezłego kopniaka.

- To drobiazg. - Pomyślał, że żebra będą bolały go przez wiele tygodni.

- Niech ktoś to obejrzy. - Ton był obojętny, ale zawierał rozkaz.

- Wkrótce to zrobię. Jim się przestraszył. Nie powinienem był robić tego na siłę.

- Jest młody - zgodził się Travis - ale ujeżdżanie należy do jego obowiązków. W tej chwili czuje się fatalnie, ponieważ mogłeś pozwolić, żeby Betty dała mu do wiwatu. Wykorzystam to.

- Ja również. To dobry chłopak, Travisie. Tylko jeszcze trochę zielony. Będę go chyba częściej zabierał ze sobą na tor, żeby nieco dojrzał.

- Dobry pomysł. Masz ich sporo. Dobrych pomysłów - dodał Travis.

- Za to mi płacisz. - Brian zawahał się, po czym rzekł wprost: - Betty jest nie tylko najlepszym koniem na twoje derby, ona wygra je dla ciebie. Stawiam moje całoroczne honorarium, że zdobędzie Triple Crown.

- To gwałtowne przejście, Brianie.

- Nie dla niej. Ona pobije rekordy, zetrze przeciwników na proch. A kiedy nadejdzie czas, żeby dopuścić do niej ogiera, to będzie Zeus. Zrobiłem wykresy - mówił dalej Brian. - Wiem, że ty i Brandon planujecie sami rozwój stadniny, ale...

- Obejrzę twoje wykresy.

Brian skinął głową i odwrócił się, by popatrzeć na Betty.

- Nie chodzi o wykresy, lecz o to, że ją znam. Czasami... - Przyłapał się na tym, że wbrew sobie gapi się na Keeley. - Sam to wyczuwasz.

- Tak. - Mrużąc w zamyśleniu oczy, Travis przyglądał się Betty. - Opracuj plan wyścigów, najbardziej według ciebie optymalny, gdy będzie gotowa. Porozmawiamy o tym.

Keeley podjechała do nich na Betty, kierując nią za pomocą wodzów i spokojnych poleceń.

- Postanowiła mnie tolerować.

- Co o niej sądzisz? - Travis pogłaskał klacz po szyi, nie zwracając uwagi na jej pierwszy instynktowny odruch, by go uszczypnąć.

- Jest niezwykła - zaczęła Keeley - chociaż ma pewne problemy związane z zachowaniem, które sprawią kłopot, jeśli się im nie zaradzi. Jest mądra. Uczy się bardzo szybko. Co oznacza, że trzeba zawsze wyprzedzać ją o krok. Jest jeszcze wcześnie, oczywiście, ale powiedziałabym, że nie jest to koń, który będzie się objął. Betty będzie pracowała ciężko i biegała ze wszystkich sił pod warunkiem, że dosiądzie jej właściwy jeździec. Jeśli mam dalej startować, chcę na niej jeździć.

- Ona nie nadaje się do konkursów jeździeckich. - Brian wyjął następną cząstkę jabłka. - Jest stworzona do wyścigów.

Betty przyjęła nagrodę, jak gdyby chcąc pokazać, że Brian jest jedyną z trzech istot ludzkich, która się liczy, po czym tryknęła go lekko głową w ramię.

- Musi jeszcze udowodnić, że potrafi biegać w tłumie - zauważyła Keeley. - Może zechcesz założyć jej klapki na oczy.

- Myślę, że w jej przypadku nie jest to konieczne. Inne konie nie będą jej rozpraszać, lecz stanowić wyzwanie.

- Zobaczymy. - Keeley zsiadła z konia i chciała oddać wodze Brianowi, ale uprzedził go jej ojciec.

- Odprowadzę ją.

I taka jest różnica, pomyślał Brian,- między trenowaniem a posiadaniem.

- Nie musisz się tak denerwować - powiedziała Keeley, widząc, że Brian ze ściągniętymi brwiami odprowadza wzrokiem Betty. - Świetnie się spisała. Lepiej, niż się spodziewałam.

- Hm? Ach tak, rzeczywiście. Myślałem o czymś innym.

- Bołą cię zebra? - Gdy tylko wzruszył ramionami, pokręciła głową. - Pozwól, że je obejrzę.

- Ledwie mnie musnęła kopytem.

- Och, na miłość boską! - Zniecierpliwiona Keeley postąpiła tak, jakby miała do czynienia z którymś ze swoich braci - wyciągnęła koszulkę Briana z dzinsów.

- Kochanie, gdybym wiedział, że nie możesz się doczekać, żeby mnie rozebrać, bez wątplenia bym z tobą współpracował.

- Zamknij się. Mój Boże, Brianie, powiedziałeś, że to głupstwo.

- Bo to głupstwo.

To „głupstwo” było fioletowoczerwonym siniakiem wielkości piłeczki baseballowej w okolicy żeber.

- Ciągłe udawanie macho jest nużące, toteż po prostu się zamknij.

Uśmiech już mu wypełzał na usta, lecz gdy Keeley dotknęła palcami siniaka, nie mógł powstrzymać okrzyku bólu.

- Do diabła, kobieto, jeśli to jest twój pomysł na czułe miłosierdzie, to zachowaj go dla siebie.

- Możesz mieć pęknięte żebro. Powinieneś zrobić prześwietlenie.

- Nie potrzebuję cholernego... au! Do diabła, przestań mnie szturchać! - Próbował włożyć koszulę w spodnie, ale Keeley po prostu wyszarpnęła ją z powrotem.

- Stój spokojnie i przestań marudzić jak dziecko.

- Minutę temu miałem nie zgrywać się na macho, a teraz znowu mam nie być dzieckiem. Czego ty chcesz?

- Żebyś zachowywał się rozsądnie.

- Mężczyźnie trudno jest zachowywać się rozsądnie, gdy kobieta rozbiera go w biały dzień. Jeśli zamierzasz pocałować obolałe miejsce, żeby ulżyć moim cierpieniom, to mam kilka innych siniaków. A najładniejszy na pośladku.

- Jestem pewna, że strasznie cię to bawi. Jeden z pracowników może zawieźć cię na pogotowie.

- Nikt mnie donikąd nie zawiezie. Gdybym miał pęknięte żebra, to z pewnością wiedziałbym o tym, ponieważ

zdarzyło mi się to kilka razy w życiu. To tylko siniak, który piekielnie mnie boli, gdy go w kółko dotykasz.

Keeley wypatrzyła następny wysoko na biodrze i nacisnęła go mocno. Tym razem Brian jęknął głośno.

- Keeley, torturujesz mnie!

- Ja tylko próbuję... - Głos zamarł jej w krtani, gdy podniosła głowę i zobaczyła wyraz jego oczu. Nie było w nich w tej chwili bólu ani rozdrażnienia. Dostrzegła tylko namiętność. Nieoczekiwanie sprawiło jej to satysfakcję. - Doprawdy?

Było to niewłaściwe i głupie, ale odrobina władzy uderzyła jej do głowy. Przesunęła palcami po jego biodrze, żebrach, znowu po biodrze. Poczowała drżenie mięśni.

- Czemu mnie nie powstrzymasz?

Brianowi zaschło w gardle.

- Przez ciebie kręci mi się w głowie, a ty dobrze o tym wiesz.

- Może tak. Może mi się to podoba. - Nigdy przedtem rozmyślnie go nie prowokowała. Nie chciała go prowokować. I nigdy nie zaznała dreszczyku podniecenia, spowodowanego tym, że silny mężczyzna staje się w jej dłoniach miękki jak wosk. - Może myślałam o tobie, Brianie, w taki sposób, jaki sugerowałeś.

- Wybrałaś na to świetny moment, gdy dookoła jest pełno ludzi, nie mówiąc o twoim ojcu.

- Może i to jest prawda. Chyba potrzebny mi ten bufor.

- Jesteś okrutna, Keeley. Zamęczysz mężczyznę na śmierć.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to jak komplement, ale dla niej było to odkrycie.

- Nigdy tego nie próbowałam. Nikt nie pociągał mnie w wystarczającym stopniu. Ty mnie pociągasz i sama nawet nie wiem dlaczego.

Gdy opuściła rękę, chwycił ją za nadgarstek. Zdumiał się, czując, jak szybko bije jej puls, podczas gdy jej spojrzenie, głos są takie chłodne, takie opanowane.

- Wobec tego prędko się uczysz.

- Lubię tak myśleć. Jeśli do ciebie przyjdę, będziesz pierwszy.

- Pierwszy w czym? - Mało brakowało, żeby go poniosło, zwłaszcza gdy wybuchnęła śmiechem. Po chwili jednak w głowie mu się rozjaśniło i dotarło do niego znaczenie słów Keeley. Zacisnął mocniej rękę na jej nadgarstku, po czym puścił ją, jak gdyby sparzył go płomień.

- A jednak cię zamurowało - zauważyła. - Jestem zaskoczona, że cokolwiek zdołało pozbawić cię mowy.

- Ja... - Nie potrafił zebrać myśli.

- Nie, nie szukaj właściwych słów. Zniszczysz swój wizerunek. - Nie rozumiała, czemu jego zdumiona mina tak bardzo ją rozbawiła ani dlaczego była ona w pewnym stopniu ujmująca. - Uznajmy po prostu, że w tych okolicznościach oboje mamy sporo do przemyślenia. A teraz przepraszam, ale muszę się przygotować do popołudniowych lekcji.

Odeszła tak łatwo, tak swobodnie, pomyślał osłupiały Brian, jak gdyby właśnie skończyła rozmowę na temat właściwego leczenia miękkich wrzodów na stawie pęciny konia. Zostawiła go z zawrotem głowy.

Rzeczywiście upadł na głowę i zakochał się w bogatej panie, która w dodatku jest córką jego szefa. I dziewczyną.

Musiałyby kompletnie oszaleć, gdyby po tym wszystkim dotknął jej choć palcem.

Zaczynał żałować, że Betty nie kopnęła go w głowę, bo wtedy skończyłoby się to raz na zawsze.

Dobrze mi tak, pomyślała Keeley. Ranek spędziła na spełnianiu zachcianek, a teraz przez połowę nocy będzie zajmowała się księgowością. Nie cierpiała papierkowej roboty.

Westchnąwszy, odchyliła się na oparcie fotela i potarła powieki. W przyszłym roku, może za dwa lata, szkoła będzie przynosiła wystarczający dochód, żeby stacją było na zatrudnienie księgowego. Teraz jednak nie może wyrzucać pieniędzy na coś, co potrafi robić sama. Przecież może je wykorzystać na dotowanie jeszcze jednego ucznia lub zakup butów do konnej jazdy dla innego.

Kusiło ją, zwłaszcza w takich chwilach, żeby wyjąć pieniądze z własnego konta. Jednak duma kazała jej utrzymywać szkołę z dochodów, które przynosiła, przynajmniej póki się da.

Księgi główne, formularze, rachunki i rozliczenia, pomyślała, należą do moich obowiązków. Nie trzeba koniecznie lubić swoich obowiązków, po prostu trzeba je wypełniać.

Miała na liście oczekujących dwóch pełnopłatnych uczniów. Jeszcze jeden, obliczyła - a lepiej dwóch - i będzie mogła otworzyć dodatkową klasę. W niedzielę po południu.

Razem daje to osiemnastu pełnopłatnych uczniów. Dwa lata temu miała tylko trzech.

Odwróciła się z powrotem do komputera i skoncentrowała na arkuszu kalkulacyjnym. Cyfry znowu zaczęły za-

mazywać jej się przed oczami, gdy nagle drzwi się otworzyły.

W jej nozdrza uderzył aromat gorącej herbaty, nim jeszcze obejrzała się i zobaczyła matkę.

- Mamo, co ty tutaj robisz? Już północ.

- Nie spałam jeszcze i zobaczyłam światło u ciebie. Pomyślałam sobie, że moja dziewczynka potrzebuje trochę paliwa, jeśli zamierza spędzić tutaj połowę nocy. - Adelia postawiła termos oraz torbę na biurku. - Herbata i placuszki.

- Kocham cię.

- Kochanie, oczy ci się zamykają. Wyłącz ten komputer i połów się spać.

- Już prawie skończyłam, ale skorzystam z okazji, by zrobić sobie małą przerwę - i trochę się zasilić. - Zjadła placuszek, po czym nalała sobie herbaty. - Jestem spóźniona, ponieważ poświęciłam ranek na zabawę.

- Z tego, co usłyszałam od twojego ojca, nie była to wcale zabawa. - Adelia wzięła krzesło i przysunęła je bliżej do biurka. - Jest ogromnie zadowolony z tego, jak Brian prowadzi Betty. W ogóle jest zadowolony z jego pracy. Ja również, sądząc po tym, co widziałam. Betty to prawdziwe wyzwanie.

- Hm. - Podobnie jak Brian, pomyślała Keeley. - Brian ma swoje sposoby, które najwyraźniej się sprawdzają. - Zastanawiając się nad tym, bębniła palcami po blacie biurka. Zawsze umiała rozmawiać o wszystkim z matką. Czemu teraz miałyby być inaczej? - Pociąga mnie.

- Martwiłabym się o ciebie, gdyby cię nie pociągał. To bardzo przystojny młodzieniec.

- Mamo. - Keeley położyła dłoń na dłoni matki. - On mnie bardzo pociąga.

Rozbawienie znikło z oczu Adelii.

- Ach, tak.

- I ja go też bardzo pociągam.

- Rozumiem.

- Nie chcę, żebyś wspominała o tym tatusiowi. Mężczyźni mają inne spojrzenie na te sprawy.

- Kochanie. - Adelia westchnęła, nie wiedząc, co powiedzieć. - Matki też nie patrzą na te sprawy w taki sam sposób jak córki. Jesteś dorosłą kobietą, która za siebie odpowiada. Nadal jednak jesteś moją małą córeczką, prawda?

- Nigdy dotąd nie byłam z mężczyzną.

- Wiem o tym. - Adelia uśmiechnęła się łagodnie, niemal tęsknie. - Czy myślisz, że nie wiedziałabym, gdyby coś się zmieniło? Nikt do tej pory nie był dla ciebie ważny.

Wkroczyłyśmy na niepewny grunt, pomyślała Keeley.

- Nie wiem, czy Brian jest dla mnie ważny w taki sposób, jak ci się wydaje. Czuję się przy nim inaczej. Pragnę go. Nigdy dotąd nie pragnęłam żadnego mężczyzny. To podniecające i nieco przerażające uczucie.

Adelia wstała i zaczęła przechadzać się po małym gabinecie, przyglądając się wstążkom, medalom.

- Rozmawialiśmy już kiedyś o tych sprawach. O ich znaczeniu, o środkach ostrożności, odpowiedzialności.

- Potrafię być odpowiedzialna i rozsądna.

- Keeley, tu w grę wchodzi namiętność. - Odwróciła się. - To nie tylko akt, chociaż wiem, że niektórzy tak to traktują. Nie powiem ci, czy oddanie swej niewinności jest

utrata, ponieważ nie powinno być, nie musi być. Dla mnie był to początek. Twój ojciec był moim pierwszym mężczyzną - dodała - i jedynym.

- Mamo. - Wzruszona Keeley wyciągnęła ręce do Adelii. Jej dłonie są takie silne, pomyślała. Wszystko w niej jest silne. - To naprawdę wspaniałe.

- Proszę cię tylko, żebyś miała absolutną pewność, że jeśli mu się oddasz, pozostanie ci wspomnienie czegoś ciepłego, w czym było uczucie, a nie tylko popęd płciowy.

- Mam pewność. - Keeley przytuliła z uśmiechem matczyną rękę do policzka. - To on jej nie ma. Mamo, to takie dziwne, ale sposób, w jaki wycofał się, gdy mu powiedziałam, że będzie pierwszy, upewnił mnie. Widzisz, ja dla niego też coś znaczę.

ROZDZIAŁ 6

Doprawdy zadziwiające, jak dwoje ludzi może mieszkać i pracować właściwie w tym samym miejscu, unikając się wzajemnie. Trzeba naprawdę bardzo się starać i bez przerwy o tym myśleć.

Brian myślał o tym od kilku dni. Miał mnóstwo pracy i masę powodów, by spędzać czas poza stadniną, na torze, ale to unikanie urażało jego dumę. Były zbyt bliskie tchórzostwa.

W dodatku powiedział Keeley, że chce pomagać jej w szkole jeździeckiej i nic w tym celu nie robił. Nie należał do osób, które łamią dane słowo, bez względu na to, ile by go to miało kosztować. Przypominał sobie, idąc do stajni Keeley, iż jest człowiekiem opanowanym. Nie zamierza uwodzić ani wykorzystywać niewinności.

To absolutnie postanowione.

Wtedy wszedł do stajni i ją zobaczył.

Miała znowu na sobie jeden z tych wymyślnych strojów - bryczesy w kolorze gorzkiej czekolady i rodzaj powiewnej kremowej bluzki. Rozpuszczone włosy spływały luźną falą na ramiona, w nieładzie, jak gdyby dopiero wyjęła z nich szpilki. I rzeczywiście, gdy tak sfę jej przyglądał, związała je z tyłu szeroką wstążką.

Stwierdził, że najlepszym w świecie miejscem dla jego rąk będą kieszenie.

- Koniec lekcji?

Obejrzała się z rękami wciąż we włosach. Aha, pomyślała. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim znów pojawi się na jej drodze.

- Czemu pytasz? Czyżbyś chciał zostać moim uczniem?

Zmarszczył brwi, ale zdołał się opanować.

- Obiecałem, że ci trochę pomogę.

- Rzeczywiście, obiecałeś. Tak się składa, że chętnie skorzystam z twojej oferty. Mówiłeś, że mógłbyś jeździć, prawda?

- Mówiłem i mówię.

- Dobrze. Nawet świetnie. - Wskazała ręką w kierunku dużego gniadosza. - Mule naprawdę potrzebuje trochę ruchu. Jeśli pojedziesz na nim, ja będę mogła wziąć Sama. Jemu też się to przyda. Żaden z nich nie miał dość ruchu przez kilka ostatnich dni. Z pewnością mam odpowiednią dla ciebie uprząż. - Otworzyła drzwi boksu i wyprowadziła osiodłanego już Sama. - Zaczekamy na padoku.

Gdy wyszła ze stajni, Brian zmierzył spojrzeniem Mule'a, a Mule jego.

- Jest cholernie despotyczna, co? - Wzruszywszy ramionami, wszedł do szopy, by dobrać sobie siodło.

Gdy wyszedł ze stajni, Keeley galopowała wokół wybiegu. Jej ciało było tak zgrane z ciałem konia, jak gdyby stanowili całość. Zmieniając lekko rytm, kolejno naprowadziła konia na trzy przeszkody. Rozpoczęła następne okrą-

żeniu, wciąż galopem, i w tej chwili zauważyła Briana. Zwolniła i przystanęła.

- Gotów?

Zamiast odpowiedzi, wskoczył na siodło.

- Czemu jesteś dzisiaj taka zmęczona?

- Bo to był dzień zdjęciowy. Robimy zdjęcia uczniów na zajęciach. Dzieci i rodzice bardzo to lubią. Mule jest gotów do długiego biegu, jeśli i ty masz na to ochotę.

- W takim razie ruszajmy. - Ponagliwszy konia pięta-
mi, skierował go lekkim kłusem w stronę bramy.

- Jak tam twoje żebra? - spytała, zrównując się z nim.

- W porządku. - Doprowadzały go do szańca; ponieważ za każdym razem, gdy czuł ukłucie bólu, przypominał sobie, jak ich dotykała.

- Słyszałam, że trening jednolatków idzie świetnie i że Betty jest jedną z najlepszych uczennic - jak przewidywałeś.

- Ona chce biegać. Żaden trening nie zastąpi koniowi tej chęci biegania. Wkrótce damy jej poznać smak bariery startowej, żeby sprawdzić, jak na nią zareaguje.

Keeley skierowała konia pod górę, gdzie liście na drzewach wciąż jeszcze były soczyście zielone, mimo że zaczęła się już jesień.

- Wykorzystałabym przy uczeniu Foxfire'a - rzuciła od niechcienia. - Jest silny, ma duże doświadczenie. Zobacz parę razy, jak on to robi, i nie będzie chciała zostać w tyle.

Brian już wcześniej zdecydował się na Foxfire'a, ale wzruszył ramionami.

- Pomyślę o tym. A zatem... czy przeszedłem tę próbę pomyślnie, panno Grant?

Keeley uniosła brwi, cień uśmiechu zagościł na jej wargach, gdy popatrzyła na Briana. Oczywiście, sprawdzała jego postawę.

- Hm, nieźle sobie radzisz wjeździe kłusem. - Lekkim klepieniem ponagliła Sama do przejścia w galop. Gdy Brian zrównał się z nią, ruszyła cwałem.

Och, jakże jej tego brakowało. Każdy dzień, kiedy nie mogła pędzić przez pola, wzgórza, był poświęceniem. Nic nie mogło się równać z dreszczem podniecenia, jaki dawała szybkość, siła, wzbierająca pod nią, w niej, stukot końskich kopyt i wiatr smagający twarz.

Roześmiała się, gdy Brian znów znalazł się u jej boku. Zauważyła jego wyzywający uśmiech i w odpowiedzi pozwoliła Samowi pójść na całość.

Brian miał wrażenie, że jest świadkiem jakiejś magii. Potężny czarny koń, niemal frunący nad ziemią, a na jego grzbiecie piękna kobieta. Przemknęli przez kolejne wzgórza, kierując się na zachód, ku zniżającemu się słońcu. Niebo płonęło kolorami złota i czerwieni, wydawało się, że Keeley pędzi prosto w tę feerię barw.

A jemu nie pozostawało nic innego, jak pomknąć za nią.

Gdy zatrzymała się i odwróciła, by na niego zaczekać, z błyszczącymi oczami, z twarzą zaróżowioną, wiedział, że nigdy jeszcze nie spotkał kobiety do niej podobnej.

Zapragnął jej z całych sił.

- Powinam była dać ci fory! - zawołała. - Mule biega jak szatan, ale Samowi nie dorówna. - Pochyliła się w siodle i poklepała konia po szyi. Wyprostowała się i odrzuciła włosy.

- Cudowna pogoda, prawda?

- Gorąco jak diabli - poprawił ją Brian. - Ile czasu trwa tutaj lato?

- Jak długo mu się podoba. Jednak poranki są coraz chłodniejsze i gdy słońce kryje się za górami, bardzo szybko robi się zimno. Lubię upały. Twoja irlandzka krew jeszcze się do tego nie przyzwyczaiła.

Okręciła Sama, żeby zwrócić się twarzą do Royal Meadows.

- Wygląda pięknie z góry, prawda?

Zgrabne, eleganckie budynki, białe płoty wokół padoków, brązowy owalny tor, konie prowadzone do stajni. Trójka źrebaków świeżo odstawionych od piersi brykała po pastwisku.

- Z dołu też. Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego.

- Poczekaj, aż zobaczysz, jak tu jest w zimie - powiedziała z uśmiechem - gdy śnieg pokrywa wzgórza, a niebo przesłania gruba warstwa szarych chmur albo jest tak błękitne, że aż razi w oczy. Klacze zaczynają się źrebić, a małeństwa próbują po raz pierwszy stanąć na nogach. Gdy byłam mała, nie mogłam się doczekać, żeby pobiec rano do stajni i je obejrzeć.

Ruszyli w drogę powrotną, tym razem strzemię w strzemię. Zaczynało się zmierzchać. Nie spodziewała się, że będzie się z nim czuła tak dobrze. Wieczorna przejażdżka była prawdziwą przyjemnością.

- Miałeś konie, gdy byłeś małym chłopcem?

- Nie, nigdy nie mieliśmy własnych koni, ale do torów wyścigowych było bardzo blisko, a mój ojciec lubił obstawiać na wyścigach.

- A ty?

Odwrócił ku niej głowę.

- Lubię zakłady i na szczęście mam lepszą rękę od mojego ojca. On lubił przyglądać się wyścigom, ale nigdy nie nauczył się rozumieć koni.

- Ty też się nie nauczyłeś - powiedziała Keeley, co wywołało niemiły grymas na jego twarzy. - Po prostu urodziłeś się z tym darem. Tak jak one - dodała, wskazując ręką na żrebaki.

- To chyba komplement.

- Nie mam nic przeciwko komplementom, jeśli potwierdzają fakty.

- Cóż, prawda czy nieprawda, konie stanowiły treść mojego życia. Pamiętam, jak chodziłem z tatą, żeby na nie patrzeć. Kiedy tylko mógł, lubił to robić rano, sprawdzać tor, rozmawiać ze stajennymi, żeby wczuć się w atmosferę. Częściej tracił pieniądze, niż wygrywał, ale ważne było po prostu samo napięcie.

To i piersiówka w kieszeni, pomyślał Brian, ale z wyrozumiałością. Jego ojciec kochał konie i whisky. Matka również to rozumiała.

- Gdy byłem tam po raz pierwszy, a może drugi, zobaczyłem ujeżdżacza, bardzo młodego chłopca, który okrążył tor na gniadoszu. Pomyślałem, że to jest właśnie to. To, co chcę robić. Że nie ma lepszego sposobu zarabiania na życie. Byłem dość młody i nadal dość mały, wymykałem się ze szkoły tak często, jak tylko mogłem, i pędziłem na tor wyścigowy. Imałem się tam wszelkich zajęć.

- Bardzo romantyczne.

Zmitygował się. Nie miał zamiaru pleść tak bez ładu

i składu, ale przejażdżka, piękny wieczór wyzwoliły w nim sentymentalizm. Gdy skwitował jej słowa wybuchem śmiechu, Keeley pokręciła głową.

- Ależ to prawda. Ludzie, którzy nie są częścią tego świata, nie rozumieją go. Ciężka praca, rozczarowania, krwawy pot. Marznięcie na treningach przed świtem, sinia-ki i naciągnięte mięśnie.

- I to ma być romantyczne.

- Dobrze wiesz, że tak.

Tym razem roześmiał się, ponieważ go przyszpiliła.

- Gdy jako chłopiec kręciłem się przy torze, patrzyłem, jak konie wracają w porannej mgle, jak para unosi się z ich grzbietów, nasłuchiwałem coraz głośniejszego stukotu kopyt. Nagle wynurzały się z mgły niczym ze snu. Wtedy wydawało mi się to najbardziej romantyczną rzeczą w świecie.

- A teraz?

- Teraz wiem, że tak jest.

Puścił się galopem, jadąc obok Keeley, dopóki nie roz-
błysły przed nimi światła Royal Meadows. Nie spodziewał się, że spędzi przyjemną, wręcz przemiłą godzinę w jej towarzystwie i stwierdzi ze zdziwieniem, że nawiązali chyba coś w rodzaju przyjaźni.

Przyjaźnił się przedtem z kobietami i był prawie przekonany, że uda mu się utrzymać znajomość z Keeley na przyjacielskiej stopie. To on skierował ją na seksualne tory, wydawało się więc rozsądne i słuszne, żeby również on ją ostudził.

Logika tego rozumowania, jak i konna przejażdżka, przyniosły mu odprężenie. Gdy dotarli do stajni i ostudzili

konie, był całkiem rozluźniony i myślał o kolacji. Ponieważ ją to interesowało, opowiedział o trenowaniu jednolatków, o ich postępach, o pięcioletniej klaczy cierpiącej na kolkę i o źrebaku z naroślą na pęcinie.

Razem napoili konie, a gdy Brian zaniósł siodła i uzdy do szopy, Keeley nasypała siana i wyjęła zgrzebła.

Pracowali naprzeciwko siebie w przeciwległych bokach.

- Słyszałam, że wyjeżdżasz w przyszłym tygodniu z Brandonem do Saratogi - powiedziała.

- Zeus bierze udział w wyścigu i chyba Red Duke jest kandydatem. Twój brat się zgadza. Widziałem ten tor tylko na papierze i na zdjęciach. Wyjeżdżamy też do Louisville. Chcę się zaznajomić z tym biegiem przed pierwszą sobotą maja.

- Chcesz, żeby Berty pobiegła w derbach.

- Pobiegnie i wygra. Rozmawialiśmy o tym.

- Rozmawiałeś z Brandonem o derbach?

- Nie, o Betty. I z twoim ojcem też. Przypuszczam, że kwestię derbów omówimy z Brandonem podczas wyjazdu.

- A co na to Betty?

- Daj spokój. - Spojrzał przez ramię i zobaczył, że Keeley przesuwając palcami po skórze Sama, sprawdzając, czy nie ma na niej guzków lub nierówności. - Czemu nie startujesz?

- Nie interesują mnie medale.

- Dlaczego? Nie lubisz wygrywać?

- Kocham. - Oparła się delikatnie o Sama, podniosła jego nogę i posłała Brianowi przeciągłe spojrzenie, od któ-

rego poczuł ściskanie w żołądku. Potem całą uwagę poświęciła kopytu swego ulubieńca. - Zdażyłam wygrać i cieszyć się z tego. Współzawodnictwo może zdominować twoje życie. Chciałam zdobyć medal olimpijski i zdobyłam go.

Odwróciła się, by wyczyścić następne kopyto.

- Gdy już go miałam, zdałam sobie sprawę, że zbyt skoncentrowałam się na tym jednym celu. Gdy wszystko się skończyło, chciałam dowiedzieć się, o co jeszcze chodzi i co poza tym mam w sobie. Lubię rywalizację, ale odkryłam, że nie zawsze trzeba zwyciężać w konkursach jeździeckich.

- Prowadząc taką szkołę, powinnaś mieć kogoś, kto by z tobą pracował.

- Na razie - odpowiedziała, wzruszając ramionami - nie udało mi się namówić Sary ani Patricka do pomocy. Mama pomaga mi w miarę swoich możliwości, tata również. Brandon i wujek Paddy poświęcili sporo godzin każdemu z moich koni, gdy je kupiłam. Moi kuzyni - dzieci Barta i Erin ze stadniny Three Aces - zawsze są chętni, gdy potrzebna jest dodatkowa pomoc.

- Nie widziałem, żeby pracował tutaj ktoś oprócz ciebie.

- No cóż, to bardzo proste. Patrick i Sara wyjechali do college'u - i Brady, jeszcze jeden, którego mogę zmusić do sprzątania boksów, gdy jest w domu. Brandon podróżuje teraz znacznie częściej niż kiedyś. Wujek Paddy jest w Irlandii, a kuzyni dopiero wrócili z wakacji i są w szkole. Matka albo ojciec, a czasami oboje naraz, wpadają tutaj o świcie, czy ich o to proszę, czy nie. Gdy zainteresowa-

łam ciebie moim przedsięwzięciem, zyskałam stajennego i ujeżdzacza w jednej osobie. To całkiem niezły interes dla małej szkółki jeździeckiej.

Wyszła z boksu, by rozpocząć wieczorne karmienie.

- Mogłabyś zatrudnić chętnego chłopca lub dziewczynę, żeby przychodzili tutaj przed szkołą oraz po szkole, i płacić im lekcjami.

- Przed szkołą chętni chłopcy i dziewczęta powinni jeść śniadanie, a po szkole powinni bawić się z przyjaciółmi i odrabiać lekcje.

- To bardzo surowe stwierdzenie.

Roześmiała się i dodała trochę marchwi w plasterkach do paszy.

- Tak mówią moi uczniowie. Chcę, żeby byli zróżnicowani pod względem zdolności. Moja rodzina zadbała o to, żebym miała zainteresowania i zawierała przyjaźnie również poza stajniami, jak też bym otrzymała wykształcenie i poznała świat. To ważne.

Rozdzielili paszę między konie i stajnię wypełniły dźwięki radosnego rżenia.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale wydaje mi się, iż nie prowadzisz zbyt ożywionego życia towarzyskiego.

- Jak już zaczynam coś robić, nie potrafię się od tego oderwać. Jestem ukierunkowana na cel. Wiem, czego chcę, a wtedy wygląda to tak, jak gdybym zakładała klapki i pędziła prosto. Widzę przed sobą jedynie linię mety.

Pochyliła się, by podrapać pieszczotliwie szyję wałacha, jak gdyby był jej ulubionym psem.

- Właśnie dlatego rodzice nie pozwolili mi spędzić całego dzieciństwa przy koniach. Brałam lekcje gry na

fortepianie, a gdy tylko je zaczęłam, natychmiast powzięłam postanowienie, że będę najlepszą uczennicą na recitalu. Kiedy przychodziła moja kolej na sprzątanie po obiedzie, to ta cholerna kuchnia lśniła tak, że przy kolacji trzeba było wkładać okulary przeciwsłoneczne.

- To przerażające.

Widząc wesołe błyski w oczach Briana, Keeley skinęła głową.

- Masz rację. Gdy skupiłam się teraz na mojej szkole, choć jest to jeden cel, moje dążenie do sukcesu obejmuje wiele elementów - dzieci, konie, samą szkołę. Kiedy szkoła zyska już ustaloną reputację, będę mogła przekazać część obowiązków, ale muszę uczyć się wszystkiego od podstaw. Nie lubię popełniać błędów. To dlatego nigdy dotąd nie byłam z mężczyzną.

Tym stwierdzeniem, które zabrzmiało tak naturalnie, wytrąciła go nagle i kompletnie z równowagi.

- Cóż, to... to rozsądne.

Uczył wyraźny krok do tyłu, niczym szachista, przechodzący z pola na pole.

- Ciekawe, że ten temat wprawia cię w zdenerwowanie - powiedziała, kontrując jego ruch.

- Nie jestem zdenerwowany... chyba po prostu już tutaj skończyłem. - Zastosował inną taktykę, przechodząc na bok.

- Interesujące - mówiła dalej Keeley, powtarzając jego ruch jak w lustrze - że okazujesz zdenerwowanie albo - jeśli wolisz - czujesz się nieswojo, gdy... sądzę, iż bezpiecznie będzie użyć tu określenia „wpadasz na mnie”, odkąd się poznaliśmy.

- Nie sędzę, żeby to było właściwe określenie. - Ponieważ wyraźnie został przyparty do muru, postanowił tylko bronić swojej pozycji. - Zachowywałem się naturalnie, wzięwszy pod uwagę pociąg fizyczny. Ale...

- A teraz, gdy ja zareagowałam naturalnie, poczułeś, że lejce wyslizgnęły ci się z rąk, i jesteś przerażony.

- Z pewnością nie jestem przerażony - zaprzeczył, chociaż zaczęła ogarniać go panika. - Cofnij się, Keeley - rzucił zirytowany.

- Nie. - Z oczyma utkwionymi w jego oczach, zrobiła krok naprzód. Szach-mat.

Opierał się plecami o drzwi przegrody i został tam wmanewrowany przez kobietę wążącą połowę tego co on. Wstyd i hańba.

- Nie świadczy to dobrze o żadnym z nas. - Krew gwałtownie uderzyła mu do głowy, mimo to uczynił wysiłek, żeby jego głos brzmiał chłodno i pewnie. - Faktem jest, że przemyślałem całą sprawę.

- Doprawdy?

- Owszem, tak i - przestań - powiedział, gdy przesunęła palcami po jego piersi.

- Serce ci wali - wyszeptwała. - Podobnie jak mnie.'Czy mam powiedzieć, co dzieje się w mojej głowie, w moim ciele, kiedy mnie całujesz?

- Nie - ledwie zdołał wykrztusić. - Więcej się to nie powtórzy.

- Założysz się? - Roześmiała się, wspinając się na palce i chwytając wargami jego brodę. Skąd mogła wiedzieć, ile radości sprawia doprowadzanie mężczyzny do szaien-

stwa? - Czemu nie powiesz mi więcej o swoich... prze-myśleniach?

- Nie zamierzam wykorzystywać twojej... sytuacji.

Pomyślała, że to naprawdę urocze.

- W tej chwili to raczej ja wykorzystuję sytuację. Tym razem to ty drżysz, Brianie.

Do diabła, była to prawda. Kolana się pod nim uginały.

- Nie wezmę za to odpowiedzialności. Nie wykorzystam twojego braku doświadczenia. Nie zrobię tego! - W ostatnich słowach zabrzmiała nuta desperacji. Brian odepchnął ją od siebie.

- Sama za siebie odpowiadam. I chyba właśnie udowodniłam nam obojgu, że kiedy zdecyduję, iż to ty będziesz tym pierwszym, nie będziesz miał nic do gadania. - Westchnęła głęboko, z wyraźnym zadowoleniem. - Ta świadomość jest niewiarygodnie przyjemna.

- Do podniecenia mężczyzny, Keeley, nie potrzeba wielkich umiejętności. Jesteśmy pod tym względem nader chętni do współpracy.

Jeśli spodziewał się, że zadraśnie jej dumę i nadwątl nicco jej siłę, był w dużym błędzie. Uśmiechnęła się tylko, a był to uśmiech pełen kobiecej dumy.

- Gdyby to była prawda w naszym wypadku, gdyby tylko to nas łączyło, to już leżelibyśmy nadzy na podłodze w szopie.

Dostrzegła, jak zmienił się wyraz jego oczu, i roześmiała się z ukontentowaniem.

- Przyszła ci już do głowy taka myśl, prawda? Zatrzymamy ją po prostu na kiedy indziej.

Brian zaklął i przeczesał palcami włosy, próbując uchwy-

cić chwilę, w której tak zręcznie pobiła go jego własną bronią, kiedy ze ściganej zwierzyny stała się myśliwym.

- Nie lubię zbyt śmiałych kobiet.

Dźwięk, który wydała, brzmiał jak coś pośredniego między parsknięciem a chichotem i był bardzo dziewczęcy oraz pełen radości. Omal się nie uśmiechnął.

- Kłamiesz i wcale ci to dobrze nie wychodzi. Zauważyłam, że jesteś uczciwym człowiekiem, Brianie. Kiedy nie chcesz powiedzieć, co naprawdę myślisz, nie mówisz nic - a to nieczęsta cecha. Podoba mi się to w tobie, choć początkowo mnie irytowało. Podoba mi się nawet twoja zbyt duża pewność siebie. Podziwiam twoją cierpliwość i oddanie koniom, to, jak bardzo je rozumiesz i kochasz. Nigdy nie byłam związana z mężczyzną, który podzielałby tę moją pasję.

- Nigdy nie byłaś związana z żadnym mężczyzną.

- Właśnie. I to jest jedna z przyczyn. A kontynuując, cenię wysoko serdeczność, jaką okazałeś mojej matce, gdy była smutna, jak również to, że usiłujesz teraz wycofać się, zamiast wziąć bez namysłu to, czego nie ofiarowałam jeszcze żadnemu mężczyźnie.

Położyła mu ręce na ramionach, gdy patrzył na nią z zakłopotaniem.

- Gdybym nie czuła do ciebie tego szacunku i nie lubiła cię tak bardzo, Brianie, nie rozmawialibyśmy tutaj teraz, bez względu na to, jak wielki pociąg bym do ciebie czuła.

- Seks wszystko komplikuje, Keeley.

- Wiem.

- Skąd możesz wiedzieć? Przecież go nigdy nie uprawiałaś.

Uścisnęła jego ramię.

- Słusznie. To co, chcesz zrobić użytek z szopy? - Gdy otworzył w zdumieniu usta, wybuchnęła śmiechem, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała głośno w policzek. - Żartowałam. Chodźmy do głównego domu i zamiast tego zjedzmy kolację.

- Mam jeszcze coś do zrobienia.

Odsunęła się. Nie potrafiła teraz wyczytać niczego z jego oczu.

- Brianie, żadne z nas nie miało nic w ustach. Możemy zjeść prosty posiłek w kuchni - a jeśli się obawiasz, to cię uspokoję - nie będziemy sami w domu, będę więc musiała trzymać ręce z dala od ciebie. Na razie.

- W tym rzecz. - Nie mógł tego znieść. Czy można było tego po nim oczekiwać? Zarzuciła mu ręce na szyję tak swobodnie, z uczuciem. Starając się, żeby jego gest wypadł jak najbardziej naturalnie, odsunął Keeley. - Dobrze, chętnie coś przekazę.

- Świetnie.

Wzięłaby go za rękę, ale trzymał je w kieszeniach. Bawiło ją i wzruszało, jak silne powzięł postanowienie, by nad sobą panować.

- Mam nadzieję, że pojedę do Charles Town i przyjrzę się kilku treningom, gdy zabierzesz Betty i kilka innych jednolatków na tor.

- Niedługo będzie gotowa. - Ulga spłynęła chłodną falą, studząc nieco pożądanie. Rozmowa o koniach była bezpieczna. - Powiedziałbym, że cię zadziwi, ale przecież siedziałas już na niej. Znasz ją doskonale.

- Tak, świetny materiał, doskonały rodowód, pragnie-

nie zwyciężania. - Posłała mu uśmiech, gdy zbliżyli się do drzwi kuchennych. - Mówiono mi, że ten opis pasuje do mnie. Jestem półkwi Irlandką, Brianie, urodziłam się uparciuchem.

- Nie będę się spierał. Człowiek może uczynić świat spokojniejszym dla innych dzięki temu, że jest pasywny, ale ty sama specjalnie się do tego nie przykładasz, prawda?

- Posłuchaj, zawarliśmy coś w rodzaju umowy. A teraz powiedz mi, że lubisz spaghetti i klopsiki...

- Przypadkiem to moje ulubione danie.

- To się dobrze składa, bo moje również. Chodzą słuchy, że to właśnie jest na kolację. - Położyła dłoń na klamce, po czym kompletnie go zaskoczyła, muskając ustami jego wargi. - Będziemy jedli kolację z moimi rodzicami, toteż lepiej nie wyobrażaj sobie nagiej przez następne parę godzin - dodała żartobliwie, po czym wyszła przed Brianem ze stajni, pozostawiając go całkiem bezsilnego i podnieconego.

Nic bardziej nie studzi pożądania mężczyzny od dodatkowej porcji poczucia winy. I to właśnie poczucie winy w połączeniu z gorącym posiłkiem i kieliszkiem dobrego wina pomogło przetrwać Brianowi wieczór w kuchni Grantów.

Adelia Grant przywitała go serdecznie, jak gdyby był mile widziany za każdym razem, gdy przyjdzie mu ochota wpaść na kolację, a Travis wyjął dla niego dodatkowe nakrycie - jakby czekał na swoich pracowników przez pięć dni w tygodniu - i dodał, że mają do spałaszowania mnóstwo jedzenia, ponieważ Brandon ma inne plany na wieczór.

Zanim Brian się zorientował, siedział już przy stole nad talerzem, na którym piętrzyła się góra jedzenia, i odpowiadał na pytania, jak minął mu dzień. Wcale nie kazano mu składać sprawozdania.

Nie wiedział, co ma z tym zrobić. Lubił tych ludzi, naprawdę ich lubił. I pożył ich córki. Kundel podwórzowy uganiający się za rasową suką z rodowodem.

Najgorsze, że ją też lubił. Na początku, gdy tylko jej pragnął, wszystko było bardzo proste. Albo potrafił sobie wmówić, że tylko o to chodzi. Przez jakiś czas mógł tolerować fakt zakochania się w niej, ale to, że mu na niej zależało, wpędzało go w popłoch.

Z pewnością mógłby przekonać samego siebie, że zakochał się raczej w wizerunku kobiety niż w niej samej. Piękno fizyczne, klasa, nieprzystępność. Był to rodzaj wyzwania, ryzyko, które podjąłby z zadowoleniem. Tymczasem ona otworzyła się przed nim i za każdym razem, gdy znalazł się w jej pobliżu, odsłaniała mu coraz więcej siebie.

Podziwiał jej życzliwość, poczucie humoru, konsekwencję, z jaką dążyła do celu, a także rozsądek.

Teraz ta flirciara w niewinnym ciele doprowadzała go do szaleństwa. A jemu się to podobało.

- Poczęstuj się jeszcze, Brianie.

- Będę żałował, jeśli się skuszę - powiedział, ale przyjął dużą porcję, którą proponowała mu Adelia. - A jeszcze bardziej, jeśli nie. Jest pani wspaniałą kucharką, pani Grant.

- Prosiłam cię, żebyś mówił mi Dee. Przedtem gotowała Hanna - nasza gospodyni. Mieszkała z Travisem dłużej ode mnie. Gdy kilka lat temu przeszła na emeryturę, nie

chciałam nikogo innego, obcej kobiety, która byłaby w domu dniem i nocą. Pomyślałam, że lepiej nauczę się gotować coś poza rybą i frytkami, zanim wszyscy umrzemy z głodu.

- Przez pierwsze sześć miesięcy prawie umieraliśmy - zauważył Travis, za co został ukarany spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

- Jasne, i właśnie dlatego nauczyłeś się radzić sobie z tym wymyślnym grillem w ogrodzie, prawda? Ten facet jest zepsuty do szpiku kości. Założę się, że ty potrafisz nawet przygotować dla siebie posiłek, Brianie.

Brian podrapał od niechcenia brzegiem buta Sheamusa, który chrapał pod stołem.

- Gdybym nie miał wyboru.

Wychwycił przeciągłe spojrzenie, które rzuciła mu Keeley znad kieliszka z winem. W odruchu obronnym zwrócił się do Trávisa:

- Słyszałem, że lubisz od czasu do czasu zagrać partyjkę pokera.

- Owszem.

- Chłopcy wspominali co|o jutrzejszym wieczorze.

- Może wpadnę - chodzą słuchy, że jesteś trudnym przeciwnikiem.

- Jeśli zamierzasz grać w karty - wtrąciła Adelia - winieneś zaprosić Barta. Może wówczas Keeley, Erin i ja znajdziemy równie niemądre zajęcie na wieczór.

- Świetny pomysł. Jeszcze trochę wina, Brianie? - Keeley sięgnęła po butelkę, unosząc brwi. Choć kuszący pomruk w jej głosie był ledwie słyszalny, on go zarejestrował.

- Nie, dziękuję. Mam jeszcze sporo pracy.
 - Pójdę z tobą, gdy skończysz jeść - powiedział Travis. - Chciałbym rzucić okiem na tę klacz z kolką.
 - Idźcie sobie obaj. My zajmiemy się sprzątniem.
- Travis uśmiechnął się psotnie jak chłopczyk.
- Pomocnik niepotrzebny?
 - Pracy mamy niewiele, możesz nadrobić jutro. - Wstała, żeby sprzątnąć ze stołu, i pocałowała męża w skroń. - Idź, idź, wiem, że się o nią martwisz.
 - Dziękuję za pyszną kolację - rzekł Brian.
 - Bardzo mi miło.
 - Dobranoc. Keeley.
 - Dobranoc, Brianie. Dzięki za przejażdżkę.

Adelia poczekała, aż mężczyźni wyjdą, po czym powiedziała do córki:

- Keeley, nigdy nie podejrzewałabym cię o takie zachowanie. Dręczysz tego biednego chłopaka.
- Ten „chłopak” wcale nie jest biedny. - Zadowolona z siebie Keeley odłamała kawałek chleba. - Dręczenie go sprawia mi wielką przyjemność.
- Hm, nie ma prawdziwej kobiety, która by się z tym nie zgodziła. Uważaj jednak, żebyś go nie zraniła, kochanie.
- Zranić go? - Keeley wstała, by pomóc matce przy sprzątnaniu. - Nie zranię go. Nie potrafiłabym.
- Nie wiesz, co zrobisz albo co potrafisz zrobić. - Adelia pogłaskała córkę po policzku. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Jednak niezależnie od tego, jak dużo będziesz umiała, nigdy nie zrozumiesz, co dzieje się w głowie mężczyzny.

- Wydaje mi się, że wiem całkiem nieźle, co dzieje się w głowie tego konkretnego mężczyzny.

Adelia otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, po czym je zamknęła. Wiedziała, że pewnych rzeczy nie da się wyjaśnić. Trzeba je przeżyć

ROZDZIAŁ 7

Brian poznał drogi wiodące z Marylandu do Wirginii Zachodniej tak dobrze, jak znał drogi w hrabstwie Kerry. Autostrady, którymi samochody mknęły jak małe rakiety, kręte boczne drogi były teraz częścią jego życia; a wszystko to sprawiało, że czuł się tu coraz bardziej swojsko.

Zielone wzgórza przywodziły mu czasami na myśl Irlandię. Nostalgia, jaką odczuwał w takich chwilach, zaskakiwała go, ponieważ nie uważał się za człowieka sentymentalnego. Kiedy indziej jeździł krętymi drogami wzdłuż wijących się strumieni, a okolica była zupełnie inna. ze swymi gęstymi lasami i skalnymi ścianami. Niemal egzotyka. Zadowolenie, które wówczas go ogarniało, dziwiło go bardzo.

Nie miał nic przeciwko temu uczuciu. Po prostu nie tego szukał.

Lubił podróżować. Przenosić się z miejsca na miejsce. Było mu bardzo na rękę, że praca w Royal Meadows daje mu takie możliwości. Obliczył sobie, że za kilka lat zwiedzi dużą część Ameryki - nawet jeśli będzie patrzył na nią przez pryzmat toru wyścigowego.

Mówił sobie, że nie uważa ani Irlandii, ani Marylandu za swoją ojczyznę, swój dom. Jego domem jest tor

wyścigowy, stadnina, niezależnie od tego, gdzie się znajdują.

Jednak czuł się swojsko i swobodnie, gdy wjeżdżał między kamiennymi filarami do Royal Meadows. Robiło mu się lekko na sercu, gdy widział na padoku Keeley z uczniami. Zatrzymał się, by popatrzeć, jak prowadzi swoją grupę od kłusa do galopu.

Był to budujący widok, mimo niezdarności i ostrożności niektórych dzieci. Nie było tu zręcznego i wyreżyserowanego współzawodnictwa, lecz pierwsze kroki w nową przygodę. Pamiętał, że nazwała to zabawą. Uczą się, przyjmują na siebie pewną odpowiedzialność, ale Keeley nie zapomniała, że są dziećmi.

Niektóre z nich zostały w przeszłości skrzywdzone.

Patrząc na to, co Keeley stworzyła, zamiast spędzać czas tak, jak kiedyś to sobie wyobrażał, czuł dla niej coraz większy szacunek, a nawet więcej niż szacunek. Szczery podziw.

Teraz też usłyszał jej okrzyki, wydawane spokojnym silnym głosem - ładny widok i ładne dźwięki. Wysiadł z ciężarówki i podszedł bliżej, by lepiej widzieć.

Szerokie radosne uśmiechy, oczy wielkie jak talerze. Śmiechy, przerywane oddechy. Z tego, co zaobserwował, nastroje zmieniały się od nerwowych pisków do absolutnego zachwytu. W całym tym rozgardiaszu Keeley wydawała polecenia, pouczała, zachęcała, zwracając się do każdego dziecka po imieniu.

Długie rude włosy związała znowu z tyłu. Miała na sobie jasne sprane dżinsy, niegdyś szaroniebieskie, oraz taką samą kamizelkę z mnóstwem kieszeni. Pod nią Kee-

ley włożyła obcisły sweterek koloru wiosennych żonkili. Wyraźnie lubi jasne kolory. I błyskotki, pomyślał Brian, widząc skrzzące się w jej uszach małe klejnoty.

Czuł zapach jej perfum. Zawsze unosił się wokół niej delikatny kobiecy zapach. Czasami tak delikatny, że trzeba było podejść bardzo blisko, żeby go poczuć. Kiedy indziej przypominał syreni śpiew, wabiący człowieka z oddali.

Niezależnie od tego, do którego rodzaju należał, wystarczał, by doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Powinienem był trzymać się od niej z daleka, pomyślał Brian. Bóg świadkiem, że powinienem. Doszedł jednak do wniosku, że jest to tak samo prawdopodobne jak to, że któraś z jej chabet wygra Breeder's Cup.

Keeley wiedziała, że Brian ją obserwuje. Powiedziało jej to mrowienie skóry. Nie mogła pozwolić sobie na nieuwagę, gdy miała sześcioro dzieci pod opieką. Cudownie jednak było mieć świadomość bliskości Briana, reakcji własnego ciała, czuć przyśpieszone bicie pulsu.

Zaczynała rozumieć, czemu kobiety tak często robią z siebie idiotki dla mężczyzn.

Gdy poleciała uczniom przejść z powrotem do kłusa, rozległy się jęki zawodu. Kazała im zmieniać kierunek jazdy i wreszcie jechać stępą. Brian zaczekał, aż ich zatrzyma, po czym zaczął bić brawo.

- Dobra robota - powiedział. - Gdyby któryś z twoich uczniów szukał pracy, przyślij go do mnie.

- Mamy dzisiaj gościa. To pan Donnelly, trener z Royal Meadows. Odpowiada za konie wyścigowe - Keeley przedstawiła dzieciom Briana.

- Rzeczywiście, i zawsze mam oczy otwarte, może trafi mi się jakiś nowy dżokej.

- Ładnie mówi - szepnęła jedna z dziewczynek, ale Brian miał świetny słuch. Uśmiechnął się do niej, co wywołało rumieniec na jej twarzy.

- Tak uważasz?

- Pan Donnelly przyjechał z Irlandii - wyjaśniła Keeley. Niesamowite, pomyślała, sprawia, że nawet dziesięcioletnie dziewczynki robią maślane oczy.

- Mama panny Keeley też pochodzi z Irlandii. Ona też ładnie mówi.

Brian spojrział w górę i zobaczył, że chłopiec, którego zapamiętał, Willy, przygląda mu się uważnie.

- Nikt nie mówi ładniej niż Irlandczycy, chłopcze. To dlatego, że wszystkich nas pocałowały wróżki.

- Podobno kiedy traci się ząb, dostaje się pieniądze od Zębowej Wróżki, aleja ich nigdy nie dostałem.

- Przecież to tylko twoja matka. - Dziewczynka za Willym wyróciła oczy. - Prawdziwe wróżki nie istnieją.

- Może nie mieszkają w Ameryce, ale tam. skąd pochodzę, jest ich wiele. Następnym razem, gdy stracisz ząb, Willy, powiem za tobą słowo.

Chłopiec otworzył szeroko oczy.

- Skąd pan wie, jak mam na imię?

- Pewnie powiedziała mi wróżka.

Keeley robiła wszystko, by zachować powagę, gdy Willy wybałuszył oczy.

- Zsiądźcie z koni, ostudźcie je i napójcie.

Nastąpiło duże poruszenie i gwar. Willy zsiadł z konia, ale nie odchodził, trzymając w ręku wodze i przyglądając

się bacznie Brianowi. Zbyt nieufne spojrzenie jak na tak małe dziecko. Chwyciło go to za serce.

Willy wziął głęboki oddech, po czym oznajmił:

- Mam jeden, który się rusza. Ząb.

- Doprawdy? - Nie mogąc się powstrzymać, Brian przeskoczył przez płot i przykucnął przed chłopcem. - Pokaż.

Willy otworzył szeroko buzię i popukał językiem w chwiejąco się siekacz.

- Super. Za kilka dni będziesz mógł pluć przez dziurę, która po nim zostanie.

- Nie powinno się pluć. - Willy spojrzał z ukosa na Briana.

- Kto tak mówi?

- Panie - wtrącił inny chłopiec, Bobby. wzruszając ramionami. - Nie lubią też bekania.

- Kobiety bywają wybredne w takich sprawach. Lepiej chyba pluć i bekać w męskim towarzystwie.

- Nie powinno się też biegać jak dzikie zwierzę. - Willy rozejrzał się dookoła, by upewnić się, że Keeley nie mierzy go groźnym wzrokiem, i podciągnął rękaw koszuli. - To mam od biegania jak dzikie zwierzę na szkolnym boisku. Poślizgnąłem się i zdarłem sobie skórę aż do krwi.

Wczuwając się w swoją rolę, Brian pokiwał głową, zaciskając wargi.

- Uuu, to naprawdę robi wrażenie.

- Jeszcze gorzej wygląda moje kolano. A pan ma jakieś rany?

- Mam niezłego siniaka. - Żeby dobrze odegrać swoją

rolę, Brian najpierw się rozejrzył, a następnie podciągnął do góry koszulę, żeby pokazać żółknący siniak na żebrach.

- Uff! To musiało naprawdę boleć. Płakał pan?

- Nie mogłem. Była przy tym panna Keeley. O, właśnie idzie - dodał konspiracyjnym szeptem i opuścił koszulę, pogwizdując leniwie.

- Willy, powinienesz napoić Teddy'ego.

- Tak, proszę pani. On mi się śnił wczoraj w nocy.

- Opowiesz mi ten sen, gdy będziesz go oporządzał, dobrze?

- Dobrze. Do widzenia panu.

- To naprawdę ujmujące małe stworzonko - powiedział cicho Brian, gdy Willy prowadził konia do koryta z wodą.

- To prawda. O czym rozmawialiście?

- O męskich sprawach. - Brian wsunął ręce do kieszeni. - Muszę iść do swoich zajęć, ale może potrzebna ci pomoc przy oporządzaniu koni? Jeśli chcesz, przyślę ci kogoś.

- Dzięki, ale to nie jest konieczne.

- Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie. - Powinien pójść sobie i pozwolić obojgu zająć się swoją pracą, ale tak przyjemnie było stać tutaj i wdychać jej zapach. - Dobrze sobie radzą z galopem.

- Za kilka tygodni będą sobie radzić jeszcze lepiej. - Najwyższy czas wprowadzić konie do stajni i dopilnować ich oporządzania, ale... Co zmieni jedna minuta? - Słyszałam, że wygrałeś wczoraj wieczorem niezłą sumkę.

- Odszedłem z pięćdziesiątkiem. Twój kuzyn Barta jest sprytny. Zakończył grę z sumą dwukrotnie wyższą.

- A mój ojciec?

Brian pokazał zęby w uśmiechu.

- Miła mi jest myśl, że stąd wzięło się moje pięćdziesiąt dolarów. Powiedziałem mu, żeby lepiej zajął się swoimi końmi.

- I co na to odpowiedział? - spytała Keeley, unosząc brwi.

- Jego odpowiedź nie nadaje się dla damskich uszu.

Keeley wybuchnęła śmiechem.

- Tak myślałam. Muszę wprowadzić konie do stajni. Niedługo zaczną schodzić się rodzice.

- Nie zawsze przychodzą, żeby się przyglądać?

- Czasami. Prawdę mówiąc, prosiłam ich, żeby dali nam kilka tygodni. Nic nie powinno rozpraszać dzieci, prowokować ich do popisywania się. Byłeś dobrym testem na obecność osób postronnych.

- Keeley. - Dotknął jej ramienia, gdy odwróciła się, by odejść. - Chodzi mi o tego małego chłopczyka. Willy'ego. Za parę dni wypadnie mu ząb. Byłoby miło, gdyby ktoś pamiętał, żeby włożyć mu monetę pod poduszkę.

Serce, które zaczęło tłuc się jak szalone, gdy jej dotknął, uspokoiło się. Stopniało jak lód.

- Obecnie ma bardzo sympatycznych przybranych rodziców. To naprawdę dobrzy i troskliwi ludzie. Nie zapomną.

- No to świetnie.

- Brianie. - Tym razem Keeley położyła dłoń na jego ramieniu. Nie bacząc na ciekawskie spojrzenia uczniów, wspięła się na palce i musnęła wargami jego policzek. - Mam słabość do mężczyzn, którzy wierzą we wróżki.

Wielką słabość, pomyślała dużo później, do mężczyzny z zarozumiałym uśmiechem i czułym sercem. Otworzyła drzwi na taras w swoim pokoju i wyszła w noc. Powietrze było chłodne, a niebo tak czyste, że gwiazdy płonęły jak pochodnie. Czuła zapach kwiatów, ostrą woń pierwszych chryzantem i aromat ostatnich róż.

Lekki wietrzyk szemrał w liściach drzew.

Księżyc w trzeciej kwadrze był bladożółty, jego blask padał na ogrody i pola. Miała wrażenie, że gdyby stuliła dłonie i schwytała w nie trochę tego blasku, mogłaby wypić go jak wino.

Czy ktoś mógłby zasnąć w taką cudowną noc?

Powoli odwróciła się i spojrzała w stronę kwatery Briana. W jego oknach paliło się światło. Poczowała nagłe ściskanie w gardle.

Powiedziała sobie, że jeśli w oknach będzie ciemno, zamknie drzwi i spróbuje zasnąć. Jednak okna jarzyły się w ciemności, kusiły.

Zamknęła oczy, czując dreszcz oczekiwania i zdenerwowanie. Przygotowała się do tego kroku, do zmiany w swoim życiu, w ciele. To nie był impuls ani wyraz lekkomyślności.

Była dorosłą kobietą, decyzja należała do niej.

Powoli cofnęła się i zamknęła drzwi.

Brian odłożył dokumenty i przycisnął palce do zmęczonych oczu. Podobnie jak Paddy, nie był całkiem pewien, czy ufać komputerowi, ale chciał się nim trochę pobawić. Trzy razy w tygodniu spędzał godzinę przy tym cholernym urządzeniu, próbując zgłębić jego tajniki na tyle, by móc

je wykorzystywać do sporządzania planów i harmonogramów.

Nazywają to grafikami, pomyślał, obrzucając komputer podejrzliwym spojrzeniem. Ponoć oszczędza czas i jest bardzo wydajny. Dziś jednak Brian był zbyt zmęczony, żeby spędzić godzinę na próbach oszczędzania czasu i wydajności.

Od tygodnia nie wyspał się przyzwoicie, co zresztą - jak musiał przyznać - nie miało nic wspólnego z jego pracą. Natomiast wiele z córką szefa.

Dobrze, że wyjeżdżam do Saratogi, pomyślał, wstając od biurka. Dobrze, że będzie nas dzieliło sporo kilometrów.

Nie należał do mężczyzn, który gryzą się z powodu kobiety. Spędzał z nimi miło czas i cieszył się, gdy one również czerpały z tego przyjemność, po czym rozstawali się bez żalu.

Miał zamiar dolać sobie whisky do herbaty, żeby się trochę odprężyć, a potem położyć się spać.

Nie poświęci ani jednej myśli Keeley.

Zaklął pod nosem, słysząc pukanie do drzwi. W pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że pogorszyło się kłaczki z bronchitem, która ostatnio czuła się znacznie lepiej. Sięgnął po buty, wołając:

- Proszę wejść, jest otwarte! Czy to Lucy?

- Nie, Keeley. - Oparła się o framugę, unosząc brwi. - Ale jeśli spodziewasz się Lucy, to mogę sobie pójść.

Buty zwisały mu z palców, które nagle zdrętwiały.

- Lucy jest koniem - zdołał wykrztusić. - Nieczęsto puka do moich drzwi.

- Ach, ta klacz z bronchitem. Myślałam, że lepiej się czuje.

- Znacznie lepiej. - Rozpuściła włosy, pomyślał. Cemu musiała to zrobić? Ręce go swędziały z pragnienia, by zanurzyć je w tej płomiennej gęstwinie.

- To dobrze. - Weszła i zamknęła drzwi na klucz. Poczowała niewiarygodną przyjemność, gdy spostrzegła, jak bardzo Brian jest spięty.

- Keeley, miałem ciężki dzień. Właśnie zamierzałem...

- Wypić kieliszeczek przed snem - dokończyła. Zauważyła imbryk do herbaty i butelkę whisky na blacie kuchennym. - Sama nie mam nic przeciwko jednemu. - Przefrunęła obok niego i zgasła palnik pod bulgoczącym czajnikiem.

Użyła innych perfum, pomyślał ze złością, tylko po to, żeby go dręczyć. Był tego cholernie pewny. Jego libido schwytało się na to jak na haczyk.

- W tej chwili nie mam ochoty na czyjekolwiek towarzystwo.

- Nie sądzę, bym kwalifikowała się jako „towarzystwo”. - Wprawnie ogrzała imbryk, odmierzyła herbatę i zalała wrzątkiem. - A już z pewnością nie będzie mnie tak można nazwać, gdy zostaniemy kochankami.

- Nie jesteśmy kochankami - zauważył przytomnie.

- To się zmieni. - Przykryła imbryk pokrywką i się odwróciła. - Jaką lubisz?

- Lubię mocną, toteż zajmie to trochę czasu. Powinnas iść do domu.

- Ja też lubię mocną. - Zdumiewające, ale w ogóle nie była zdenerwowana. - Jeśli zajmie to trochę czasu, możemy wypić ją potem.

- Tak nie można - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - To jest jakieś pokręcone. Nie potrafię zebrać myśli. Nie, zostań tam, gdzie stoisz, i pozwól mi się zastanowić przez chwilę.

Keeley ani myślała zastosować się do tego polecenia. Szła już do niego z syrenim uśmiechem na ustach.

- Jeśli wolałbyś mnie uwieść, to proszę bardzo.

- Tego właśnie nie zamierzam zrobić. - Mimo że noc była chłodna, a okna otwarte, czuł, jak pot spływa mu po kręgosłupie. - Gdybym wiedział, jak się sprawy mają, nigdy bym tego nie zaczął.

Te jego usta, pomyślała. Po prostu muszę je mieć.

- Teraz oboje wiemy, jak się sprawy mają, i zamierzam dokończyć to, co ty zaczęłaś. To mój wybór.

Krew uderzyła mu do głowy.

- Cały cholerny problem polega na tym, że ty nic nie wiesz.

- Boisz się niewinności?

- Jak diabli.

- Ale to nie przeszkadza ci mnie pragnąć. Dotknij mnie, Brianie. - Ujęła go za rękę i przycisnęła jego dłoń do swej piersi. - Chcę poczuć na sobie twoje ręce.

Buty upadły ze stukiem na podłogę.

- To duży błąd.

- Nie sądzę. Dotknij mnie.

Objął ją. Była drobna, delikatna i dzięki jakiemuś chwilowemu cudowi - jego.

- Nieważne, nawet jeśli to błąd - rzeki, poddając się całkowicie.

- Nie pozwolimy, żeby stało się błędem. - Odrzuciła głowę do tyłu, gdy jego dłonie zaczęły wędrować po jej ciele.

- Nieważne. Obiecuję, że będę postępował z tobą ostrożnie.

Błękitne oczy Keeley błyszcząły, gdy uniosła rękę i wsunęła je w gęstwinę jego kędzierzawych włosów.

- Mam nadzieję, że niezbyt ostrożnie.

Gdy wziął ją na ręce, z jej ust spłynęło drżące westchnienie.

- Och, liczyłam na to, że to zrobisz. - W uniesieniu przyłgnęła wargami do jego szyi. - Naprawdę o tym marzyłam.

Odwrócił ku niej twarz, wdychając jej zapach, pragnąc go w sobie zatrzymać.

- Musisz mi tylko powiedzieć, co lubisz.

Odchyliła głowę, by spojrzeć na niego, gdy niósł ją do sypialni.

- Pokaż mi, co lubię.

Położył ją na łóżku w poświacie księżyca i chłodnym powiewie, wpadającym przez otwarte okna. Pierwszy raz pocałował ją w blasku księżyca. Nigdy nie zapomni, jak wtedy wyglądała.

Kilka podarunków w jego życiu miało znaczenie, pozostało na zawsze w jego sercu i pamięci. Keeley była darem, który będzie pielęgnował w swym sercu.

- To - wyszeptał, chwytając lekko zębami jej wargi, dopóki się dla niego nie rozchyliły.

Keeley reagowała na wszystko spontanicznie, chętnie, pragnęła być dotykana i posiadana. Mimo że Brian wyczuwał to jej podniecenie, prowadził ją powoli, cierpliwie przez kolejne doznania.

Pieścił ją czubkami palców, muskając jej ciało lekko jak wiatr, to znów przywierał do jakiegoś tajemnego miejsca, aż wrywały jej się westchnienia pełne rozkoszy. Wędrował ustami po skórze Keeley, rozbudzając w niej coraz większy żar, po czym wracał do jej warg i kąsał je namiętnie, aż wyginała się instynktownie, wtulając się w niego z całej siły.

Szeptał jej cudowne, podniecające słowa w-starym języku i każde było jak czuły pocałunek. Serce w niej trzepotało, skrzydła rozpościerały się szeroko do lotu.

Nie była zdenerwowana, nie dręczyły jej żadne wątpliwości, gdy tuliła się do Briana. Kiedy zsunął jej bluzkę, czuła na skórze pieszczotę wietrzyku i jego palców. Było wspaniale.

Jej skóra była biała jak alabaster, włosy pachniały przepięknie. Każdy przebiegający ją dreszcz był darem, każde westchnienie skarbem. Nigdy w życiu nie był świadkiem tak uroczego zjawiska, jakim była Keeley, odkrywająca samą siebie.

Nie odczuwała odrobiny wstydu, gdy ją rozbierał, ale cieszyła się każdą nową chwilą, nowym doznaniem. Jej ciekawe dłonie manipulowały przy jego ubraniu, ona też chciała sama je zdjąć. Nie miał pojęcia, że fakt, iż jest się czymś pierwszym, może być taki podniecający.

Czuł pod swymi ustami łomotanie serca Keeley, a zapach perfum, którymi lekko skropiła drobne ciało, drażnił

mu zmysły, aż wreszcie otumanił je zupełnie. Pieścił ją coraz odważniej, dopóki nie zaczęła poruszać się pod nim w nie kontrolowanym zaproszeniu.

Tak mocno. Tak mocno. Była to jedyna myśl, która tłukła się w głowie Keeley, gdy jej ciało chłonęło nowe wrażenia i przebiegały przez nie dreszcze. Słyszała własne jęki, urywany oddech, ale nie potrafiła ich opanować. Ta całkowita utrata kontroli nad sobą była bardzo podniecająca.

Wszystko wewnątrz niej było splątane i napięte. I desperacko pragnące tylko jednego. Wbiła paznokcie w plecy Briana, zęby odnalazły jego ramię. Wtedy jego ręka zamknęła się na niej.

Nie zdołała powstrzymać okrzyku rozkoszy, gdy żądza przetoczyła się po niej falą, rozbijając się wewnątrz jej ciała i wprawiając je w drżenie. Wygięła się w łuk, zamykając oczy i wczepiając palce w jego włosy.

Jego wargi, teraz jeszcze gorętsze, jeszcze bardziej złaknione, znów odnalazły jej usta, nie pozwalając jej nawet złapać tchu.

- Oddaj mi się - wyszeptał. W skroniach mu pulsowało, krew napłynęła mu do głowy, gdy zająrzył w jej oszołomione, nieprzytomne oczy. - Weź mnie w siebie.

Patrząc mu w oczy, wyprężyła się i otworzyła, oddając mu całą siebie.

Przypominało to wznoszenie się w powietrze, coraz wyżej i wyżej. Rozkosz potęgowała się, rozlewając się po całym jej ciele. Widziała tylko jego oczy, ciemnozielone, wpatrzone w jej oczy, tak jak jego ciało skupione było na jej ciele. Splecione z nią, poruszające się w zgodnym rytmie.

Wstrząśnięta pięknem tej chwili, podniosła rękę do policzka mężczyzny i wyszeptała jego imię.

Był stracony. Miłość i namiętność, marzenia i pożądanie przeszły jego serce. Bezsilny, ukrył twarz w jej włosach i pozbył się wszelkich hamulców.

Z zamkniętymi oczami rozkoszowała się uczuciem zaspokożenia. Ciało miała cudownie ociążałe, mózg otumaniony. Nie musiała zastanawiać się ani martwić, czy dała Brianowi taką samą rozkosz. Czytała ją z jego twarzy, czuła to, gdy leżał na niej, a serce wciąż waliło mu jak młotem.

Pomyślała, że nastąpiła w niej jakaś zmiana. Świadomość, zrozumienie. I rosnące uczucie triumfu.

Uśmiechając się do siebie, powiodła palcem wzdłuż jego pleców.

- Jak twoje żebra?

- Słucham?

Czy to nie wspaniałe usłyszeć ten senny pomruk w jego głosie?

- Twoje żebra. Nadal masz na nich paskudny siniak.

- Nic nie czuję. - W głowie wciąż mu się kręciło. - Jakich perfum użyłaś? Niesamowicie zdradliwy zapach.

- To jedna z moich wielu tajemnic.

Podniósł głowę, zaczął się do niej uśmiechać i znowu załapała go fala miłości. Pochylił się nad Keeley i złożył na jej wargach długi, czuły pocałunek.

Ręka opadła jej bezwładnie na materac.

- Brianie.

- Zmiażdżę cię - powiedział nagle. Bał się samego siebie.

Zsunął się z niej.

- Jesteś taka drobniutka. - Uświadomiwszy sobie, że powiew, wpadający przez otwarte okna, jest zimny, podciągnął narzutę i otulił nią Keeley. - Dobrze się czujesz?

- Bajecznie, dziękuję. - Usiadła, śmiejąc się i nie zachnęła się w odruchu skromności, gdy narzuta zjechała jej do pasa. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go namiętnie. - A ty dobrze się czujesz? - spytała, przedrzeźniając jego irlandzki akcent.

- Dobrze, ale mam trochę praktyki.

- Jasne. Może nie opowiadaj teraz o swoich wszystkich podbojach. Nie chciałabym walnąć cię w nos, gdy jestem nastawiona tak przyjaźnie.

- Nie nazwałbym tego podbojami, ale niech będzie.

- Mądry wybór.

- Pozwól, że pozamykam okna. Zmarzłaś.

Przekrzywiła głowę, przyglądając mu się, gdy szedł do okna.

- Jest coś kształcącego w twoich siniakach, Donnelly.

- Słucham?

- Myślę, że to pochodzi od koni - powiedziała, gdy zatrzasnął okno i odwrócił się do niej nachmurzony. - Opiekujesz się nimi, martwisz się o nie, robisz dla nich plany, dbasz o ich potrzeby i wygodę - och, no i oczywiście je trenujesz. A potem, jeśli sienie pilnujesz, zaczynasz zachowywać się tak samo wobec ludzi.

- Nie wychowuję ludzi. - Ten pomysł wydał mu się trochę obraźliwy. - Ludzie potrafią sami się o siebie troszczyć. Nawet nie przepadam specjalnie za ludźmi. - Zamknął następne okno. - Wyjąwszy obecne towarzystwo. By-

łoby niegrzecznie powiedzieć coś innego, gdy siedzisz naga na moim łóżku.

- Nie wyraziłeś się precyzyjnie. Nie lubisz bardzo wielu osób. Masz szlafrok?

- Nie. - Nie był pewien, czy to, co powiedziała, jest prawdą ani czy rozdrażniło go to, co o nim myślała.

Wypatrzyła jedną z jego roboczych koszul, przerzuconą przez oparcie krzesła, i włożyła ją, mimo że pachniała koźmi

- Przypuszczam, że herbata jest już mocna jak siekiera. Nadal masz na nią ochotę?

Wyglądała... interesująco w jego koszuli. Na tyle, że krew znowu zaczęła się w nim burzyć.

- Jaką mam alternatywę?

- Zgodnie z moim harmonogramem, wypijemy filiżankę herbaty, trochę porozmawiamy, a następnie zwabisz mnie z powrotem do łóżka i będziemy się kochać, zanim pójdę do domu.

- Nieźle, ale wniósłbym pewne ulepszenia.

- Mianowicie jakie?

- Zrezygnujemy z herbaty i rozmowy.

Powiodła językiem po górnej wardze - został na niej smak Briana - gdy szedł w jej stronę.

- Czyli po prostu zwabisz mnie do łóżka? Mam rację?

- Taki jest mój plan.

- Potrafię być elastyczna.

- Z przyjemnością to sprawdzę - powiedział, błyskając zębami w uśmiechu.

Nie udało im się wrócić do herbaty.

Gdy w końcu wyszła od niego, stał w drzwiach i pa-

trzył, jak biegnie ścieżką. Zakochany idiota, pomyślał. Nie potrafisz jej zatrzymać. Nigdy w życiu nie umiałeś zatrzymać niczego, co nie mieściło się w worku podróżnym, który możesz przerzucić przez ramię.

To zwykły pech, że popełnił błąd i się zakochał. To musi boleć jak diabli, ale poradzi sobie. Z nią i z tym dziwnym uczuciem w sercu. Nie wsiąkł jeszcze na tyle, żeby wierzyć, iż to szaleństwo będzie trwało wiecznie.

Lepiej więc cieszyć się nim, pomyślał, i wrócił do domu, gdy Keeley zniknęła w ciemności.

Gdy się położył, nadal czuł na poduszce jej zapach. Po raz pierwszy od tygodnia zasnął głębokim, zdrowym snem.

Rozdział 8

Tęskniła za nim. Ze zdziwieniem odkryła, że myśli o Brianie przez cały dzień i przychodzi jej na myśl mnóstwo rzeczy, o których chciałaby mu powiedzieć lub które chciałaby mu pokazać, gdy wróci z Saratogi.

Nie była w swej tęsknocie odosobniona.

Podczas następnej lekcji Willy spytał, czy przyjdzie pan Donnelly, żeby mógł mu pokazać świeżą dziurę po zębie. Ten mężczyzna, pomyślała Keeley, robi wrażenie i to błyskawicznie.

Tak jak gdyby nie miała dostatecznie wielu spraw, które absorbują jej myśli i czas. Znalazła dość uczniów płacących za lekcje, by utworzyć nową grupę, i teraz szukała drogi przez labirynt biurokracji, aby zdobyć fundusze na subsydiowanie dodatkowych trojga uczniów.

Spotkała się z psychologiem, pracownikiem opieki społecznej, rodzicami i dziećmi. Samej papierkowej roboty było mnóstwo, ale rezultat wszystkich zabiegów był wart wysiłku.

Z pewnym rozbawieniem przejrzała artykuł w „Washington Magazine”. Wiedziała, że zawdzięcza mu nowych uczniów, wnoszących pełne opłaty. Zdjęcia były

światne, a komentarz przedstawiał szeroko jej wykształcenie, medal olimpijski i pozycję towarzyską.

Doskonale, pomyślała, zwłaszcza że jej szkołę wymieniło kilka razy.

Gdy zadzwonił telefon, popatrzyła nań z lekkim westchnieniem. Od chwili publikacji artykułu wręcz się urywał. Nadszedł czas, pomyślała Keeley, żeby zatrudnić sekretarkę.

Na razie jednak wszystko było na jej głowie.

- Dzień dobry, szkoła jeździecka Royal Meadows. - Jej chłodny, profesjonalny ton zmienił się, gdy rozpoznała głos kuzynki Maureen.

Piętnaście minut później odłożyła słuchawkę, kręcąc głową. Okazało się, że idzie dzisiaj wieczorem na kolację i na wyścigi. Odmówiła - a przynajmniej była pewna, że odmówiła pięć lub sześć razy - ale nikomu nie udało się długo opierać Mo. Potrafiła każdego przekabacić.

Keeley popatrzyła na stertę papierów na biurku i westchnęła ciężko, gdy telefon znowu zadzwonił. Załatw pierwszą sprawę, doradziła sama sobie, potem drugą i postępuj tak dalej, dopóki nie skończysz.

Załatwiła pierwszą, drugą i trzecią, po czym wszedł jej ojciec.

Stanął w progu i podniósł rękę do góry.

- Poczekaj, nie mów nic. Znam cię, znam skądś tę twarz. - Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. - Jestem pewien, że już cię kiedyś spotkałem. Gdzie to było? Tybet? Mazatlan? Przy kolacji parę lat temu?

- Minał niespełna tydzień - nadstawiła policzek, gdy

pochylił się, by ją pocałować - ale ja też się za tobą stęskniłam. Utknęłam tutaj na amen.

- Tak też słyszałem. - Otworzył czasopismo, w którym znajdował się reportaż o Keeley. - Ładna dziewczyna. Założę się, że jej rodzice są z niej dumni.

- Mam nadzieję. - Gdy telefon znowu się odezwał, stłumiła okrzyk i zamachała rękami. - Niech załatwi to za mnie automatyczna sekretarka. Od niedzieli telefon po prostu się urywa. Połowa rodziców, którzy zadzwonili do mnie, by dowiedzieć się o lekcje, nie pytała swoich dzieci, czy chcą jeździć konno.

Podjechała na krześle do małej lodówki i wyjęła dwie butelki wody mineralnej.

- Dzięki.

- Za co? - spytał Travis, biorąc od niej butelkę.

- Za to, że zawsze pytasz.

- Bardzo proszę. Słyszałem, że zabieram dziś na kolację dwie urocze kobiety.

- Mo cię dopadła?

Roześmiał się, przechylając butelkę do ust.

- „Nie spotykaliśmy się w gronie rodzinnym od tygodni” - sparodiował kuzynkę. - „Już mnie nie kochasz?”

- Zawsze naciska właściwy guzik. - Keeley utkwiała wzrok w czubkach swoich najstarszych butów. - Miałeś jakieś wiadomości od Brandona?

- Wczoraj późnym wieczorem. Powinni dziś być w domu.

- To dobrze. - Mógłby zadzwonić chociaż raz, pomyślała, marszcząc brwi, lub wysłać telegram.

- Przypuszczam, że Brian niecierpliwi się, by wrócić.

- Doprawdy? - spytała, unosząc gwałtownie głowę.
- Betty robi duże postępy - jak również kilka innych jednolatków. Świetnie się spisuje na torze treningowym. Dojrzała, żeby Brian zajął się nią poważnie.
- Widziałam ją któregoś ranka na treningu. Sprawia wrażenie silnej.
- Hodujemy rasowe konie w Royal Meadows. - W głosie Tralisa zabrzmiała nuta tęsknoty.
- Co się stało? - spytała zaniepokojona Keeley.
- Nic. - Travis wzruszył ramionami. - Starzeję się.
- Nie bądź śmieszny.
- Wczoraj nosiłem cię na barana - powiedział cicho. - Dom był pełen życia. Trzaskały drzwi, słyhać było tupot nóg na schodach. Upadały na podłogę zabawki. Nie zliczę, ile razy potykałem się na cholernych samochodzikach Brady'ego.
- Odwrócił się, przeczesując palcami włosy.
- Brakuje mi tego, tęsknię za wami wszystkimi.
- Tatusiu. - Zerwała się z krzesła i objęła go mocno.
- Taka jest kolej rzeczy. Trójka z was wyjechała do college'u, Brandon jest wiecznie w podróży, żeby zdobyć doświadczenie w interesach. Tego właśnie pragnie. Ty masz swoje własne sprawy. Ale... mnie brakuje tego hamideru, który kiedyś tu panował.
- Obiecuję trzasnąć drzwiami przy pierwszej nadarżającej się okazji.
- To mi pomoże.
- Sentymentalny mięczak. Kocham to w tobie.
- Na moje szczęście. - Uścisnął ją mocno, po czym spojrzał na dzwoniący znowu telefon. - Prawdę mówiąc,

nie wpadłem tutaj z powodów sentymentalnych, lecz żeby doradzić ci w interesach. Potrzebna ci jest pomoc.

- Myślę o tym. Naprawdę - dodała, gdy pokręcił głową. - Gdy tylko wszystko wyjaśnię, zajmę się tym.

- Przypominam, że mówiłaś dokładnie to samo sześć miesięcy temu.

- To nie była odpowiednia pora. Panuję nad wszystkim. - Gdy mówiła te słowa, telefon znów zadzwonił.

- Keeley, korzystanie z czyjejs pomocy nie oznacza, że nie będziesz nadal prowadzić szkoły, że nie będzie to twoja szkoła.

- Wiem... ale to nie będzie już to samo.

- Przyszedłem tutaj, żeby ci powiedzieć, iż wszystko się zmienia. Stadnina jest czymś więcej niż w czasach, gdy przeszła na moją własność, ale czymś mniejszym niż będzie, gdy odziedziczysz ją ty i twoje rodzeństwo. Jednak odcisnąłem na niej moje piętno. Nic tego nie zmieni.

- Chyba nie chcę, żeby mi to zabrano.

- Udowodniłaś już, że potrafisz prowadzić tę szkołę.

- Masz rację. Oczywiście, masz rację. Niełatwo jest znaleźć właściwą osobę. Musi to być ktoś dobry dla dzieci i dla koni, kto poradzi sobie również w pewnym stopniu z pracą biurową i kto nie będzie kręcił nosem na wyrzucanie gnoju. W dodatku muszą mieć pewność, że mogą na tym kimś polegać. Istotne jest również to, żeby potrafił dogadać się z rodzicami, co często jest najtrudniejsze.

Travis podniósł do ust butelkę z wodą mineralną.

- Może potrafię wskazać ci właściwy kierunek poszukiwań.

- Tak? Posłuchaj, tato, dziękuję ci bardzo, ale wiesz.

jak to jest, gdy chodzi o przyjaciela przyjaciela albo córkę czy syna znajomego. Tego rodzaju układy są nieprzyjemne, jeśli coś nie wyjdzie.

- Rzeczywiście. Myślałem o kimś znacznie bliższym. O twojej matce.

- Mama? - Keeley usiadła z powrotem, uśmiechając się lekko. - Mama nie chciałaby się tego podjąć, nawet gdyby miała czas.

- To świadczy o tym, jak niewiele wiesz. - Dokończył napój, zadowolony z siebie. - Wspomnij jej o tym od niechcienia. Ja nie pisnę ani słowa.

Gdy skończyły się lekcje i ostatni koń został oporzadzony i nakarmiony, Keeley powlokła się do domu. Marzyła jedynie o długiej kąpieli i położeniu się do łóżka. Jeśli spróbowałaby zrezygnować z wieczornych planów, kuzynka Mo będzie ją tropiła niczym pies gończy.

Przeszła przez kuchnię do holu. Uświadomiła sobie, że ojciec ma rację. Jak którekolwiek z nich ma się przyzwyczaić do ciszy? Nikt nie krzychał na schodach, nie biegł do drzwi, nie puszczał muzyki tak głośno, że pękały bębunki.

Przystanąła u szczytu schodów, patrząc w prawo. Znajdował się tam pokój Brady'ego i Patricka. Nadal pamiętała, jak podczas jednej sprzeczki Brady podzielił pokój na dwie połowy czarną taśmą biegnącą przez sufit, ściany i podłogę. Jedną była terenem Brady'ego. Drugą nazwał Ziemią Niczyją.

A ile razy słyszała, jak Brandon walił pięścią w ścianę, oddzielając ich pokój od jego, i krzychał, żeby się uspokoił, zanim sam nie zrobi z nimi porządku.

Gdy przechodziła obok pokoju Sary, zobaczyła matkę, siedzącą na łożku i głaszczącą czerwony sweterek.

- Mamo?

- Och! - Adelia spojrzała na nią. Oczy miała wilgotne od łez, ale pokręciła głową i uśmiechnęła się do córki. - Przestraszyłaś mnie. W tym domu jest okropnie cicho.

Keeley weszła do środka. Pokój miał jasnoniebieskie ściany. Zasłony i narzuta były w tym samym odważnym kolorze, tyle że w dodatku w jaskrawozielone pasy. Jak zwykle Keeley pomyślała, że efekt powinien być okropny. O dziwo jednak, był świetny.

Cała Sara.

- Czy ty i tata się umówiliście? - spytała celowo lekkim tonem Keeley i przysiadła obok matki na łożku. - On też jest dziś smutny od rana z tego samego powodu.

- Przypuszczam, że po tylu spędzonych wspólnie latach odbiera się te same wibracje czy coś w tym rodzaju. Niedawno dzwoniła Sara. Potrzebny jest jej właśnie ten czerwony sweter, który zapomniała wziąć ze sobą. Wydała mi się taka szczęśliwa, zajęta i dorosła.

- Wszyscy przyjadą w przyszłym miesiącu do domu na Święto Dziękczynienia, a potem na Boże Narodzenie.

- Wiem. Mimo to chemie zawiozłabym jej sama ten sweter, zamiast wysyłać go pocztą. Boże, spójrz, która godzina. Muszę się umyć i przebrać do obiadu. I ty również.

- Tak. - Keeley zacisnęła wargi w zamyśleniu, tymczasem Adelia wygładziła sweter ostatni raz i wstała. - Jestem dzisiaj spóźniona - powiedziała. - Ostatnio wciąż mam za mało czasu.

- To się zwykle zdarza ludziom sukcesu.

- Pewnie tak. Nowa grupa jeszcze bardziej wyczerpie moją energię i na nic już nie będę miała czasu.

- Wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę, gdy będziesz tego potrzebowała, tata również. - Adelia poszła do swojego pokoju ze swetrem Sary.

- Wiem, dziękuję, ale będę chyba zmuszona pomyśleć o zatrudnieniu kogoś na stałe. To znaczy myślę o kimś z zewnątrz, to dla mnie trudna decyzja, ale...

Keeley zawiesiła głos, zaskoczona, że matka - która zawsze miała coś do powiedzenia - nadal milczała.

- Nie sędzę, żebyś była zainteresowana pracą na pół etatu w mojej szkole?

Adelia odwróciła głowę i spotkała spojrzenie Keeley w lustrze nad komodą.

- Czy proponujesz mi pracę?

- Brzmi to bardzo dziwnie, gdy ujmujesz to w ten sposób, ale tak. Tylko nie rób tego dla mnie, ponieważ czujesz się zobowiązana. Chyba że uważasz, że znajdziesz czas lub będziesz miała ochotę.

Adelia okręciła się na pięcie z twarzą rozjaśnioną radością.

- Czemu, u licha, tak długo zwlekałaś z tą propozycją? Zaczynam od jutra.

- Naprawdę? Naprawdę chcesz?

- Jeszcze jak! Całą siłą mojej woli powstrzymywałam się, by nie zaglądać do biura codziennie, aż wreszcie tak przywykniesz do mojej obecności, że nie zauważysz, że ja tam pracuję. To podniecające! - Podbiegła do Keeley i uściskała ją. - Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć ojcu.

Nie wypuszczając córki z objęć, Adelia odtńczyła z nią radosny taniec.

- Jestem znowu stajennym!

- Gdybym wiedział, że szukasz pracy, Dee, sam bym cię chętnie zatrudnił. - Bart Logan usadowił się wygodnie na krześle i mrugnął do kuzynki swej żony.

- Wolimy zatrzymać najlepszych w Royal Meadows. - Adelia rzuciła mu figlarne spojrzenie przez stół w restauracji, mieszczącej się w budynku wyścigów. Był równie przystojny i niebezpieczny jak prawie dwadzieścia lat temu, gdy go poznała.

- Och, nie wiem. - Bart oparł dłoń na ramieniu żony.

- Mamy w Three Aces najlepszego księgowego w okolicy.

- Skoro tak, to proszę o podwyżkę.- Erin upiła łyk wina i zmierzyła męża wyzywającym spojrzeniem.

- I to duża. Trevorze, czy zamierzasz zjeść ten kotlet schabowy, czy masz go na talerzu wyłącznie dla dekoracji?

- spytała łagodnie syna. Mówiła z lekkim irlandzkim akcentem.

- Czytam „Racing Form”, mamo.

- Nieodrodny syn swego ojca - mruknęła Erin i wyrywała mu gazetę. - Proszę jeść kolację.

Trevor westchnął ciężko, jak potrafi tylko dwunastoletni chłopiec.

- Obstawiałbym Topekę w trzeciej gonitwie, Lonesome'a w piątej i Hennessy'ego w szóstej, w trypli. Tata mówi, że Topeka to pewny typ.

Bart odchrząknął, skarcony przeciągłym spojrzeniem żony.

- Pakuj natychmiast kotlet do ust, Trev. Gdzie jest Jena?

- Robi mnóstwo zamieszania wokół swoich włosów - oznajmiła Mo, kradnąc frytkę z talerza Tralisa. - Jak zwykle - dodała ze światową pobłażliwością typową dla starszej siostry. - Gdy skończyła czternaście lat, doszła do wniosku, że włosy są zmorą jej życia. Uff. Jak gdyby posiadanie długich, gęstych, prostych jak druty czarnych włosów mogło być problemem. To - szarpnęła jeden z ognistoczerwonych loków, wijących się wokół jej twarzy - jest problem. W każdym razie musicie wszyscy obejrzeć żrebaka, który zwrócił moją uwagę. Będzie wspaniały. Jeśli tata pozwoli mi go trenować...

Zawiesiła głos, rzucając ojcu wymowne spojrzenie przez stół.

- W przyszłym roku o tej porze będziesz w college'u - przypomniał jej Bart.

- Niekoniecznie, jeśli będzie to zależało ode mnie - mruknęła pod nosem Mo.

Rozpoznając buntownicze spojrzenie, Erin szybko zmieniła temat.

- Keeley, Bart powiedział mi, że wasz nowy trener ma świetną intuicję, jeśli idzie o konie, o Tralisa i o karty.

- I słyszałam, że jest fantastycznym facetem - dodała Mo.

- Od kogo? - spytała Keeley, żałując, że nie ugryzła się w język.

- Och, takie wieści rozchodzą się błyskawicznie w naszym małym światku - odparła wyniośle Mo. - Shelley Mason, która jest jedną z twoich uczennic, ma siostrę Lor-

nę, która chodzi ze mną na zajęcia z historii powszechnej. Okropna nuda. Zajęcia, nie Lorna, która jest tylko trochę nudna. W każdym razie, gdy odbierała w zeszłym tygodniu Shelley z twojej szkoły, zauważyła tego irlandzkiego przystojniaka i powiedziała mi o nim. Dlatego zamierzam wpaść do was w najbliższym czasie i obejrzeć go sobie.

. - Trevor, może wepchniesz siostrze do ust kotlet schabowy, żeby się zatkała.

- Tato. - Chichocząc, Mo podkrađła następną frytkę. - Chcę go tylko zobaczyć. Powiedz, Keeley, naprawdę jest taki boski? Szanuję twoje zdanie bardziej niż Lorny Mason.

- Jest dla ciebie za stary - odpowiedziała Keeley nieco ostrzej, niż zamierzała.

- Przecież nie zamierzam go poślubić i urodzić mu dzieci.

Śmiech Trávisa powstrzymał Keeley od palnięcia czegoś równie głupiego.

- Całe szczęście! Gdy w końcu udało mi się znaleźć godnego następcę Paddy'ego, nie zamierzam tracić go na rzecz Three Aces.

- W porządku. - Mo oblizała sól z palca. - Tylko z nim poflirtuję.

Zirytowana, a jednocześnie czując się idiotycznie z powodu tej reakcji, Keeley odsunęła krzesło i wstała.

- Pójdę zerknąć na tory i obejrzę Lonesome'a. Zawsze się daśa przed startem.

- Super! - Mo wystrzeliła jak z procy. - Idę z tobą.

Wybiegła z restauracji tak szybko, że Keeley musiała przyspieszyć kroku, żeby za nią nadażyć.

- Będiesz z pewnością bardzo zadowolona, że mama pomoże ci w szkole. Nie ma jak współpraca w rodzinie. I to jest właśnie to, czego ja pragnę. Nie muszę iść do college'u, żeby być trenerem. Skoro wiem, czego chcę, i uczę się codziennie w domu, jak to robić, to co da mi college?

- Poszerzy twoje horyzonty? - podpowiedziała Keeley.

Puszczając mimo uszu jej uwagę, Mo pośpieszyła na dwór, gdzie powietrze zrobiło się już bardzo rześkie.

- Znam konie, Keeley. Na pewno to rozumiesz. To sprawa instynktu i doświadczenia. - Machnęła ręką. - No, cóż, mam jeszcze czas, żeby nakłonić moich rodziców, by się poddali.

- Nikt nie robi tego lepiej.

Mo ujęła ze śmiechem kuzynkę pod rękę.

- Strasznie się cieszę, że cię widzę. Lato minęło tak szybko, a wszyscy mieliśmy mnóstwo pracy.

- Wiem.

Skreśliły w stronę stajni i świat nagle zapełnił się końmi.

Niektóre przygotowywano do następnego wyścigu. W boksach stajenni bandażowali długie smukłe nogi, które poniosą te potężne ciała w szalonym pędzie po zwycięstwo. Trenerzy o bystrych oczach i czułych dłoniach kręcili się wśród koni, rozpieszczając bojaźliwe i dopingując inne.

Stajenni ochładzali konie, które już biegły. Badano im nogi, przykładano lód. W chłodnym powietrzu niósł się stukot kopyt, który oznaczał, że następna grupa koni wraca z toru wyścigowego. Para unosiła się z ich grzbietów, tworząc magiczną mgłę.

- Ze wszystkich torów wyścigowych świata... - powiedział Brandon z uśmiechem, zjawiając się przed nimi.

- Wróciłeś.

- Przed chwilą. - Podszedł bliżej i zburzył włosy Mo. - Rozmawiałem z mamą parę godzin temu w drodze powrotnej. Powiedziała mi, że przyjedziecie tutaj wszyscy wieczorem, toteż zboczyliśmy nieco, żeby się z wami zobaczyć.

- My?

- Tak. Brian zjrzał do Lonesome'a, żeby dodać mu animuszu. To humorzasty koń. Pomyślałem, że moglibyśmy przy okazji obejrzeć wyścig. Wróciłbym z wami, a Brian odholowałby przyczepą Zeusa do domu.

- Niezły plan. - Keeley ucieszyła się, że jej głos jest spokojny, podczas gdy serce bije jak szalone. - Prawdę mówiąc, sama miałam zamiar zajrzeć do Lonesome'a.

- Jest do twojej dyspozycji - i Briana. O, zdążę jeszcze coś przekąsić. Na razie.

- A teraz możesz przedstawić mnie temu przystojniakowi. - Mo dreptała obok Keeley.

- Przedstawię cię, jeśli będziesz zachowywała się tak, jak gdybyś oprócz hormonów miała mózg.

- To nie ma nic wspólnego z hormonami. Jestem po prostu ciekawa. Nie martw się, wezmę z ciebie przykład, jeśli idzie o mężczyzn.

Keeley zatrzymała się w drzwiach stajni.

- Słucham?

- No, wiesz, miło jest popatrzeć na facetów albo wybrać się z nimi gdzieś od czasu do czasu. Ale jest mnóstwo

ważniejszych rzeczy. Nie zwiąże się z nikim, dopóki nie skończą przynajmniej trzydziestki.

Keeley nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy być zbulwersowana. Potem usłyszała głos Briana i wszystko inne przestało się liczyć.

Był w przegrodzie z Lonesome'em, kapryśnym kasztankiem. Koń był w złym nastroju, jak to często zdarza się przed wyścigiem.

- Wymagają od ciebie zbyt wiele, to nie ulega wątpliwości - mówił Brian, sprawdzając opaski na nogach Lonesome'a. - Musisz wytrzymać straszne napięcie, okazujesz wielką odwagę i dzielność, dzień po dniu. Być może, jeśli zwyciężysz w tym biegu, będę mógł wstawić się za tobą. Wiesz, dodatkowa porcja marchewek, i tak dalej, trochę melasy wieczorem. Większa mosiężna tabliczka na drzwiach twojego boks.

- To przekupstwo - powiedziała szeptem Keeley.

Brian odwrócił się, oczy mu rozbłyły.

- Nie, ubijam interes - sprostował. - Gdybyś była zainteresowana łapówką - zaczął, otwierając drzwi boksu i zamierzając wciągnąć Keeley do środka, by skraść jej tak wytęskniony pocałunek na przywitanie po rozłące.

Omali nie wpadł na Mo.

- Przepraszam, nie zauważyłem pani.

- Jestem niska. Muszę dźwigać ten krzyż. Jestem Mo Logan. - Podała mu rękę z przyjaznym uśmiechem. - Kuzynka Keeley z Three Aces.

- Miło mi panią poznać. Czy dzisiaj biegnie pani koń, panno Logan?

- Mo. Tak, Hennessy. W szóstej gonitwie. Według mnie wygra śpiewająco.

- Będę o tym pamiętał, gdy pójdę do kasy obstawiać.

- Chciałabym rzucić okiem na Hennessy'ego przed gonitwą. Jeśli masz chwilę, wstąp do restauracji coś przekąsić, Brianie. Zebrała się tam cała rodzinka.

- Dziękuję. Ładniutka - powiedział Brian cicho, gdy Mo odeszła.

- Ona też chciała ci się przyjrzeć. Słyszała, że przystojniak z ciebie - zauważyła Keeley.

- Doprawdy? - Brian odwrócił się do niej, rozbawiony. - Czy to ty jej powiedziałaś?

- Na pewno nie. Mam dla ciebie zbyt dużo szacunku, by mówić o tobie w taki sposób.

- Szacunek to dobra rzecz. - Wciągnął ją do przegrody, miażdżąc jej usta pocałunkiem, zanim zdążyła się rozśmiać. - Jednak w tej chwili liczę na namiętność. Czy pragniesz mnie, Keeley? - wyszeptał, z wargami na jej wargach.

- Jeszcze jak. - W uszach jej dzwoniło. - Och, Brianie, pragnę... - przywarła do niego całym ciałem, aż wpadli na konia - ...ciebie. Teraz. Gdziekolwiek. Czy nie możemy... minęło tyle dni.

- Cztery. - Chciał zedrzeć z niej długą, obcisłą suknię, którą miała na sobie, i posiąść ją jak ogier, poddając się ślepej żądzy i pierwotnemu pociągowi.

Przekonywał sam siebie, że zachowa rozsądek, będzie panował nad swoimi pragnieniami. Wystarczyło jednak, że ją zobaczył, a wszelkie postanowienia wzięły w łeb.

- Keeley. - Obsypał ją pocałunkami, wtulił twarz w jej

włosy, szepcząc: - Tak bardzo Cię pragnę. Chodź ze mną do ciężarówki.

- Tak. - W tej chwili poszłaby za nim na koniec świata. - Pośpiesz się. No, szybciej.

Wzięła go za rękę, próbując otworzyć drzwi. Bez tchu, potknęła się i pewnie by upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

- Szpilki wspaniale się nadają do noszenia w stajni - mruknęła. - Nogi mi się trzęsą.

Z nerwowym śmiechem odwróciła się ku niemu. Nogi przestały drżeć pod nią. Przynajmniej ich nie czuła. Czuła jedynie nierówne bicie serca.

Wpatrywał się w nią z napięciem. Ujął jej twarz w dłonie.

- Jesteś taka piękna.

Nigdy nie wierzyła, że takie słowa mają znaczenie. Były wypowiedane tak łatwo, tak bez troski. W ustach Briana brzmiały inaczej - w tonie, jakim je wymówił, nie było nic niedbałego. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, pomyśleć, usłyszała kobiecy okrzyk i tupot nóg.

- Keeley, szybko, chodź ze mną. - Nie zdając sobie sprawy z intymności tej sceny, Mo wpadła do środka i chwyciła Keeley za rękę. - Potrzebne mi wsparcie. Cholerny sukinsyn!

- Co się stało?

- Jeśli on myśli, że ujdzie mu to na sucho, to się grubo myli! - Mo pociągnęła Keeley przez stajnie do przegrody.

Keeley słyszała już podniesione głosy. Najpierw zobaczyła mężczyznę. Poznała go. Był to Peter Tarmack, podejrzany typ o tłustych włosach i tanim pierścionku na małym palcu, który zwykle podkupywał konie w wyści-

gach, gdzie rokowania były dobre, a następnie bezlitośnie je eksploatował.

Twarz dżokeja również była znajoma. Jego najlepsze lata już minęły i, podobnie jak Tarmack, był znany z tego, że zbyt często pociąga na torze z butelki. Mimo to od czasu do czasu udawało mu się podłapać jazdę, gdy stały dżokej był chory albo miał kontuzję.

- Mówię ci, Tarmack, że nie pojedę na nim. I nie znajdziesz nikogo innego. On nie jest w kondycji, by biegać.

- Przestań mi pleść bzdury o kondycji. Włóż na niego i jedź. Dostałeś forszę.

- Nie za dosiadanie chorego i kontuzjowanego konia. Oddam ci twoje pieniądze.

- To, czego jeszcze nie zdążyłeś przepić.

Ponieważ Mo trzęsła się jak osika i -chwyciła z trudem oddech, Keeley ścisnęła ją za rękę, omal jej nie miażdżąc.

- Jakiś problem, Lany?

- Panno Keeley. - Dżokej zerwał czapkę z głowy i odwrócił ku niej pomarszczoną, zdenerwowaną twarz. - Próbuję wytłumaczyć panu Tarmackowi, że ten koń nie może dzisiaj wziąć udziału w wyścigu.

- Nie masz prawa niczego mi mówić. A ja nie potrzebuję, żeby któreś z przeklętych potomków wszechmocnych Grantów wtrącało się do moich interesów.

Zanim Keeley zdążyła zareagować, do akcji wkroczył Brian. Szarpnął Tarmacka, aż mężczyzna musiał wspiąć się na palce.

- Nie będziesz zwracał się w ten sposób do damy. - Głos miał cichy, cała furia skupiła się w spojrzeniu. - Przeprosisz za to albo nie zostanie ci w gębie ani jeden ząb!

- Brianie, poradzę sobie.

- Radź sobie, z czym chcesz. - Nie spuszcza! wzroku z Tarmacka, któremu oczy niemal wyszły z orbit. - Ale on cię przeprosi, i to z następnym oddechem!

- Przepraszam panią - wykrztusi! Tarmack, wciągając ze świstem powietrze, gdy Brian zwolni! nieco chwył. - Po prostu próbuję dojść do !adu z tym, pożał się Boże, dżokejem. Zapłaciłem mu z góry.

- Dostaniesz z powrotem swoje pieniądze - odparł dżokej. - Panno Keeley, nie wystartuję w tej gonitwie. Koń kuleje i każdy, kto ma oczy, widzi, że jest wychudzony. Nie nadaje się do wyścigu.

- Przepraszam. - Głos Keeley był zjadliwie lodowaty. Odepchnęła Tarmacka i weszła do przegrody, żeby osobiście obejrzeć konia. Gdy wyszła w chwilę później, ręce trzęsły jej się ze wściekłości.

- Panie Tarmack, jeśli spróbuje pan wsadzić dżokeja na tego konia, drogo to pana będzie kosztować. Zresztą i tak spowoduję, że zapłaci pan słońą karę. Ten biedny koń jest chory, kontuzjowany i zaniedbany.

- Niech pani nie zwala tego na mnie. Mam go zaledwie od paru tygodni.

- I przez parę tygodni nie zauważył pan, w jakim jest stanie? Mimo to eksploatował go pan?

- Zaraz, chwilkę. - Tarmack uczynił krok do przodu i znów znalazł się oko w oko z Brianem. - Proszę posłuchać - powiedział jęklwym tonem. - Może pani pozwolić sobie na sentymentalne bzdury, bo jest pani bogata. A ja żyję z wystawiania koni. Jak nie biegają, jestem na minusie.

- Ile? - Keeley położyła dłoń na pysku wałacha.

W głębi serca należał już do niej. - Ile pan za niego zapłacił?

- Ach... dziesięć kawałków.

Brian dźgnął Tarmacka palcem w pierś.

- Wymień inną sumę. Ta jest nierealna.

Tarmack wzruszył ramionami.

- Może to było pięć tysięcy. Muszę sprawdzić w moich księgach.

- Jutro dostaniesz czek na pięć tysięcy dolarów. Konia zabieram dzisiaj. Brianie, możesz rzucić na niego okiem?

- Chwileczkę...

Tym razem to Keeley odwróciła się i odepchnęła Tarmacka.

- Niech pan będzie rozsądny i weźmie pieniądze, ponieważ ja i tak zabieram konia.

- Kolano wymaga leczenia - stwierdził Brian po krótkim badaniu. Krew się w nim wzburzyła, gdy zobaczył, jak zaniedbano kontuzję. - Zajmiemy się tym. Na pierwszy rzut oka widzę, że ma pełno larw gzów. Potrzebuje troskliwej opieki.

- Zapewnię mu ją.

Keeley ledwie raczyła spojrzeć na Tarmacka przez ramię.

- Może pan odejść - odprawiła go królewskim tonem. - Ktoś dostarczy panu czek jutro rano.

Jej ton rozzłościł Tarmacka. Nie zadzierałaby tak nosa bez swojego cholernego goryla, pomyślał. Nauczyłby ją szacunku, gdyby nie było przy niej tego zarozumiałego irlandzkiego typu.

Zacisnął bezsilnie pięść w kieszeni i spróbował zachować twarz.

- Nie pozwolę wam tak po prostu zabrać konia i zostawić mnie z obietnicą na gębę. Skąd mam wiedzieć, jacy jesteście.

Brian wyprostował się znowu z gniewnym błyskiem w oku, ale Keeley tylko uniosła dłoń.

- Mo, czy mogłabyś zaprowadzić pana Tarmacka do restauracji? Poproś mojego ojca o wypisanie czeku na pięć tysięcy, a ja wszystko później wyjaśnię.

- Z przyjemnością. - Objęła Keeley i mocno ucałowała. - Wiedziałam, że to zrobisz. - Proszę ze mną, Tarmack. Dostanie pan swoje pieniądze.

- Przykro mi, panno Keeley - powiedział Larry, obracając czapkę w dłoniach. - Nie miałem pojęcia, że sprawy wyglądają tak fatalnie, dopóki nie zobaczyłem konia. Nie mogłem na nim wystartować w takim stanie.

- Postąpiłeś słusznie. Nie przejmuj się.

- Zapłacił mi z góry, to prawda.

Keeley skinęła głową, wyszła z boksu i przywołała go bliżej.

- Ile ci zostało?

- Około dwudziestu dolarów.

- Przyjdź do mnie jutro. Zajmiemy się tym.

- Bardzo dziękuję, panno Keeley. Ten koń nie jest wart pięciu tysięcy, wie pani o tym?

Keeley przyjrzała się wałachowi. Był maści koloru błota, pysk miał zbyt kwadratowy, wyglądał jeszcze pospoliej z powodu brudnobiałej plamki pośrodku czoła. Z jego oczu wyzierał nieznośny smutek.

- Z pewnością jest, Larry. Dla mnie jest.

Rozdział 9

Nie musisz mi pomagać.

Brian nic nie odpowiedział, tylko nacinał skórę na nogach wałacha. Gzy często dokuczały koniom pasącym się na trawie, ale ten był straszliwie zaniedbany. Brian nie miał wątpliwości, że jaja, które gzy złożyły na nogach wałacha, zostały przeniesione do żołądka.

- Brianie, naprawdę - Keeley nie przerwała mieszania specjalnego mazidła na kolano chorego konia - miałeś bardzo długi dzień. Poradzę sobie.

- Jasne. Poradzisz sobie z tym, z kretynami w rodzaju Tarmacka, z upadłymi dżokejami i ze wszystkim innym, co jeszcze zdarzy się przed śniadaniem. Nikt nie twierdzi inaczej.

Ponieważ powiedział to tonem, którego nawet przy dobrych chęciach nie można było uznać za pochlebny, Keeley odwróciła się ku niemu z gniewną miną.

- Co ci się stało?

- Mnie nic, do cholery, ale ty mogłabyś zatrudnić kogoś do pomocy. Czy musisz robić wszystko sama, krok po kroku? Nie potrafisz zwyczajnie przyjąć pomocy, gdy ci ją ktoś ofiarowuje, i zamknąć się, do diabła?

Keeley zaniemówiła z wrażenia. Dopiero po dłuższej chwili zauważyła:

- Po prostu założyłam, że będziesz zmęczony po podróży.

- Dam ci znać, kiedy będę zmęczony.

- Zdaje się, że nie tylko ten wałach ma coś paskudnego w swoim organizmie.

- Cóż, księżniczko, załazłaś mi za skórę i w tej chwili trochę mi to dokucza.

Najpierw zrobiło jej się przykro, po chwili jednak doszła do głosu urażona duma.

- Będę szczęśliwa, mogąc cię oczyścić, tak jak oczyszczę jutro tego konia.

- Gdybym uważał, że to zadziała - odparł - oczyściłbym się sam. Zaczekaj przynajmniej do południa - powiedział do Keeley. - Nie możesz mieć pewności, kiedy po raz ostatni był karmiony.

- Umiem leczyć koński żołądek z larw gzów. - Delikatnie zaczęła smarować mazidłem kontuzjowane kolano.

- Uważaj, poplamisz sobie sukienkę.

Keeley cofnęła się ze złością, gdy Brian sięgnął po słoik z mazidłem.

- To moje ubranie.

- Powinnaś bardziej je szanować. To nieprofesjonalne robić koniowi opatrunki w jedwabnej sukience.

- Mam ich pełną szafę, jak to księżniczka.

- A jednak. - Chwycił palcami za brzeg słoika i zaczęli wrywać go sobie. Briana rozbawiła ta walka i omal nie wybuchnął śmiechem, ale spojrzawszy na twarz Keeley, zobaczył, że ma łzy w oczach.

Puścił słoik tak gwałtownie, że Keeley usiadła na pupie.

- Co ty robisz? - spytał.

- Nakładam łągodzący kataplazm na uszkodzone końskie kolano. A teraz odejdz i pozwól mi się z tym uporać.

- Nie ma powodu zaczynać tego wszystkiego od początku. Najmniejszego powodu. - Ogarnęła go straszliwa panika, omal nie dostał zawrotu głowy. - Nie ma o co płakać.

- Jestem zdenerwowana. To moja stajnia i mogę płakać, kiedy mi się zechce.

- Dobrze, już dobrze. - W rozpaczy sięgnął do kieszeni po chustkę. - Masz, wytrzymaj nos albo coś. •

- Idź do diabła albo coś! - Odwróciła się i dalej nakładała maść.

- Keeley, przepraszam. - Nie bardzo wiedział za co, ale musiał to zrobić. - Wytrzymaj oczy.

- Nie przemawiaj do mnie takim kojącym tonem. Nie jestem dzieckiem ani chorym koniem.

- A jaki ton wolisz?

- Szczerzy. - Keeley zadowolona, że kataplazm został właściwie założony, wstała. - Niestety, szydarczy ton, jakim się do mnie zwracasz od chwili, gdy jesteśmy tutaj, nie pasuje do tej kategorii. Twoim zdaniem, jestem zepsuta, uparta i zbyt dumna, by przyjąć pomoc.

Choć po łzach nie było już ani śladu, Brian pomyślał, że lepiej zachować ostrożność.

- To dość bliskie prawdy - zgodził się - ale kompozycja jest interesująca i coraz bardziej ją lubię.

- Nie jestem zepsuta.

Brian uniósł brwi i przekrzywił głowę.

- Być może to słowo oznacza coś innego dla was, jankesów. Wydaje mi się, że nie każdy mógłby od niechce-
nia poprosić ojca o wypisanie czeku na pięć tysięcy dola-
rów za chorego konia.

- Zwrócę mu pieniądze.

- Nie wątpię.

- Czy miałam zostawić go tutaj, odejść i pozwolić,
żeby ten idiota Tarmack znalazł dżokeja, który na nim
pojedzie?

- Nie, postąpiłaś słusznie. Chodzi o to, że mogłaś bez
mrugnięcia okiem wydać tyle pieniędzy.

Brian podszedł do wałacha, by obejrzeć jego oczy i zę-
by. Nie najlepiej świadczyło o nim, że fakt, iż tak łatwo
wydała dużą kwotę, był mu nie w smak.

Tak się jednak stało i ta kłótnia uświadomiła mu boles-
nie, jaki dystans ich dzieli.

- Nie liczysz się z pieniędzmi, Keeley.

- Stać mnie na to.

- Święta prawda. - Przesunął dłońmi po końskiej szyi,
bardzo delikatnie. Powoli badał dalej konia. - Będziesz
musiała mi wybaczyć, Irlandczycy z mojej klasy społecz-
nej zwykle są zawzięci na szlachetnie urodzonych. - Na-
trafił palcami na niewielki guz. - Wymacałem nieduży
wrzód. Musimy coś z tym zrobić.

Musimy zrobić coś z czym innym, pomyślała. Podeszła
i stanęła tak, że ich oczy spotkały się nad końskim grzbie-
tem.

- Może więc mi powiesz, jak mężczyźni z twojej klasy
radzą sobie z zaciąganiem kobiet z mojej klasy do łóżka?

- Gdybym mógł, trzymałbym się z dala od ciebie.

- Czy to ma mi pochlebiać?

- Nie. Po prostu stwierdzam fakt. - Wyszedł z boksu, aby znaleźć flanelę do rozgrzania wrzodu.

Nie, pomyślała Keeley, niedoczekanie twoje, żebym tak zostawiła tę sprawę.

- Wszystko sprowadza się wyłącznie do seksu? - spytała, wychodząc za Brianem.

Puścił wodę tak gorącą, że prawie parzyła mu dłonie, i namoczył w niej spory kawałek flaneli.

- Nie - odpowiedział, nie odwracając głowy. - Zależy mi na tobie i to tylko utrudnia sprawę.

- Powinno ją ułatwiać.

- Nie ułatwia.

- Nie rozumiem cię. Czy byłbyś szczęśliwszy, gdybyśmy po prostu przespali się ze sobą, nic do siebie nie czując, nie rozumiejąc się nawzajem?

Wyciągnął wiadro.

- Nieskończenie, ale już na to za późno, prawda?

Zdumiona, weszła za nim z powrotem do boksu.

- Jesteś na mnie zły, ponieważ ci na mnie zależy. Woda jest za gorąca - powiedziała.

- Nie, jest w sam raz. Nie jestem na ciebie zły. - Szepcząc coś uspokajająco do konia, położył gorącą flanelę na wrzodzie. - Może trochę na siebie, ale wolę odegrać się na tobie.

- Czy przynajmniej mogłabym zrozumieć, Brianie, czemu się kłócimy? - Położyła rękę na jego dłoni, którą przyciskał flanelę. - Robimy dzisiaj to, co należało zrobić. Sposób, w jaki zdobyliśmy tego konia, nie jest tak ważny, jak to, co się z nim teraz dzieje.

- Oczywiście, masz słuszność. - Przyglądał się ich dłoniom. Co za kontrast! Jego - duża, stwardniała od pracy - i jej drobna i miękka.

- Czemu to, że nawzajem nam na sobie zależy, ma nie być równie ważne jak to, co tutaj robimy?

Tego akurat nie był pewien, nic więc nie powiedział, Keeley zaś wzięła następny kawałek flaneli.

Poranek wstał mglisty i zimny. Keeley spała bardzo źle i była na wpół przytomna. To wszystko wina Briana, pomyślała ponuro. Jego brak konsekwencji, przejawiany od czasu do czasu upór, aby koniecznie zachować dystans między nimi, był doprawdy zdumiewający. Do tej pory nie natrafiła na problem, którego z czasem nie umiałyby rozwiązać, na przeszkodę, której nie potrafiłaby w jakiś sposób pokonać. Ten jeden mężczyzna może okazać się wyjątkiem od reguły.

Zranił ją, a ona nie była na to przygotowana. Czy to możliwe, że spędzili tyle czasu razem, byli tak blisko i nie rozumieli się wzajemnie? Zależało mu na niej, a tego właśnie chciał uniknąć, tego się obawiał. Jaka w tym logika? Jaki sens ma tego rodzaju myślenie?

Zakochała się w Brianie. Postawna sylwetka, wyrazista twarz i zielone oczy o zuchwałym spojrzeniu sprawiały, że krew zaczynała żywiej krążyć w jej żyłach, ale początkowo bardziej ją to irytowało, niż cieszyło. To jego cierpliwość, opiekuńczość, których najpierw nie chciała zauważyć, obudziły w niej zainteresowanie i szacunek, a z nich wyrosło uczucie.

Dla niej jednak było to raczej rozwiązanie niż problem.

Jak po tym wszystkim, co razem przeżyli, może widzieć w mej tylko rozpieszczonej dziewczynę z bogatego domu?

Jak może przy takim przekonaniu żywić do niej jakies uczucia?

Było to zdumiewające, a zarazem denerwujące. Keeley była jednak na tyle niewyspana i zmęczona, że nie miała siły się złościć.

Brak energii dawał jej się szczególnie ostro we znaki, gdy do stajni zajrzała Mo.

- Wpadłam na chwilę przed tą cholerną szkołą. - Skierowała się natychmiast do boksu, gdzie Keeley badała kontuzjowane kolano konia. - Jak on się czuje?"

- Trochę lepiej - odpowiedziała Keeley, podnosząc nogę wałachowi i zginając ją w kolanie. Parsknął, spłoszony. - Sama widzisz, że wciąż go boli. -

- Biedactwo. Duże biedactwo. - Mo zacamokała i poklepała go po boku. - Zachowałeś się wczoraj wieczorem naprawdę po bohatersku. Mam na myśli twoją natychmiastową interwencję. Wiedziałam, że zapanujesz nad sytuacją.

Keeley ściągnęła brwi.

- To nieprawda. Wcale nie zapanowałam.

- Jasne, że tak - zawsze panujesz. Jesteś do tego stworzona. Prawdziwa przywódczyni. A ten biedny koń tutaj jest ci wdzięczny, prawda, kochany? Och, i nasz przystojniak jest niezły. - Uśmiechając się szeroko, udała, że przebiega ją dreszcz. - Niesamowity. Myślałam, że uderzy tego idiotę Tarmacka. Właściwie miałam nadzieję, że to zrobi. W każdym razie stanowiliście wspaniały zespół.

- Uhm.

- A co z tymi płomiennymi spojrzeniami?
- Jakimi znowu spojrzeniami?
- Daj spokój. Brian patrzy na ciebie, jakbyś była ostatnim batonikiem na półce, a jemu groziłaby śmierć bez czekolady.
- To idiotyczna analogia. Wyobrażasz sobie rzeczy, których nie ma.
- Chciał zetrzeć Tarmacka na proch za to, że cię obraził. To takie romantyczne.
- Nie ma nic romantycznego w bójce. Poradziłabym sobie z Tarmackiem, ale, oczywiście, jestem wdzięczna Brianowi za pomoc.
- Tak, poradziłabyś sobie. Zawsze sobie radzisz, ale to nie znaczy, że nie można ci pomóc.
- Nie, nie wiem - odparła Keeley. - Idź do szkoły, Mo. Muszę wygarnąć gnój.
- Idę, już idę. Brakuje ci chyba porannej dawki kofeiny. Przyjdę później sprawdzić, jak się czuje nasz wach. Jestem tym osobiście zainteresowana. Do zobaczenia.
- Tak, świetnie - mruknęła Keeley, zabierając się do pracy. Nie ma nic złego w tym, że człowiek potrafi sam sobie radzić. Ani w tym, że tego chce. Naprawdę była wdzięczna Brianowi za pomoc.
- I nie potrzebowała kofeiny.
- Lubię kofeinę - gderała. - Lubię ją, a to zupełnie co innego. Zupełnie. Mogłabym się jej wyrzec w każdej chwili, wcale mi jej nie brak.
- Zirytowana, sięgnęła po napój, który zostawiła na półce, i wypła go duszkiem.

Dobrze, może mi jej brakuje, ale tylko dlatego, że lubię jej smak. To nie pragnienie ani uzależnienie...

Nie miała pojęcia, czemu właśnie wtedy przyszedł jej do głowy Brian. Była pewna, że gdyby zobaczył, jak wlepia przerażony wzrok w butelkę z napojem, pękłby ze śmiechu. Ciekawe, jaka byłaby jego reakcja, gdyby wiedział, że zamiast butelki widzi jego twarz.

Nie, pomyślała spieszenie, nie potrzebuje Briana Donnelly'ego. To tylko pociąg, usiłowała się uspokoić. Odstawiła butelkę tak ostrożnie, jak gdyby zawierała nitroglicerynę. To, co się z nią działo, było dość naturalne, pomyślała, ponieważ był jej pierwszym. Fascynacja, -zauroczenie... Miłość?

Nie chciała się zakochać, a jednak tak się stało i nic już nie mogła na to poradzić.

Kiedy przyszła Adelia, Keeley panowała nad sobą na tyle, by uciąć z nią pogawędkę i poprosić o zajęcie się papierkową robotą.

Keeley Grant nie uciekała od problemów i nie zamierzała robić tego teraz. Osiodłała Sama i wyruszyła na przejażdżkę, mając nadzieję, że uda jej się pozbierać myśli, zanim pojawi się Brian.

Przenośna bariera startowa została ustawiona na ćwiczebnym torze. Powietrze było łagodne i rześkie. Liście drzew zaczynały się czerwienić - widoczna zapowiedź zmiany pory roku. Brian przypuszczał, że za tydzień, dwa widok będzie bajeczny, ale w tej chwili całą uwagę skupił na koniach.

Trenował na torze pięć koni - dwójkę jednolatków ra-

zem z trójką doświadczonych koni wyścigowych. Ten ostatni etap treningu, poprzedzający wyścig, był dla niego równie ważny jak dla jednolatków.

Musiał przyjrzeć się ich stylowi, poznać preferencje, kaprysy, silne punkty. Wiele wniosków będzie opierało się na domysłach, przynajmniej dopóki nie pobiegną w kilku wyścigach.

- Burza po wewnętrznej - powiedział, obracając w ustach cygaro. Lepiej mu się przy tym myślało. - Potem Brooder, Betty, Karmelek i po zewnętrznej Olbrzym.

Obejrzał się, słysząc stukot końskich kopyt. To Keeley jechała w stronę toru. Jej pojawienie się zakłóciło tok myśli Briana.

- Nie wolno wam krzyczeć na jednolatki - powiedział do ujeżdźaczy, polecając im, by nie wstrzymywali koni. - Ani ich karać. Najwyżej możecie klepnąć je lekko, żeby dać im sygnał. Moich koni nie trzeba bić, żeby biegly.

Mimo że uwagę miał skoncentrowaną na koniach, wiedział, kiedy Keeley zsiadła z Sama. Wyjął stoper i obracał go w dłoni, gdy konie prowadzono do bariery startowej.

- Nie znam jednolatka po wewnętrznej - powiedziała Keeley, obwiązując wodze wokół słupka płotu.

- Twój ojciec nazwał go Burzą w Szklance Wody. ponieważ jest drobnej budowy, ale szalenie bojowy. Nieczęsto wybierasz się rano na takie przejażdżki.

- Nie, ale chciałam przyjrzeć się przygotowaniom, a moja nowa asystentka świetnie sobie radzi z pracą biurową.

Spojrzał na Keeley. Rozpuszczone włosy opadały gęstą, rozwichrzoną falą na ramiona, ale wyraz twarzy miała chłodny i poważny.

- Asystentka? A odkąd to ją masz?
- Od wczoraj. To moja mama. Wbrew przeświadczeniu pewnych osób, nie upieram się, by załatwić wszystko sama, gdy proponują mi pomoc.
- Nadal jesteś rozdrażniona, co?
- Najwyraźniej.
- Cóż, będziesz musiała poczekać, jeśli chcesz się pokłócić. Jestem zajęty. Jim! Uspokój go teraz! - zawołał Brian, widząc, że Burza płoszy się trochę przed barierą startową. - Ten mały protestuje przeciwko zamknięciu. Tak, teraz dobrze. - Przyszykował stoper i włączył go, gdy podniesiono barierę.

Konie wystartowały.

Brian pomyślał, że chyba nic nie przyśpiesza tak bardzo bicia jego serca jak ta chwila, pierwszy impet, wspaniałe końskie ciała wyrwijące się do przodu.

Nawet w radosnym uniesieniu niczego nie przegapił. Wspaniała praca nóg, chmury pyłu, postacie dżokejów, pochylone nisko nad końskimi szyjami... Dostrzegał wyraźnie wszystko.

- Chce prowadzić od samego startu - wyszeptał. - Żeby inne poczuły smak kurzu spod jej kopyt.

Zafascynowana, Keeley przechyliła się przez barierę, gdy konie kończyły pierwsze okrążenie.

- Dobrze biega w grupie. Miałaś rację. Burza trochę się płoszy.

- Chce biec po zewnętrznej. Jest wytrzymała. Im dłuższy wyścig, tym bardziej mu się podoba. Betty zaś woli biec po wewnętrznej.

Bez zastanowienia nakrył dłonią dłoń Keeley.

- Spójrz tylko na nią. To zwyciężczyni. Nie potrzebuje żadnego z nas. Wie o tym.

Czując ciepły i mocny dotyk dłoni Briana, Keeley patrzyła, jak konie wchodzi na ostatnią prostą, Betty prowadziła prawie o całą długość. Keeley poczuła przyływ dumy.

Gdy Brian wydał okrzyk, zatrzymując stoper, chciała zarzucić mu w radosnym uniesieniu ramiona na szyję, ale on już się odsunął.

- Dobry czas, cholernie dobry czas. A będzie jeszcze lepszy. - Skinął głową, patrząc, jak jeźdźcy unoszą się w strzemionach i wyhamowują konie. - Znajdę dla niej właściwy wyścig, dam jej poznać smak prawdziwej rywalizacji.

Poklepał Keeley po ramieniu z nieobecną miną i przeskoczył przez płot.

Patrzyła za nim, jak idzie do koni, jak głaszcze i chwali Burzę, jak mówi coś do dżokeja, a dopiero potem przechodzi do Betty.

Klacz tańczyła zalotnie w miejscu, po czym pochyliła łeb i skubnęła delikatnie ramię Briana.

Mylisz się, pomyślała Keeley. Cokolwiek ona wie, czymkolwiek jest, potrzebuje cię.

I, do cholery, ja potrzebuję cię również.

Gdy już pogłaskał wszystkie konie, pochwalił każdego z osobna i dżokeje zabrali je, by je ochłodzić, Brian przeskoczył z powrotem przez płot i podniósł swój notes.

- Miałem nadzieję, że twój ojciec przyjdzie obejrzeć jej pierwszy bieg w stawce.

- Jestem pewna, że przyszedłby, gdyby mógł. Pewnie coś go zatrzymało.

Mruknawszy coś pod nosem, Brian dalej robił zapiski w swoim notesie.

- Cóż, dziś będzie biegało więcej jednolatków, więc jeśli zechce, proszę bardzo. Jak się czuje wałach?

- Dobrze. Z wrzodem już nieco lepiej. Po zajęciach dam mu płynny lek. Nie chcę, żeby kręciło się wokół niego pół tuzina dzieciaków, gdy zacznie działać.

- Najlepiej zaczekać do późnego popołudnia. Powinno upłynąć około dwudziestu czterech godzin pomiędzy ostatnim karmieniem a podaniem leku. Mogę to zrobić za ciebie, jeśli masz dużo pracy.

Już miała na końcu języka grzeczną odmowę, ale zdołała się powstrzymać.

- Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby go obejrzeć.

- Chemie to zrobię. - Podniósł głowę i zobaczył jej zasepioną twarz. - Co się stało? Martwisz się?

- Nie. - Odetchnęła głęboko i nakazała sobie spokój. - Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. - Dopilnuje tego. Wóz albo przewóz. - Po prostu lepiej się czuję, gdy panuję nad sytuacją, i tyle.

Keeley rozważyła sytuację. Pragnęła Briana. Mało tego - była prawie pewna, że jest w nim zakochana. Jeśli to miłość, to musi sprawić, żeby i on się w niej zakochał. Zamierzała dążyć uparcie do realizacji swoich pragnień, aż w końcu osiągnie cel.

Przyjemnie zmęczona po długim dniu pracy, nakarmiła konie. Bez wątplenia pomoc matki bardzo się przydała.

Czy to upór jest powodem, że tak często odtrąca po-

mocną dłoń? Chyba nie. Chce, żeby ludzie, których kocha i którzy ją kochają, byli z niej dumni. A ona identyfikuje to - głupio - z potrzebą bycia doskonałą.

Wolała jednak myśleć o tym jak o przyjmowaniu na siebie odpowiedzialności.

Tak jak robi teraz z Brianem, pomyślała. Jeśli jest w nim zakochana, to odpowiada za własne uczucia. I od niej zależy, czy spróbuje wzbudzić w nim podobne.

Jeśli jej się nie uda... Nie, nie bierze takiej ewentualności pod uwagę. Kto zakłada niepowodzenie, nie osiągnie sukcesu.

Weszła do boksu wałacha, powiesiła torbę z sianem i odmierzyła porcję paszy.

- Dziś jest znacznie lepiej, prawda? - Delikatnie dotknęła opuchniętego kolana konia. Uśmiechnęła się do siebie, słysząc odgłos kroków na betonowej posadzce.

- Karmisz go? - Brian wszedł do boksu. - Nie mogłem wyrwać się wcześniej.

- Nie szkodzi. Połknął lekarstwo bez mrugnięcia okiem. Masz na to moje słowo, zadziało. - Wyprostowała się i uśmiechnęła. - Po tym, jak je, od razu widać, że czuje się lepiej.

- Wie, że mu się trafiło. - Brian obejrzał kontuzję i skinął głową. - Zeszło mi trochę, ponieważ mamy ogiera z żoźzami.

- Delikatne stworzenia, prawda? - Powiodła dłonią po kłębie wałacha. - Zwodnicze. Takie duże, szybkie i silne. To wszystko świadczyłoby o ich odporności, tymczasem są bardzo delikatne.

- To prawda.

- Ja nie jestem delikatna, Brianie. Mam żelazną odporność.

Popatrzył na nią.

- Wiem, że jesteś silna, Keeley, ale skórę masz gładką jak płatki róż. - Przesunął czule palcem po jej policzku. - Moje dłonie są duże i szorstkie, powinienem o tym pamiętać. To wcale nie znaczy, że uważam cię za słabą istotę.

- W porządku.

Odwrócił się do konia.

- Nadałaś mu już imię?

- Właściwie tak. Gdy byłam małą dziewczynką, mieliśmy psa. Przygarnęła go moja mama, zwykłego przybłędę, który zakradał się do domu. Karmiła go, zdobyła jego zaufanie. I nim się tata spostrzegł, miał-wielkiego kundla. Wabił się Finnegan. - Przytuliła policzek do końskiego pyska. - Postanowiłam dać mu to imię. Nie podziękowałam ci jeszcze za to, że przybyłeś mi na ratunek wczoraj wieczorem.

- Nie przypominam sobie, że bym gdzieś „przybywał”. - Wargi mu drżały, gdy wypchnęła go z boksu.

- To kwestia sformułowania. Przytarłeś wczoraj nosa temu grubianinowi, ujmując się za mną. Byłam zdenerwowana, martwiłam się o wałacha i nie pomyślałam wtedy o podziękowaniach.

- Cóż, miło mi.

- Nie skończyłam ci dziękować. - Przygryzła lekko dolną wargę i usłyszała, jak wciąga gwałtownie powietrze.

- Jeśli to właśnie masz na myśli, możesz skończyć dziękować mi w mojej sypialni.

- Dlaczego nie zademonstrujesz mi, co mam na myśli? Właśnie tutaj.

Rozpięła mu koszulę, zanim zdążył się zorientować, że znaleźli się w pustej- przegrodzie, świeżo wymoszczonej sianem.

- Tutaj? - Roześmiał się, ujmując ją za obie dłonie i wyciągając z boksu. - Chyba nie.

- Tutaj. - Skontrowała jego ruch, przyciskając go do ściany. - Właśnie tutaj.

- Nie bądź śmieszna. - Brakowało mu tchu. - Ktoś może wejść.

- Żyj niebezpiecznie. - Zatrzęsnęła za nimi drzwi boksu.

- Tak żyję, odkąd zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Czuła, jak mocno bije jej serce.

- Czemu masz teraz przestać? Uwiedz mnie, Brianie. Rzucam ci wyzwanie.

- Zawsze trudno mi było oprzeć się wyzwaniu. - Zerwał wstążkę z jej włosów. - Całkiem mnie zawojowałaś, Keeley. Nie potrafię ci się oprzeć.

Pocałował ją czułe i delikatnie, a ona z pasją oddała pocałunek. Prosiła, by ją uwiódł, choć nie trzeba jej było wcale uwodzić.

- Pragnę cię, Brianie. Obudziłam się, pragnąc ciebie. Pocałuj mnie mocniej.

- Tym razem nie chcę być delikatny. - Odwrócił się tak, że to Keeley opierała się plecami o ścianę. Zatopił spojrzenie pociemniałych nagle oczu w jej oczach. - Nie chcę być delikatny właśnie tym razem.

- To nie bądź - odpowiedziała, czując jego uniesie-

nie. - Nie jestem taka mimozowata jak twoje konie. Nie daj się nabrać, Brianie.

- Przestraszę cię. - Nie mógłby powiedzieć tego, gdyby to była groźba lub ostrzeżenie, ale ona jeszcze raz rzuciła mu wyzwanie.

- Spróbuj.

Szarpnął jej bluzkę, aż guziki rozprysnęły się na wszystkie strony. Patrzył, jak otwiera szeroko oczy, nawet gdy zmiażdżył jej wargi pocałunkiem, tłumiąc jej okrzyk. Spodziewał się, że zaprotestuje, będzie walczyć, ona jednak tylko jęknęła cichutko, przylegając do niego jeszcze mocniej.

Gdy nogi całkiem odmówiły jej posłuszeństwa, osunął się z nią na stertę siana.

Zduszone okrzyki Keeley spłoszyły konie, które kręciły się niespokojnie w boksach. Gdy doprowadził ją na szczyt rozkoszy, kiedy zabrakło jej tchu, wczepiła palce w jego włosy, jak gdyby chciała znaleźć punkt zaczepienia. Albo pociągnąć go za sobą.

Przedtem okazał jej czułość, teraz był niemal brutalny.

A ona się poddawała. Czuł to mimo szalonej namiętności, która w nim narastała. Ciała były śliskie od potu, a ona wiała się pod nim, przyjmując go. Oddając się.

Jego oczy były błękitne nawet w ciemności. Szeptala jego imię.

Wydała głośny okrzyk, gdy jej świat roztrzaskał się na kawałki. Nie miała punktu oparcia, czegoś, czego mogłaby się uchwycić, on zaś nie ustępował, nacierał z dziką pasją.

- To ja cię mam. - Pragnąc jak najprędzej się z nią

połączyć, chwycił ją za biodra i podciągnął do góry. - To ja jestem w tobie. - I wszedł w nią tak zapamiętale, jak gdyby zależało od tego jego życie.

- To ja - wymówiła, niemal łkając - to ja cię mam.

ROZDZIAŁ 10

Z punktu widzenia Keeley sytuacja była bliska ideału. Zakochała się w mężczyźnie, który jej odpowiadał. Łączyły ich wspólne zainteresowania, lubili swoje towarzystwo, szanowali wzajemnie swoje opinie.

Oczywiście, miał swoje wady. Bywał humorzasty, a jego pewność siebie często graniczyła z arogancją. Jednak dzięki tym cechom stał się tym, kim jest.

Widziała problem jedynie w tym, jak sprawić, by romans przerodził się w związek, a związek w małżeństwo. Została tak wychowana, że wierzyła w stałość, w rodzinę, w przysięgi, jakie ludzie składają sobie na całe życie.

Naprawdę nie miała wyboru, musiała poślubić Briana i ułożyć sobie z nim życie. I zaczynała rozumieć, że on też nie ma wyboru.

Przypuszczała, że przypomina to trochę trenowanie konia. Wiele powtórek, nagrody, cierpliwość i uczucie. Oraz silna ręka.

Pomyślała, że najrozsądniej byłoby zaręczyć się podczas świąt Bożego Narodzenia i urządzić ślub w lecie przyszłego roku. Z pewnością najwygodniej dla nich byłoby założyć dom w pobliżu Royal Meadows, ponieważ oboje tu pracowali. Nie może być nic prostszego.

Musi tylko skłonić Briana, żeby wyciągnął podobne wnioski.

Wiedząc, jakim jest typem mężczyzny, przypuszczała, że to on zechce uczynić pierwszy ruch. Było to trochę irytujące, ale kochała go na tyle, by poczekać, aż się zdeklaruje. Przypuszczała, że nie będą to tradycyjne oświadczenia.

Nie mogła się wprost doczekać.

Zatrzymała się, by sprawdzić nogę wałacha, czy nie spuchła lub nie jest gorąca. Delikatnie uniosła ją i zgięła w kolanie. Gdy nie zareagował odruchem bólu, przytuliła się na chwilę policzkiem do jego szyi.

- Widzisz - powiedziała, gdy owiał ją ciepłym oddechem - czujesz się teraz całkiem dobrze, prawda? Myślę, że jesteś już gotów, żeby trochę poćwiczyć.

Siodłając Finnegana, zauważyła, że jego sierść ma znowu zdrowy wygląd. Czas i troskliwa opieka zrobiły swoje. Być może nigdy nie będzie piękny i z pewnością nie jest czempionem, ale ma przemiły charakter i wykazuje dobre chęci.

To całkowicie wystarczy.

Gdy wskoczyła na siodło, Finnegan potrząsnął głową, po czym na jej znak zaczął z godnością okrążyć stępa padok.

Przez pewien czas jechała ostrożnie, dostrajając się do niego, czuwając, by nie nadwerężył wyleczonej nogi. Gdy wpadł w równy, spokojny rytm, ucieszyło ją to tak bardzo, że po paru chwilach odprężyła się na tyle, by rozkoszować się samą jazdą.

Tegoroczna jesień wykorzystwała bogatą i zróżnicowaną

paletę barw, by pomalować drzewa w odcieniach złota, czerwieni i pomarańczy. Chwiały się na tle błękitu nieba i płonęły w silnym blasku słońca.

Pola zachowały soczystą zieleń lata. Żrebaki brykały na pastwiskach, pędziły na długich nogach w pogoni za swoimi własnymi cieniami. Zrebnie klacze z pękatymi brzuchami pasły się leniwie.

Na brązowym torze ogiery i klacze ściagały się, wzbijając kurz, w powietrzu niósł się stukot ich kopyt.

Ten obraz, pomyślała Keeley, jest związany z całym moim życiem. Obrazy powracają, powtarzają się rok po roku. Tkwi w nich piękno i siła oraz przeświadczenie, że nic się tu nie zmienia.

To może przekazać - i przekaze - swoim dzieciom, gdy przyjdzie na to czas. Tę pewność, a także obowiązki, radości i trud.

Siedząc na grzbiecie zdrowiejącego wałacha, czuła, jak ogarniają wzruszenie. To nie było zwykłe miejsce, to było gniazdo. Troskliwie pielęgnowane przez jej rodziców.

Gdy ujrzała Briana, opartego o płot, zapatrzonego w konie, biegnące po ostatniej prostej, zabrakło jej tchu.

Przez chwilę tylko mrugała, oszołomiona nagłym, bolesnym uciskiem w piersi. Skóra ją mrowiła, ciało przeszywały nerwowe dreszcze.

Koń się pod nią spłoszył, wyczuwając jej zdenerwowanie, i zaczął tańczyć, dopóki nie przyszło jej na myśl, by go okiełznać.

Ręce jej drżały.

Nie, coś jest nie tak. To po prostu nie do przyjęcia. Skąd to się bierze? Przecież zaakceptowała fakt, że go kocha.

Zdecydowała się, postawiła sobie cele. Do licha, podobało jej się to wszystko.

Skąd więc bierze się to bolesne uczucie, które powoduje dreszcze i zawrót głowy, ten strach, który sprawia, że ma ochotę zawrócić wierzchowca i odjechać tam, gdzie pieprz rośnie.

Myliłam się, uświadomiła sobie Keeley, przyciskając niepewną dłoń do bijącego w szaleńczym rytmie serca. Dopiero teraz odczuwam miłość. Jakże głupio pozwoliła usnąć swoją czujność, ponieważ sprawy potoczyły się tak gładko.

Zabrakło jej tchu, było to takie samo uczucie jak wtedy, gdy koń wysadza cię z siodła i fruniesz w powietrzu, dopóki nie uderzysz z impetem o ziemię.

Keeley uświadomiła sobie, że odczuwanie miłości jest prawdziwym wstrząsem dla organizmu. Dziwne, że kogośkolwiek to przeżywa.

Jestem Grantówną, powiedziała sobie, prostując się w siodle. Potrafię przeżyć upadek, pozbierać się i skoncentrować na celu. Nie tylko przetrwam, ale przeprowadzę sprawę do końca.

Próbowała opanować się w taki sam sposób jak przed zawodami. Oddychała powoli, równo, aż wreszcie jej puls zaczął bić miarowo i zniknęła gonitwa myśli. Potem ruszyła, by stawić czoło wyzwaniu.

Brian odwrócił się, gdy usłyszał, że nadjeżdża. Rozdrażnienie, że ktoś mu przeszkadza, które odmalowało się przez moment na jego twarzy, zniknęło natychmiast, gdy zobaczył Finnegana. Oddał notes pomocnikowi, udzielił mu kilku wskazówek i podszedł do wałacha.

- No, widzę, że jesteś w świetnej formie, prawda? - Pochylił się, by obejrzeć chorą nogę. - Nie jest gorąca. Wspaniale. Ile czasu jesteś z nim na dworze?

- Około piętnastu minut. Jeździliśmy stępa.

- Prawdopodobnie może już galopować. Wygląda dobrze, jak gdyby nigdy nic mu nie dolegało. - Brian wyprostował się, mrużąc oczy od słońca, gdy spojrział na Keeley. - A ty? Jak się czujesz? Jesteś trochę blada.

- Doprawdy? - Nic dziwnego, pomyślała, ale uśmiechnęła się, ponieważ sprawiało jej przyjemność, że ma swoją tajemnicę. - Nic mi nie dolega. Ale ty... Ty wyglądasz wspaniale.

Zamrugnął powiekami i cofnął się, trochę zaniepokojony, gdy pogłaskała go po policzku. W pobliżu kręci się z pół tuzina facetów, a każdy z nich jest ciekaw, co panna Keeley ma do powiedzenia jednemu z pracowników.

- Wezwano mnie dziś wczesnym rankiem do stajni i nie zdążyłem się ogolić.

Postanowiła potraktować jego unik raczej jako wyzwanie niż zniewagę.

- Nic nie szkodzi. Wyglądasz dość niebezpiecznie. Jeśli znajdziesz później czas, mógłbyś mi pomóc.

- W czym?

- Wybrać się ze mną na przejażdżkę.

- Chętnie.

- To świetnie. Około piątej? - Pochyliła się i tym razem chwyciła go za koszulę, zmuszając, by podszedł bliżej. - Ach, i Brianie, nie gol się.

Ta kobieta wytrącała go z równowagi i nic nie mógł na to poradzić. Jej gorące spojrzenia i intymne gesty powodowały, że potem przez cały dzień przechodziły go ciarki.

Co gorsza, mężczyzna, który płacił mu za całodzienną pracę, a nie za objanie się i poddawanie się emocjom, jest jej ojcem.

Brian pomyślał, że sam jest winien tej sytuacji. Skąd jednak mógł wiedzieć na początku, że tak się zaangażuje? Mały, nieszkodliwy flirt, krótki romans, proszę bardzo. Prawdą jest, że lubi ryzyko. Do pewnej granicy.

Dawno już tę granicę przekroczył. Był oczarowany Keeley, a jednocześnie ogromnie polubił jej rodzinę. Travis to nie tylko znakomity szef, to uczciwy człowiek, nastawiony coraz bardziej przyjacielsko.

A on znajdował sposoby, by kochać się z córką przyjaciela tak często, jak to tylko możliwe.

Najgorsze ze wszystkiego, przyznał, idąc w kierunku stajni, że od czasu do czasu łapie się na tym, że fantazjuje na temat przyszłości, zastanawia się, jak ułożyłoby się między nim a Keeley, gdyby sprawy miały się inaczej, gdyby oboje byli, nazwijmy to, równi sobie. Pomyślał, że - oczywiście, gdyby chciał założyć rodzinę - właśnie z nią by się ożenił.

On jednak nie miał zamiaru zapuszczać korzeni w jednym miejscu, a nawet gdyby brał to pod uwagę, ten pomysł i tak by nie wypalił.

Miejsce Keeley było w klubie sportowym, a jego w stajni.

Rozumiał ją. Sam, gdy był jeszcze chłopcem, buntował się przeciwko ograniczeniom, jakie stwarzało jego wycho-

wanie, wymykając się w drodze ze szkoły do stajni. Nic nie mogło go powstrzymać - ani awantury, ani groźby, ani kary.

Kiedy tylko było to możliwe, opuścił dom, jeżdżąc od stajni do stajni, od toru do toru. Nigdy nie oglądał się za siebie. Bracia i siostry pozakładali rodziny, wychowywali dzieci, uprawiali ogródki, mieli stałą pracę. On zaś nie miał niczego, co nie zmieściłoby się do worka podróżnego albo czego nie mógłby się pozbyć, ruszając w dalszą drogę.

Gdy coś jest twoją własnością, musisz się o to troszczyć. Nim się spostrzeżesz, masz coraz więcej i po krótkim czasie jesteś uziemiony.

Obrzucił spojrzeniem ładny kamienny dom, w którym mieszkał, podziwiając jego sylwetkę rysującą się na tle wieczornego nieba. Rdzawe, czerwone i złociste kwiaty rosły wzdłuż fundamentu, nieopodal stała zaparkowana ciężarówka, którą kupił od Paddy'ego.

Przystanął i, tak jak Keeley rano, rozejrzał się dookoła. Pomyślał, że jest to miejsce, które mogłoby zatrzymać mężczyznę, gdyby zapomniał o ostrożności.

Rozsądnie jest pamiętać, że ta posiadłość nie należy do niego, konie też nie są jego własnością. Ani Keeley jego kobietą.

Gdy jednak szedł w stronę padoku, znów pozwolił sobie na marzenia. W długich cieniach i łagodnym świetle wieczoru zobaczył Keeley siodlającą dużego siwka, któremu nadała imię Pieszczoch. Włosy spięta w niedbały węzeł. Miała na sobie džinsy i seledynowy sweter.

Wydawała się taka... dostępna. Jak kobieta, z którą mężczyzna chciałby spędzić czas po długim dniu pracy.

Nie zabrakłoby im tematów do rozmowy przy kolacji, w intymnym zaciszu łóżka. Kochaliby się, żartowali...

Po nocy z taką kobietą mężczyzna budzi się rano, nie czując się schwytany w pułapkę ani nie martwiąc się o to, że ona tak się czuje.

- Patrzcie, patrzcie. - Brian podszedł do płotu. - Uwi-
nęłaś się już ze wszystkim.

- To mój dobry dzień. - Keeley sprawdziła popręg i cofnęła się. Znała już długość strzemion, jego ulubioną uzdę i wędzidło. - Nie miałam pojęcia, że zyskam tyle czasu, korzystając regularnie z pomocy mamy.

- Jak zamierzasz to wykorzystać?

- Będę się tym cieszyć. - Gdy otworzył bramę, wypro-
wadziła przez nią konie. - Przez ostatnie dwa lata byłam tak skoncentrowana na pracy, że często nawet nie mogłam ocenić jej rezultatów. - Oddała mu wodze. - A lubię je widzieć.

- Może wobec tego poświęcisz trochę czasu, by zajrzeć na tor. - Wskoczył na siodło w chwilę po niej. - Mnie też chodzi o rezultaty. Jutro wystawiam Betty w wyścigu najmłodszych koni.

- Jej pierwszy wyścig? Nie chciałabym za nic go prze-
gapić.

- Charles Town. Druga po południu.

- Poproszę mamę, żeby poprowadziła za mnie popołu-
dniowe lekcje. Na pewno się stawię.

Jadąc stępa, skierowali się ku wzgórzom, porośniętym drzewami, które lśniły różnymi kolorami w ukośnych promieniach słońca. Nad nimi przeleciało z krzykiem stado dzikich gęsi.

- Dwa razy dziennie - powiedział Brian, odprowadzając je wzrokiem. - Odlatują zawsze o świcie i o zmierzchu.

- Zawsze lubiłam je obserwować. Ich widok jest nierozdzielnie związany z tym miejscem. - Nie odrywała oczu od nieba, dopóki nie ucichł ostatni krzyk. - Dzwonił dzisiaj wujek Paddy.

- I jak mu się wiedzie?

- Znakomicie. Kupił dwie młode klacze. Postanowił zająć się hodowlą.

- Nie wyobrażałem sobie nawet przez chwilę - rzekł Brian - że ktoś, kto zawsze był koniarzem, mógłby przestać interesować się końmi.

- Tobie by też ich brakowało, prawda? Czy myślałeś kiedykolwiek, żeby założyć własną stadninę?

- Nie, to nie dla mnie. Jestem szczęśliwy, trenując konie innych. Gdy jest się właścicielem, to już interes, prawda? Przedsięwzięcie. Nie pragnę być biznesmenem.

- Niektórzy tworzą stadniny dlatego, że kochają konie - zauważyła Keeley. - Prowadzenie interesów nie musi przesłaniać uczuć.

- To rzadko się zdarza. - Brian rozejrzał się po budynkach gospodarczych. - Twój ojciec potrafił połączyć jedno z drugim. Poza nim poznałem tylko jednego hodowcę, któremu to się również udało. Chęć posiadania może wejść w krew. Zanim się zorientujesz, zaczną się liczyć tylko stan konta i pragnienie zysku. To stanowi dla mnie przeszkodę.

Keeley słuchała z rosnącym zainteresowaniem.

- Zarabianie na życie jest dla ciebie równoznaczne z uwiązaniem?

- Pułapką jest potrzeba robienia coraz większych pieniędzy. Mój ojciec dał się w nią schwytać.

- Naprawdę? - Tak rzadko wspominał o swojej rodzinie. - Czym się zajmuje?

- Jest urzędnikiem bankowym. Siedzi codziennie w małej klatce, licząc pieniądze innych ludzi. Co za życie!

- Cóż, to nie życie dla ciebie.

- Bogu dzięki. Te oba chłopaki chciałyby trochę pobiegać - powiedział, zmuszając Pieszczocha do galopu.

Keeley ponagliła swego wierzchowca, by zrównać się z Brianem. Obiecała sobie, że wróca do tego tematu. Wciąż wiedziała za mało o mężczyźnie, którego zamierzała poślubić.

Jeździli przez godzinę, zanim odprowadzili konie do stajni. Brian miał nadzieję, że znów zaproponuje mu wspólną kolację, ona jednak spytała, unosząc brwi:

- Nie zaprosiłbyś mnie na drinka?

- Na drinka? Nie mam ci wiele do zaproponowania, ale zapraszam.

- Miło jest wychodzić gdzieś od czasu do czasu. - Zanim zdążył schować bezpiecznie rękę do kieszeni, ujęła ją i spłótła palce z jego palcami. - Przecież miewasz niekiedy czas dla siebie - dodała śmiało. - Ciekawe, czy wiesz, co to randka.

- Mam pewne doświadczenie. - Popatrzył na ciężarówkę, gdy skręcili w stronę jego kwatery. - Jeśli masz ochotę się przejechać, wskakuj do kabiny, ale najpierw muszę ją posprzątać.

- To nie było najbardziej romantyczne z zaproszeń - zauważyła Keeley z przekąsem.

- Używane ciężarówki nie są specjalnie romantyczne, a ja zapomniałem, gdzie zaparkowałem powóz.

- Jeśli znowu robisz głupie przytyki na temat księżniczki... - Urwała, zaciskając zęby. Bądź cierpliwa, przypomniawszy sobie. Nie zamierzała psuć nastroju kłótnią. - Nieważne. Zapomnijmy o przejażdżce - otworzyła drzwi - i przejdźmy od razu do kolacji.

Gdy tylko wszedł do środka, uderzył go w nozdrza smakowity zapach. Aromatyczny i ostry, przypomniawszy mu, że jest bardzo głodny.

- Co to jest?

- O czym mówisz? - spytała, po czym uśmiechnęła się szeroko, wciągając powietrze. - Ach, to. Chili, jedna z moich specjalności. Nastawiłam na małym ogniu przed ostatnimi zajęciami.

- Ugotowałeś kolację?

- Uhm. - Rozbawiona i ogromnie zadowolona, że wprowadziła go w zdumienie, weszła do kuchni. - Nie sądziłam, żebyś miał coś przeciwko temu, i wiedziałam, że oboje będziemy bardzo głodni. - Podniosła pokrywkę rondla i potrząsnęła nim krótko, wypuszczając obłoczek pachnącej wspaniale pary. - To potrawa, którą można po prostu zostawić na palniku i zjeść, gdy jest już gotowa, dlatego tak ją lubię. Och, i przyniosłam butelkę merlota, chociaż piwo też pasuje do chili, jeśli wolisz.

- Próbuję przypomnieć sobie, kiedy ostatnio ktoś dla mnie gotował - poza twoją mamą i kimś, kto był ze mną spokrewniony.

Jeszcze bardziej zadowolona, odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Czy żadna z twoich wielu kobiet cię nie karmiła?
- Może od czasu do czasu, ale musiało to być tak dawno, że nie pamiętam. - Przyciągnął ją do siebie. - I z pewnością nie pamiętam niczego, co by tak smakowicie pachniało.
- Kobiety czy potrawy?
- I jednego, i drugiego. - Pochylił się i pocałował ją czule. - Wszystko to przypomina mi, że umieram z głodu.
- Od czego zaczniemy? - Chwyliła lekko zębami jego dolną wargę. - Ode mnie czy od jedzenia?
- Od ciebie.
- To świetnie się składa, ponieważ ja też chcę zacząć od ciebie. - Cofnęła się. - Może trochę się odświeżymy. Chętnie skorzystam z prysznicu. - Śmiejąc się, wyciągnęła go z kuchni.

Pomyślała również o ubraniu na zmianę. Brian przyglądał się, jak Keeley wkłada czyste dżinsy. Włosy wciąż jeszcze miała mokre po wspólnym prysznicu, skórę zaróżowioną, a w niektórych miejscach lekko obtartą, ponieważ się ogolił.

Namiętna miłość pod gorącym prysznicem nie była czymś tak intymnym i osobistym, stwarzającym poczucie bliskości, jak fakt, że położyła swój czysty, starannie złożony sweterek w nogach jego łóżka.

Keeley sięgnęła po niego, po czym obejrzała się, przytupując Briana na tym, że się w nią wpatruje.

- O co chodzi?

Brian pokręcił głową. Nie potrafił wyjaśnić tego uczu-

cia paniki i zarazem błogości, które ogarnęło go, gdy patrzył, jak Keeley się ubiera.

- Obtarłem ci skórę. - Wyciągnął rękę i przesunął czubkami palców po jej obojczyku. - Powinienem być się ogolić. Masz takie delikatne ciało - wyszeptał, muskając teraz jej ramię. - Nie wiem, jak uda mi się o tym zapomnieć.

Gdy zadrżała, powiedział:

- Zmarzłaś. Włóż prędko sweter. Mam trochę maści, posmaruję cię.

Wyjął z szuflady tubkę i ponieważ Keeley nie włożyła jeszcze swetra, wycisnął odrobinę maści na palce i delikatnie nałożył na podrażnioną skórę. Keeley poznała zapach.

- To maść dła koni.

- I co z tego?

Roześmiała się, pozwalając, by się nią zajął.

- Czy to czyni ze mnie twoją klacz?

- Nie, na to jesteś zbyt młoda i zbyt delikatnej kości. Jesteś wciąż źrebicą.

- Czy zamierzasz mnie trenować, Donnelly?

- Och, jest pani poza moją ligą, panno Grant. - Spojrzał jej w twarz i zmarszczył brwi, widząc, że uśmiecha się szeroko. - Czy mogę wiedzieć, co tak cię bawi?

- To jest silniejsze od ciebie, prawda? Musisz dogłądać.

- Zostawiłem na tobie moje ślady - powiedział cicho, wcierając maść - wobec tego powinienem się nimi zająć.

Uniosła dłoń i zaczęła bawić się jego wilgotnymi włosami.

- Lubię, jak się mną zajmuje twarogłowy mężczyzna o miękkim sercu.

Brian, nie odrywając spojrzenia od jej oczu, zaczął rozprowadzać maść opuszką palca po łagodnej wypukłości piersi.

- Wydajesz się nie mieć żadnych skrupułów, gdy tak stoisz tutaj, półnaga, i pozwalasz mi na to.

- Czy mam się czerwienić i drżeć ze zdenerwowania?

- Nie należysz do tego rodzaju kobiet i to mi się w tobie podoba. - Zadowolony, zakręcił tubkę, po czym sam włożył jej sweter przez głowę. - Nie mogę jednak pozwolić, żeby tak śliczne stworzenie złapało katar. Proszę bardzo. - Wyjął jej włosy spod swetra.

- Nie masz suszarki?

- Nie, ale jest tu ciepło.

Roześmiała się i przeczesła palcami wilgotne loki.

- Chodź, napijemy się wina, a ja dokończę szykować kolację.

Nie znał się specjalnie na winach, ale już pierwszy łyk powiedział mu, że jest o kilka kategorii lepsze od tego, które można by podać do tak skromnej potrawy jak chili.

Keeley czuła się chyba w jego kuchni swobodniej niż on sam. Bez trudu znajdowała wszystko w szufladach, których on nawet jeszcze nie zdążył utworzyć. Gdy zaczęła doprawiać sałatę, odstawił kieliszek.

- Wrócę za chwilę.

- I ani sekundy później! - zawołała za nim. - Chleb jest już prawie gorący.

W odpowiedzi usłyszała trzaśnięcie drzwi. Wzruszyła ramionami i zapaliła świece, które ustawiła na małym kuchennym stole. Przytulnie, pomyślała.

Był to rodzaj prostego posiłku, jaki dwoje ludzi może

przygotować razem po pracy, w miłej atmosferze. Zamierzała dopilnować, żeby zdarzało się to częściej, aż Brian zrozumie, że tak właśnie mogłoby, a nawet powinno być.

Zadowolona, podniosła kieliszek z winem i sama wzniosła toast:

- Za dobre starty - powiedziała cicho i wypła.

Słyszając, że drzwi się otwierają, wyjęła chleb z piekarnika.

- Siadajmy do kolacji, umieram z głodu.

Odwróciła się, by postawić koszyk z chlebem na stole, i zobaczyła Briana z naręczem chryzantem i cynii.

- Aż się prosiło, żeby je tu postawić - powiedział.

Keeley popatrzyła na barwne jesienne kwiaty, potem na twarz mężczyzny.

- Zerwałeś dla mnie kwiaty.

- Przygotowałeś dla mnie kolację z winem, świecami i tak dalej. Poza tym to są twoje kwiaty.

- Nie, nie moje. - Czując, jak zalewa ją fala miłości, postawiła koszyk na stole i czekała. - Dopóki mi ich nie ofiarujesz.

- Nigdy nie zrozumiem, czemu kobiety są takie sentymentalne, jeśli idzie o bukiety. - Wyciągnął przed siebie rękę z kwiatami.

- Dziękuję. - Zamknęła oczy i ukryła w nich twarz. Chciała dokładnie zapamiętać ich zapach i kształt. Opuściwszy je, nadstawiła mu usta do pocałunku i potarła policzkiem o jego policzek.

Zamknął ją w ramionach tak nagle, tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Brianie, co się stało?

Ten gest, tak prosty i uroczy, zwykle potarcie policzkiem o policzek, sprawił, że ogarnęło go nagłe wzruszenie.

- Nic, nic. Po prostu lubię czuć twoje ciało przy swoim.

- Jeśli ściśniesz mnie jeszcze trochę mocniej, to się uduszę.

- Przepraszam. Kiedy jestem głodny, zapominam, ile mam w sobie siły.

- Wobec tego siadaj i zacznijmy jeść. Wstawię kwiaty do wody.

- Ja... - Musiał się odezwać i szukał gorączkowo tematu, przy którym nie będzie się jąkał albo nie powie czegoś, co wprowi w zakłopotanie ich oboje. - Zamierzałem powiedzieć ci wcześniej. Zajrzałem do akt Finnegana.

Świetnie, pomyślał, siadając i nakładając sałatę. To bezpieczny temat.

- Był zarejestrowany jako Wybryk Fantazji.

- Tak, wiedziałam o tym. - Keeley włożyła kwiaty do wazonu i postawiła je na stole, po czym przyłączyła się do Briana. - Finnegan chyba lepiej do niego pasuje.

- Jest twój i możesz go nazwać, jak ci się żywnie podoba. Zapisy w pierwszym roku jego ścigania się są nierównomierne. Ma całkiem niezły rodowód, ale nigdy nie wykorzystał w pełni swoich możliwości i właściciele sprzedali go, gdy miał trzy lata.

- Zamierzałam zajrzeć do jego dossier. Zaoszczędziłeś mi kłopotu. - Przełamała kromkę chleba na pół i podała mu. - Ma miły charakter i reaguje dobrze na człowieka, mimo że się nad nim znęcano.

- Rzecz w tym, że mając trzy lata, osiągał lepsze wyni-

ki. Wydaje mi się, że go zbyt eksplloatowano. Gdybym go trenował, postępowałbym zupełnie inaczej.

- Ty w ogóle wszystko robisz inaczej, Brianie.

- W każdym razie biegł w wyścigu, w którym stawiający ma prawo zakupu konia, i w ten sposób dostał się w łapy Tarmacka.

- Drań - powiedziała Keeley tak zimnym tonem, że Brian spojrzał na nią znad talerza.

- Nie będę się z tobą spierał. Uważam natomiast, że Finnegan będzie się marnował w twojej szkole. Został stworzony do biegania na torze, tam przynależy.

Keeley zmarszczyła ze zdziwieniem brwi. •

- Twoim zdaniem, powinien się ścigać?

- Powinnaś to rozważyć. Poważnie. To koń czystej krwi, Keeley. Był po prostu źle wykorzystany i źle prowadzony.

- Ale jeśli ma skłonność do łogawizny...

- Tego nie wiesz. To nie jest dziedziczne. Tym razem była to kontuzja, spowodowana przez człowieka. Możesz poprosić ojca, żeby mu się przyjrzał, jeśli masz wątpliwości, czy się nie myłę.

Zastanawiała się przez chwilę, sącząc wino.

- Nie o to chodzi, Brianie, mam zaufanie do twojej oceny. Oboje dobrze wiemy, że źle traktowany koń może stracić serce do walki. Nie chciałabym do nic/c zmuszać.

- Oczywiście, zależy to od ciebie.

- Pracowałbyś z nim?

- Dlaczego nie? Ale mogłabyś zajp '

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie potrafię szkolić koni wyścigowych. Gdybym zdecydowała się wypuścić go na tor, musi go trenować najlepszy.

- Czyli ja - rzekł Brian takim tonem, że Keeley się uśmiechnęła.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Jeśli twój ojciec pozwoli mi pracować z nim, to będę szczęśliwy, mogąc się tym zająć. Zaczniemy bardzo spokojnie i zobaczymy, jak będzie sobie radził. Tamtego ranka, gdy na nim jeździłaś, miał w oczach tęsknotę.

- Ja tego nie widziałam. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. - Cieszę się, że ty dostrzegłeś.

- Na tym polega moja praca.

- Masz taki dar - sprostowała. - Twoja rodzina musi być z ciebie dumna - powiedziała od niechcienia, zabierając się za jedzenie, po czym podniosła na niego wzrok, zdezorientowana, gdy wybuchnął śmiechem. - Co w tym takiego zabawnego?

- Duma nie mieści się raczej w ich ogólnej opinii o moim sposobie myślenia i funkcjonowania.

- Czemu?

- Ludzie nie potrafią być dumni z czegoś, czego nie rozumieją. Nie wszystkie rodziny, Keeley, są takie jak twoja.

- Przykro mi - powiedziała. Rzeczywiście zrobiło jej się przykro. Nie tylko z powodu braku więzi w jego rodzinie, ale też dlatego, że okazała się zbyt ciekawska.

- Nie o to chodzi. Jesteśmy w dobrych stosunkach.

Zamierzała dać spokój, zmienić temat, ale ją poniosło:

- Skoro nie są z ciebie dumni, to znaczy, że są głupi! -

Gdy znieruchomiał ze zdumioną miną, wzruszyła ramionami. - Przepraszam, ale takie jest moje zdanie.

Patrząc na nią, włożył porcję chili do ust. Zrozumiał, czemu się złości.

- Kochanie, miło, że tak mówisz, ale...

- Wcale nie. To było bardzo niegrzeczne, ale naprawdę tak uważam. - Chwyciła butelkę wina i nalała do pełna do obu kieliszków. - Masz prawdziwy talent i zapracowałeś na świetną opinię - albo z pewnością nie znalazłbyś się tutaj, w Royal Meadows. Jak można nie być z ciebie dumnym? - spytała z jeszcze większą pasją. - Twój ojciec powinien przecież to rozumieć.

- Dlaczego?

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Przecież to on zaznajomił cię z końmi.

- Z torem wyścigowym. Mojego ojca konie nie interesowały - powiedział Brian. Był tak zafascynowany jej reakcją, że nie zorientował się nawet, że właśnie zagłębili się w rozmowę o jego rodzinie. Do tej pory nigdy tego nie robił. - Podziwiał je, ale interesował go jedynie hazard. I prawdopodobnie nic się nie zmieniło. To i pociąganie z piersiówki przy cichej dezaprobachie mojej matki. Mówiłem ci, Keeley, że jest urzędnikiem bankowym.

- A co to zmienia?

Wszystko, pomyślał Brian, ale spróbował znaleźć jakieś bardziej zrozumiałe wyjaśnienie.

- Wiele lat temu przestał wyglądać przez kraty swej małej klatki. Pobrali się z matką bardzo młodo, niecałe dziewięć miesięcy - rozumiesz? - przed przyjściem na świat mojej najstarszej siostry.

- To może być trudne, ale nadal...

- Nie, byli z tego zadowoleni. Założyli dom, wychowali dzieci. Mój ojciec nieźle zarabiał. Mimo że grał na wyścigach, nigdy nie chodziliśmy głodni - i rachunki wcześniej czy później były płacone. Moja matka dbała, by stół był ładnie nakryty, a nasze ubrania czyste. Wydaje mi się, że pod koniec każdego dnia oboje byli wykończeni, choćby tylko z powodu udawania.

Keeley przyszło na myśl powiedzenie jej matki. „Dziecko może umierać z głodu nad pełnym talerzem”. Rozumiała, że bez miłości, ciepła, okazywanej sobie serdeczności, dusza głoduje.

- Fakt, że poszedłeś własną drogą, nie powinien przeszkadzać im być szczęśliwymi z twojego powodu.

- Brat i siostry są urzędnikami, mają rodziny, dzieci. Ja jestem inny, odstaję od szablonu, dlatego mnie nie rozumieją. Gdy poznasz mnie lepiej, sama dojdiesz do wniosku, że coś jest ze mną nie tak. W przeciwnym razie coś jest nie tak z tobą.

- Uciekłeś - wyszeptwała.

Nie bardzo spodobało mu się to określenie, ale skinął twierdząco głową.

- I to tak szybko, jak tylko zdołałem. Po co oglądać się za siebie?

Nadal się oglądasz, pomyślała Keeley. Oglądasz się, ponieważ w dalszym ciągu uciekasz.

ROZDZIAŁ 11

Keeley doszła do wniosku, że niektórym mężczyznom po prostu zajmuje więcej czasu uświadomienie sobie, że chcą pójść tam, gdzie się ich prowadzi. Nie mogła narzekać, ponieważ było cudownie. Weszło jej w zwyczaj, że raz w tygodniu jeździła na tor. Była to przyjemność, z której zrezygnowała, gdy zakładała swoją szkołę.

Nadal miała dziesiątki drobiazgów, których musiała dopilnować osobiście - spotkania, sprawozdania oraz kontynuacja indywidualnego toku nauki z każdym dzieckiem. Zaplanowała coś w rodzaju domu otwartego w czasie wakacji, gdzie wszyscy rodzice, dziadkowie, przybrani rodzice mogli odwiedzać szkołę. Poznawać się, spotykać i, co najważniejsze, widzieć, jakie postępy robią dzieci.

Jednakże teraz, gdy szkoła szła pełną parą i Keeley rozszerzyła zajęcia do siedmiu dni w tygodniu, była bardzo szczęśliwa, że matka przejęła je od niej raz w tygodniu.

Zachwyciły ją postępy, jakie uczyniła Berty, przekonała się, że instynkt nie zawiódł Briana, jeśli idzie o klaczkę. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu Betty udawadniała, że ma w sobie instynkt walki i jest potencjalną czempionką.

Jeszcze większą radość odczuwała, widząc, jak Finnegan wraca do życia pod cierpliwą, pewną ręką Briana.

Ciepło opatulona - ponieważ poranek był bardzo chłodny - Keeley stała przy płocie toru ćwiczebnego i czekała na Briana, który dawał Larry'emu wskazówki co do biegu.

- Zachowuje się trochę nerwowo przy barierze startowej, ale potem jest w porządku. Musisz go lekko karcnąć. Lubi biec w grupie, toteż powinieneś się jej trzymać, dopóki nie wyjdziecie z drugiego okrążenia. Dasz mu wtedy do zrozumienia, że żądasz od niego więcej. Da ci to. Nie lubi biegać z przodu, brakuje mu towarzystwa.

- Dziękuję za wskazówki, panie Donnelly, i za to, że dał mi pan szansę.

- To panna Grant dała ci szansę. Jeśli wyczuję whisky w twoim oddechu przed jutrzejszym startem, kolejnej już nie dostaniesz.

- Nie wezmę do ust ani kropelki. Pobiegniemy dla pana, choćby po to, by pokazać temu draniowi Tarmackowi, jak traktuje pan konia czystej krwi.

- Świetnie. Przekonajmy się, jak pobiegnie.

Brian wrócił do płotu, przy którym stała Keeley, pijąc swój ulubiony napój.

- Nie wiem, czy najlepiej wybrałaś dżokeja, ale w każdym razie jest trzeźwy.

- Tym razem nie chodzi o zwycięstwo, Brianie.

Wziął od niej butelkę, upił łyk i skrzywił się. Nie potrafił zrozumieć, jak ta kobieta może pić od rana coś takiego.

- Zawsze chodzi o zwycięstwo.

- Odwaliłeś z nim wspaniałą kawalek roboty.

- Przekonamy się o tym dopiero jutro w Pimlico.
- Przestań - powiedziała, gdy przecisnął się przez dziurę w płocie. - Naucz się darzyć zaufaniem kogoś, kto na to zasługuje. Ten koń odzyskał godność. Oddałeś mu ją.
- Na miłość boską, Keeley, to twój koń. Ja tylko przypomniałem mu, że potrafi biegać.

Mylisz się, pomyślała. Zwróciłeś mu godność i w ten sposób uczyniłeś go swoją własnością.

Brian skoncentrował się już całkowicie na koniu. Wyjął z kieszeni stoper.

- Sprawdźmy, jak dobrze pamięta bieganie.

Mgły snuły się nad ziemią, srebrzysty szron lśnił na trawie, a słońce usiłowało przedrzeć się przez grubą warstwę chmur. Powietrze było spokojne, jeszcze się całkiem nie rozwidniło.

Bariera startowa podniosła się ze szczękiem i konie ruszyły.

Kopyta rozrywały unosząc się nad torem mgłą niczym cienką srebrną wstążkę. Lśniące od porannej wilgoci końskie ciała przemknęły obok nich, tworząc jedną niewyraźną plamę.

- Tak, właśnie tak - mruczał pod nosem Brian. - Trzymaj go pośrodku. Doskonale.

- Są piękne. Absolutnie wszystkie.

- Musisz narzucić mu tempo. - Brian przyglądał się, jak wychodzą z pierwszej prostej, gdy tymczasem zegar w jego głowie odmierzał czas. - Widzisz, dostosowuje tempo biegu do prowadzącego. To dla niego zabawa. Znajduje przyjemność w obcowaniu z kumplami, tak sobie myśli.

- Skąd wiesz, co myśli? - spytała ze śmiechem Keeley, czując, że serce zaczyna bić jej jak szalone.

- Powiedział mi. No, bądź gotów teraz. Teraz! Właśnie tak. Jest silny. Nigdy nie będzie piękny, ale jest silny. Spójrz, wysuwa się do przodu. - Brian położył dłoń na ramieniu Keeley. - Ma w sobie więcej serca niż rozumu i to ono popycha go naprzód.

Brian wyłączył stoper, gdy nadbiegł Finnegan o pół długości za prowadzącym.

- Doskonale. Tak, naprawdę doskonale. Myślę, że zajmie jutro miejsce w pierwszej trójce dla pani, panno Grant.

- Nieważne.

Nie tyle urażony, co szczerze zaskoczony, popatrzył na nią ze zdumieniem.

- To okropne, co mówisz.

- Wystarczającym szczęściem jest obserwowanie, jak biegnie. A jeszcze większą przyjemność sprawia mi, gdy patrzę na ciebie, jak mu się przyglądasz. - Wzruszona, położyła mu dłoń na piersi. - Pokochałeś tego konia.

- Kocham wszystkie konie, które trenuję.

- Tak, widziałam to i rozumiem, ponieważ tak samo jest ze mną. Jednak kochasz właśnie tego konia.

Zakłopotany tym, że usłyszał prawdę, Brian przeskoczył przez płot.

- To tylko praca.

Keeley uśmiechnęła się, gdy Brian podszedł, by pogłaskać czule Finnegana.

- Wspaniale. Moja córka i mój trener przygotowują do startu zawodnika.

Obejrzała się i wyciągnęła rękę do ojca, który szedł w jej stronę.

- Widziałeś, jak biegnie?

- Ostatnie kilka sekund. Dzięki tobie w krótkim czasie przebył długą drogę. - Travis pocałował ją w czubek głowy. - Jestem z ciebie dumny.

Keeley zamknęła oczy. Jak łatwo to powiedział, jak miło wiedzieć, że naprawdę tak myśli.

- Nauczyliście mnie troszczyć się o innych, ty i mama. Gdy ujrzałam tego konia, przejęłam się nim, ponieważ wy to we mnie zaszczepiliście. - Podniosła głowę i pocałowała ojca w policzek. - Dziękuję. Brian miał słuszość. Ten koń musi się ścigać. Jest do tego stworzony. Chciałam go uratować, ale Brian wiedział, że to nie wystarczy.

- Ale to ty wszystko poskładałaś do kupy.

- Masz rację. - Roześmiała się, ponieważ zaświtało jej rozwiązanie tak dziecinnie proste, że nie mogła zrozumieć, iż nie przyszło jej wcześniej do głowy. - Absolutną rację.

Keeley odwołała tego dnia zajęcia nie tylko z powodu powrotu Finnegana na tor. Betty miała wziąć udział w swoim pierwszym wyścigu. Przyjadą ją obejrzyć rodzice i Brandon.

Wybrała się na tor o świcie, żeby nie stracić przyjemności przyglądania się wczesnym treningom.

- Można by pomyśleć, że to derby - powiedział Brandon. - Jesteś podekscytowana.

- Nigdy dotąd nie miałam konia wyścigowego. Jestem absolutnie pewna, że to mój pierwszy i ostatni. Zamierzam

cieszyć się każdą chwilą tutaj, ale... To nie moja pasja. W przeciwieństwie do ciebie i taty. Nawet mamy.

- Ty skierowałaś całą swoją pasję na szkołę. Nigdy nie sądziłem, że zrezygnujesz z zawodów.

- Ani ja. Nie przypuszczałam, że znajdę coś tak bardzo satysfakcjonującego, stanowiącego dla mnie prawdziwe wyzwanie.

Przystanęli, patrząc na konie, które wracały z wczesnego treningu.

Para unosiła się z ich grzbietów, z kadzi z gorącą wodą, ustawionych przed stajniami. Zasnuwała powietrze, tłumiła dźwięki, zamazywała kolory.

Oprowadzano konie, żeby je ochłodzić", stajenni oraz inni pracownicy czekali tylko, by mogli przystąpić do swoich obowiązków. Ktoś grał smętną melodyjkę na ustnej harmonijce.

- To już twoja sprawa - powiedziała, gdy przyprowadzono Betty. - Ja jestem szczęśliwa, mogąc się tylko przyglądać.

- Tak? To co tutaj robisz tak wcześnie rano?

- Podtrzymuję tradycję rodzinną. Zamierzam wystąpić w charakterze stajennego Finnegana.

To było całkiem coś nowego dla Briana i wcale szczególnie go nie uradowało.

- Właściciele nie mogą być stajennymi. Zajmują miejsca na trybunie głównej albo w restauracji.

Keeley zakładała opaski na pęciny Finnegana.

- Od jak dawna pracujesz w Royal Meadows?

Mars na jego czole jeszcze się pogłębił.

- Od połowy sierpnia.

- To chyba dość, żeby zauważyć, że Grantowie nie usuwają się z drogi.

- To, że zauważyłem, nie oznacza, iż zaaprobowałem. - Przyglądał się, jak czesze zgrzebłem grzywę Finnegana, i nie mógł się do niczego przyczepić. - Obrządzanie konia przed szkołą czy konkursem hippicznym to nie to samo, co przed wyścigiem. Nie wypolerowałaś metalowych części.

Rzuciła okiem na siodło.

- Potrafię to zrobić.

Brian odwrócił się na pięcie. Musiał zająć się Betty. Miała wystartować za chwilę.

- Trzeba z nim rozmawiać.

- To zabawne, ale potrafię również z nim rozmawiać.

Brian zaklął pod nosem.

- Woli, jak się śpiewa...

- Słucham?

- Powiedziałem, że woli, jak się śpiewa.

- Ach, tak. Jakaś konkretną piosenkę? Poczekaj, niech zgadnę. „Finnegan's Wake”? - Oburzone spojrzenie Briana sprowokowało ją do śmiechu, aż wreszcie oparła się o bok wałacha. Koń odwrócił łeb i zaczął obwąchiwać jej kieszenie w poszukiwaniu jabłek.

- To szybka melodia - odparł chłodno Brian - a on lubi słyszeć swoje imię.

- Znam refren. - Keeley usiłowała stłumić kolejny atak śmiechu. - Nie jestem jednak pewna, czy wszystkie słowa. Składa się z kilku linijek.

- Zrób, co tylko w twojej mocy - rzekł cicho i odszedł. Kąciki ust powędrowały mu do góry, gdy usłyszał, że

zaczyna śpiewać piosenkę o dublińczyku, który sobie popijał.

Gdy dotarł do boksu Betty, pokręcił głową.

- Powinienem być wiedzieć. Jeśli nie ma Granta w jednym miejscu, to z pewnością człowiek natknie się na niego w drugim.

Travis poklepał Betty po łopatkach.

- Czy to Keeley tam śpiewa?

- Ma bzika na punkcie Finnegana.

- To u niej naturalne.

- Nigdy nie stało nam nad głową tyłu właścicieli, co, kochanie? - Brian ujął w dłonie pysk Betty, która potrząsnęła łbem i chwyciła go lekko wargami za włosy.

- Ten przeklęty koń kompletnie się w tobie zadurzył.

- Ona może być pańską lady, sir, ale jest moją prawdziwą miłością.

Głaskał ją i mówił coś do niej czule, przechodząc na stary irlandzki. Betty nadstawiła czujnie uszu i poruszyła się niespokojnie.

- Lubi być podniecona przed wyścigiem - powiedział do Trávisa. - Jak wy to nazywacie - „podkręcona”, jak amerykańscy futboliści. Jest to sport, którego żadnym sposobem nie potrafię pojąć. Przez większość czasu stoją w kółkach i gadają, zamiast wziąć się za piłkę.

- Słyszałem, że w poniedziałek wieczorem zgarnąłeś całą pulę - zauważył Travis.

- Zakłady to jedyna rzecz w waszym futbolu, którą rozumiem. - Brian ujął wodze Betty. - Przeprowadzę ją uche przed startem. Ona lubi paradować. Ty i twoja córka chcecie stać blisko miejsca dla zwycięzców.

Travis uśmiechnął się do niego szeroko.

- Będziemy się przyglądać.
- No, to idziemy się popisywać - rzekł Brian, wyprawdzając Betty.

Keeley skończyła czyścić metalowe części siodła, rozprostowała obolałe ramiona i stwierdziła, że zostało jej jeszcze dość czasu, by się czegoś napić, zanim palnie Finneganowi ostatnią podnoszącą na duchu mówkę.

Wyszła na dwór i zamrugała oślepiona blaskiem słońca. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się już do światła, zobaczyła Briana siedzącego przy drzwiach stajni na odwróconym dnem do góry wiadrze.

Poczuła nagły niepokój. Brian obejmował głowę rękami.

- Co ci jest? Co się stało? - Przypadła do niego. - Coś z Betty? - Oddychała szybko. - Myślałam, że Betty biegnie.

- Biegła. Zwyciężyła.

- Na miłość boską, Brianie, myślałam, że stało się coś złego.

Opuścił dłonie i ujrzała jego oczy, pociemniałe od emocji.

- O dwie i pół długości - powiedział. - Wygrała o dwie i pół długości i przysięgam, że nie wykorzystała nawet połowy swoich możliwości. Nic jej nie ruszy. Nic. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę pracował z takim koniem. Ona jest cudem.

Keeley przyklękała i położyła mu ręce na kolanach. Paśja, pomyślała. Rozmawiała o tym z Brandonem, ale teraz widziała ją na własne oczy.

- To ty ją stworzyłeś. - Zanim zdążył zaprotestować,

pokręciła głową. - Kiedyś mi powiedziałeś, że nie łamiesz koni, tylko je układasz.

- Nie mogę jeszcze dojść do siebie. Stawka była silna. Pomyślałem, że przyda jej się lekcja pokory. Czas dorosnąć, rozumiesz, co mam na myśli. Staw czoło prawdziwej rywalizacji.

Wciąż jeszcze zdumiony, przeczesał palcami włosy i roześmiał się.

- Cóż, nigdy nie nauczy się ani odrobiny pokory.

- Czemu nie jesteś teraz przy niej?

- To rola twoich rodziców. Są jej właścicielami.

- Sam musisz się jeszcze wiele nauczyć. - Wstała i otrzepała dżinsy na kolanach. - Cóż, niedługo będzie biegł Finnegan. Chyba pójdziesz go oglądać?

Brian odetchnął głęboko kilka razy, po czym wstał.

- Myślę, że przybiegnie dla ciebie w pierwszej trójce - zapewnił Keeley. - Stawiając na niego, nie stracisz.

- Zamierzam na niego postawić. - Gdy Brian wszedł do stajni, by sprawdzić opaski na nogach Finnegana, wyjęła jakieś dokumenty z kieszeni kurtki, którą odwiesiła.

- Wszystko w porządku. - Pstryknął palcami, widząc lśniące strzemiona. - Nieźle się napracowałaś.

- Miło mi, że zauważyłeś. Następnym razem ty to możesz zrobić. - Podała mu dokumenty.

- Co to jest?

- Dokumenty, dające ci połowę udziałów w Wybryku Fantazji, znanym również jako Finnegan.

- O czym ty mówisz?

- Tak czy owak był w połowie twój. To tylko zalegalizowało ten fakt.

Brian poczuł, że ręce ma mokre od potu.

- Nie bądź śmieszna. Nie mogę tego przyjąć.

Keeley spodziewała się, że Brian najpierw odmówi, ale nie przypuszczała, że będzie zły.

- Dlaczego? Pomogłeś przywrócić go do życia. Trenowałeś go.

- To tylko parę tygodni pracy i poświęcałem mój wolny czas. Odłóż to i przestań się wygłupiać.

Gdy chciał przejść obok niej, po prostu zastąpiła mu drogę.

- Po pierwsze, gdyby nie ty, nie ścigałby się dzisiaj. A po drugie, jesteś do niego równie przywiązany jak ja. Przypuszczam, że nawet bardziej. Jeśli idzie ci o pieniądze...

- Nie, nie o to chodzi. - W głębi duszy wiedział, że częściowo tak. Ponieważ to były jej pieniądze.

- Więc o co?

- Nie chcę być właścicielem.

- Szkoda, ponieważ już nim jesteś.

- Powiedziałem, że tego nie przyjmę.

- Będziemy kłócić się później.

- Nie ma o co się kłócić.

Wyszła z boksu, uśmiechając się słodko.

- Wiesz, Brianie, fakt, że potrafisz zmusić siedmiusetkilogramowego konia do tego, żeby robił, co zechcesz, nie oznacza, że ze mną ci się to uda. Zamierzam postawić na naszego konia i wygrać.

- On nie jest naszym... - Urwał i zaklął pod nosem, gdy Keeley wybiegła ze stajni. - I nie stawiasz, żeby wygrać - mruknął. - To nic osobistego - powiedział do Fin-

negana, który patrzył na niego smutnymi, łagodnymi oczyma. - Ja po prostu nie mogę niczego mieć. Nie dlatego, żebym nie żywił dla ciebie głębokich uczuć i szacunku. Co się stanie, jeśli za rok lub dwa wyruszę w drogę? A nawet gdybym nie wyruszył, nie mogę pozwolić, żeby kobieta podarowała mi konia. Nawet pół konia. Cóż, nie ma się czym przejmować. Wyjaśnimy to później.

Nie powinien się denerwować. To doprawdy żałosne. Przecież to tylko jeszcze jeden koń, jeszcze jeden wyścig. Nie jest wspaniałym darem tak jak Betty. To uwielbiający jabłka wałach o przemiłym charakterze, który przeżył zamknięcie i w swej krótkiej karierze przegrał znacznie więcej wyścigów, niż wygrał.

Brian, oczywiście, kochał go i chciał, żeby koń miał swoje pięć minut, ale nie łudził się, że może zostać czempionem.

Pokierował nim tylko, żeby robił to, do czego został stworzony.

Mimo to ze zdenerwowania rozboleł go żołądek.

- Tor jest suchy i twardy - powiedział do Larry'ego, gdy szli tylną prostą. - To dobrze dla niego. Lubi też biegać w tłumie. Błękitny Diabeł z numerem szóstym jest faworytem.

- Znam Błękitnego Diabła. - Larry skinął głową, żując gumę. - Potrafi prześlizgiwać się między innymi końmi jak wąż. Wychodzi na prowadzenie i narzuca szybkie tempo.

- Spodziewam się, że tak będzie właśnie dzisiaj. Musisz wyczuć nastrój Finnegana. Nie chcę, żebyś go zbyt

popędzał, ale nie wstrzymuj go po zakończeniu pierwszego okrążenia. Niech sprawdzi swoje nogi.

- Dopilnuję wszystkiego, panie Donnelly. O, idzie pan-na Grant. Wygląda świetnie, panno Grant. Dokonała pani cudu.

- Tak. - Keeley trochę zdyszana po biegu od okienka, w którym przyjmowano zakłady, pogłaskała czule Finnegan. - Dokonaliśmy cudu.

Gdy wywołano konie do biegu, odsunęła się.

- Powodzenia.

- Mów do niego. - Brian pomógł Larry'emu wskoczyć na siodło. - Nie zapomnij mówić do niego przez całe czas. Nie pozwól mu zapomnieć, po co tu jest.

- Wyglądają dobrze - stwierdziła Keeley. - Proszę.

- Co znowu?

- Postawiłam za ciebie.

- Ty... do licha!

- Zwrócisz mi z wygranej - powiedziała beztrąsko. - Podejdźmy lepiej do bariery. Nie chcę przegapić startu. Widziałeś moją rodzinę?

- Nie. Gdzieś się tu kręcą. Wszędzie was pełno. - Chwycił ją za rękę, gdy przepychała się przez tłum. Bał się, żeby jej nie zdeptano. - Nie rozumiem, czemu nie możesz pójść do baru, skąd mogłabyś przyglądać się wyścigowi w cywilizowanych warunkach.

- Snob.

- To nie kwestia... - Poddał się. - Chcę, żebyś podarła te dokumenty.

- Nie ma mowy. Spójrz, prowadzą je do bariery startowej.

- Nie przyjmę połowy udziałów twojego konia.
- Naszego konia. Kto ma numer trzy? Zapodziałam gdzieś mój program wyścigów.
- Kaprys, osiem do pięciu, lubi wychodzić z tyłu. Keeley, to miły gest, ale...
- Rozsądny. Dobra, zaraz start. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - To nasz pierwszy wyścig.

Rozległ się dźwięk dzwonu.

Konie wystrzeliły do przodu, dziesięć muskularnych ciał, a na ich grzbietach nisko pochyleni mężczyźni. W ciągu paru sekund zlały się w kolorową masę, z której sterczały tylko uniesione w biegu nogi. W powietrzu niósł się ogłuszający stukot kopyt.

Keeley poszukała na oślep dłoni Briana i ścisnęła ją mocno.

Brakowało jej tchu, całkowicie poddała się emocjom.

Nad suchym torem unosiły się kłęby kurzu, dżokeje zawiśli nad końskimi szyjami jak lalki, zbitya grupa zaczęła się rozrywać przy drugim okrążeniu.

- Trzyma się na czwartej pozycji! - wykrzyknęła Keeley. - Trzyma się na czwartej!

Faworyt przepychał się do przodu. Finnegan parł za nim, zmniejszając odległość, rywalizując o trzecie miejsce. Keeley słyszała ryk otaczającego ją tłumu, serce waliło jej w rytm stukotu kopyt.

- Dogania! - Zaczęła się śmiać, ściskając z całej siły rękę Briana. Odczuwała tak ogromną radość, jak gdyby to ona sama jechała nisko pochylona na grzbiecie Finnegana. - Dogania, przesuwa się na drugą pozycję! Spójrz tylko na niego!

Brian patrzył, a na jego twarzy rozlewał się coraz szerszy uśmiech.

- Miałem do niego zbyt mało zaufania. Zdecydowanie zbyt mało. Pokaże, co potrafi, na ostatniej prostej. Jeśli nadal to ma w sobie, ruszy pełną parą.

I ruszył, duży, nie obdarzony wielką urodą koń, z szansą wygranej dwadzieścia do jednego, którego dosiadał podupadły dżokej. Mknął jak pocisk, wzbijając tumany kurzu, dochodząc faworyta i biegnąc z nim łeb w łeb przy szaleńczych okrzykach tłumu.

Na sekundy przed linią mety wyprzedził go o nozdrza.

- Wygrał! - Keeley odwróciła się radośnie do Briana. Była ciekawa, czy zdumienie na jego twarzy jest lustrzanym odbiciem jej zaskoczenia. - Mój Boże, Brianie, on wygrał!

- Podwójny cud jednego dnia. - Brian roześmiał się. Jego śmiech był krótki, zduszony, po chwili jednak śmiał się już z całej duszy. W radosnym uniesieniu chwycił Keeley na ręce i zaczął wirować z nią w szaleńczym, zwycięskim tańcu.

- Nigdy bym się tego nie spodziewała. - Otoczyła ramionami jego szyję i pocałowała go. - Nigdy nie spodziewałabym się, że wygra.

- Postawiłaś na niego.

- Z miłości, a nie z rozsądku. Nie zakładałam, że wygra.

- Ale on to sobie założył. - Brian okręcił się jeszcze raz, zanim postawił ją na nogach. - I to się liczy.

- Musimy to uczcić, i to bardzo uroczyście.

O ile zwycięstwo Betty wstrząsnęło nim do głębi z po-

wodu uderzającego do głowy przeświadczenia, że tak być musi, zwycięstwo Finnegana było czystą, oszałamiającą rozkoszą. Porwał Keeley w objęcia jeszcze raz i puścił się z nią w szalony taniec, roztrącając tłum.

- Kupię ci butelkę szampana.

- Dwie - poprawiła go. - Po jednej dla każdego z nas. Musimy odebrać nagrodę.

- Ty musisz. Ja nigdy nie staję na miejscu dla zwycięzców.

Może zachowywać się jak uparty muł, pomyślała, ale jest mężczyzną.

- Nie musisz iść tam dla mnie ani nawet dla siebie - powiedziała. - Ale musisz to zrobić dla zwycięzcy. - Wyciągnęła rękę.

- Pójdę jako jego trener. To twój koń. Nie należy do mnie w najmniejszym procencie.

- W połowie - poprawiła go Keeley, próbując nadażyć za Brianem. - Ale możemy przedyskutować w której.

ROZDZIAŁ 12

Jasne, że się nim zajmę - powiedziała Keeley, pochylając się, żeby zdjąć opaskę z prawej przedniej nogi Finnegana.

- Powinnaś świętować zwycięstwo.

- To część świętowania. - Przesunęła badawczo dłońmi po nodze wałacha. - Finnegan i ja zamierzamy pogratulować sobie wzajemnie, gdy już go doprowadzę do porządku. Możesz wyświadczyć mi przysługę. - Wyjęła z kieszeni kupon zakładów. - Zainkasuj moją wygraną.

Brian pokręcił głową.

- W tej chwili jestem zbyt szczęśliwy, aby złościć się na ciebie, że postawiłaś moje pieniądze. - Pieszcząc jedną ręką konia, pochylił się i pocałował Keeley. - Jednak nie zgodzę się na twoją propozycję.

Keeley otoczyła ramieniem szyję Finnegana.

- Słyszysz? On cię nie chce.

- Nie mów mu takich rzeczy.

Przytuliła policzek do pyska wałacha.

- To ty ranisz jego uczucia.

Pod baczny spojrzeniem dwóch par oczu Brian wypuścił z sykiem powietrze.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

- On ciebie potrzebuje. Oboje cię potrzebujemy.

Poczuł ściskanie w żołądku.

- To nie fair.

- To fakt.

Najwyraźniej czuł się bardzo niezręcznie. Miała ochotę dać mu porządnego kuksańca. Nie był to jednak czas na kłótnie albo żądanie, by lepiej przyjrzał się kobiecie, która go kocha.

- Później o tym pogadamy. - Postanowiła, że muszą porozmawiać o wielu sprawach, i to jak najprędzej. - Na razie po prostu się cieszymy.

Zawahał się, a Keeley zajęła się znów nogą Finnegana.

- Przez ostatnie kilka miesięcy byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

- To nie musi się zmienić. - Sięgnęła po zgrzebło. - Stanowimy dobry zespół, Brianie. Możemy dużo razem działać.

Brian przesunął dłonią po szyi Finnegana.

- To był całkiem niezły początek. Czy nie uczciłaś ze mną tego zwycięstwa jakąś wytworną kolacją z winem?

Keeley zerknęła na niego z ukosa.

- Czyżbyś wreszcie zapraszał mnie na randkę?

- W tych okolicznościach wydaje się to właściwe. - Wskazał z uśmiechem na kupon zakładów. - Poza tym wyraźnie zdobyłem ekstra gotówkę.

- Wobec tego chętnie.

- Muszę zajrzeć do Betty, upewnić się, że zostanie odtransportowana do stadniny.

- Jeśli spotkasz kogoś z mojej rodziny, powiedz im, gdzie jestem, dobrze?

- Oczywiście. Miał swoje pięć minut, prawda? - powiedział cicho.

Keeley odłożyła zgrzebło i podeszła do Briana, który otworzył drzwi przegrody.

- Ty też, Donnelly.

- To prawda. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś przeżyję coś takiego.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i oparła głowę na jego ramieniu.

- Z pewnością nieraz. - Odrzuciła głowę do tyłu. - Zadbamy o to - obiecała, podając mu usta.

Mógłby się w niej zatracić. Tak łatwo było przejść od rzeczywistości do marzeń, gdy trzymało się ją w ramionach.

- Zaniedbujesz swojego konia. - Przytulił policzek do jej policzka i zamknął oczy. - Wróć do ciebie.

- Będę czekała.

Nie ruszył się jednak, stał, tuląc ją do siebie mocno, wzruszony, przepełniony uczuciem. Potem odsunął się, ujmując jej obie dłonie i podniósł je do ust.

- Nie zapomnij dać mu jabłek. Uwielbia je.

- Wiem. Brianie...

- Wróć - powiedział i wyszedł, zanim wypowiedziała słowa cisnące się jej na wargi.

- Coś się zmieniło - szepnęła Keeley. - Czuję to. - Przycisnęła do piersi dłonie, wciąż jeszcze ciepłe od rąk Briana. - Cóż to był za dzień! - Wróciła do boksu, gdzie stał Finnegan, obserwując ją cierpliwie. - On mnie kocha. Nie potrafi tylko wyrazić tego słowami, ale mnie kocha. Wiem o tym.

Wzięła znowu do ręki zgrzebło.

- Przekroczymy jeszcze jedną linię mety, zanim dzień się skończy. Muszę zrobić się na bóstwo. Będziemy jedli kolację przy świecach, napijemy się dobrego wina i...

Głos zamarł jej w krtani, gdy usłyszała, że znów otwierają się drzwi boksu. Odwróciła się, myśląc, że to wrócił Brian. Jej promienny uśmiech zgasł, gdy zobaczyła Tarmacka/^

- Myślisz, że wygrałaś los na loterii, co?

- Nie jest pan tu mile widziany.

- Ukradłaś mi tego konia Nie jesteś lepsza od konio-krada. Myślisz, że ci to ujdzie na sucho, ponieważ należysz do Grantów.

- Zapłaciłam panu tyle, ile pan żądał - powiedziała lodowatym tonem. Wyczuła whisky w jego oddechu. Fin-negan chyba również. Przez jego ciało przebiegło drzenie. Spokojnie ujęła go za uźdę. - Jeśli chce pan złożyć zażalenie, proszę wnieść je do Komisji Wyścigów.

- A więc twój ojciec ich opłacił.

Podniosła dumnie głowę.

- Niech pan uważa, co pan mówi o moim ojcu.

- Powiem to, co chcę powiedzieć. - Wszedł do boksu, oczy miał szklane od whisky. - Wszyscy jesteście oszustami. Ukradłaś mi tego konia. - Dźgnął ją palcem w ramię. - Mówiłaś, że nie może biegać.

- I nie mógł. - Nie bała się. W pobliżu są ludzie, pomyślała. Wystarczy tylko krzyknąć. Jednak Gran to wie nie wołają o pomoc z byle powodu. Poradzi sobie z tym pijanym, żalonym tchórzem, znęcającym się nad słabszymi.

- A jednak dla ciebie pobiegł. Pobiegł i zwyciężył. Wygrana należy do mnie.

Chodzi tylko o pieniądze, pomyślała. Tak jak powiedział Brian, to tylko liczby i ani odrobiny uczucia.

- Nie dostanie pan ode mnie ani grosza więcej. - Odwróciła się i zaczęła czyścić zgrzebłem wałacha. - Proponuję, żeby się pan stąd wyniósł, zanim złożę skargę.

- Nie odwracaj się do mnie plecami, ty mała dziwko!

Keeley jęknęła z bólu, gdy chwycił ją za ramię i pociągnął. Kiedy spróbowała się uwolnić, oderwał się rękaw jej bluzki przy ramieniu. Z tyłu za nią spłoszony Finnegan rżał nerwowo.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię. Uważasz się za lepszą ode mnie. - Popchnął ją na wałacha, po czym znów szarpnął do siebie. - Myślisz, że jesteś kimś lepszym, bo twój ojciec ma kupę forsy.

- Myślę - powiedziała Keeley ze zwodniczym spokojem - że powinien pan zabrać swoje łapy. - Włożyła rękę do kieszeni, zaciskając palce na hacelu do podkowy.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Finnegan potrząsnął łbem i ugryzł Tarmacka w ramię. Tarmack po raz drugi popchnął ją na masywny bok wałacha. Gdy zamachnął się znowu, Keeley krzyknęła, rzucając się do przodu i chwytając go za rękę, żeby nie uderzył w łeb Finnegana.

Pięść trafiła ją boleśnie w skroń, Keeley zobaczyła przed oczyma różową mgłę. Zachwiała się i ruszyła niepewnym krokiem, chcąc bronić siebie i swego konia. W tym momencie w drzwiach stanął Brian.

Keeley chwyciła odruchowo Finnegana za uzdę, by go uspokoić i złapać równowagę.

- Już dobrze, już dobrze.

Słyszając jednak niewątpliwe odgłosy uderzeń pięści, wybiegła przed stajnię.

- Brianie, przestań!

Twarz miał bez wyrazu. Istna maska, na której nie malowały się żadne uczucia, skóra napięta na kościach policzkowych, zimne oczy. Jedną ręką przypierał Tarmacka do ściany, trzymając go za gardło, drugą miał uniesioną do kolejnego ciosu. Z rozbitego nosa i warg Tarmacka sączyła się krew. Keeley schwyciła Briana za rękę, próbując go powstrzymać. Była gorąca, napięte mięśnie twarde jak stal.

- Dosyć! Już dobrze!

Nawet na nią nie spojrzawszy, Brian wyrwał jej się i zadał Tarmackowi cios pięścią prosto w brzuch.

- Ośmielił się ciebie dotknąć!

- Przestań! - Dysząc, Keeley uwiesiła się na nim znowu. - Nic mi nie zrobił. Puść go, Brianie. - Słyszała rżenie Tarmacka, który ledwie mógł złapać oddech, tak mocno Brian ścisnął mu tchawicę. - Nic mi nie jest.

Bardzo powoli Brian odwrócił głowę. Gdy spotkały się ich oczy, Keeley zadrżała. Spojrzenie Briana było pełne zimnej furii.

- Ośmielił się ciebie dotknąć - powtórzył, wymawiając z naciskiem każde słowo. - Odsuń się.

- Nie. - Słyszała za sobą okrzyki i kątem oka widziała, że zaczynają zbiegać się ludzie. Czuła zapach krwi. - Dosyć! Puść go!

- Nie, nie dosyć. - Próbował znów ją strząsnąć niczym natrętnego komara i Keeley niemal wyobraziła sobie, jak frunie w powietrzu.

Nie przestraszyła się Tarmacka, ale bała się teraz.

- Co się tu dzieje?

Poczuła ogromną ulgę, poznając głos ojca. Tłum rozstał się przed nim. Obrzucił jej twarz przeciągłym spojrzeniem, następnie przeniósł je na rozerwany rękaw.

- Odsuń się, Keeley - powiedział lodowatym tonem.

- Tatusiu. - Pokręciła głową, opleciona wokół ręki Briana jak bluszcz. - Powiedz Brianowi, żeby go puścił. Mnie nie posłucha.

Brian uderzył głową łapiącego z trudem powietrze Tarmacka o ścianę w odruchu bezwiednej wściekłości, natomiast głos miał zupełnie spokojny.

- Ośmielił się jej dotknąć - powtórzył po raz trzeci.

- Czy on cię dotknął?

- Tato, na miłość boską - powiedziała Keeley, zniżając głos. - On go za chwilę zabije.

- Puść go, Brianie. - Adelia oceniła sytuację jednym spojrzeniem. Dotknęła delikatnie ramienia Briana. - Dałeś mu już nauczkę. Teraz napędziłeś strachu Keeley.

- Ma podartą bluzkę! Widzisz, że ma podartą bluzkę? - Nadal mówił powoli, jak gdyby używał obcego języka. - Zabierz ją stąd.

- Zabiorę, zabiorę, ale teraz pozwól odejść temu żalonnemu człowiekowi. Nie jest tego wart.

Być może to jej głos, z akcentem typowym dla jego ojczystego kraju, dotarł do rozgorączkowanego Briana. Zwolnił nieco chwyt i Tarmack wciągnął ze świstem powietrze.

- Zaskoczył ją w boksie, uwięziłam i podniósł na nią rękę.

Adelia skinęła głową, rzucając szybkie spojrzenie na męża. Bardzo dawno temu stłukł na kwaśne jabłko pijaka, który na nią nastawał. Rozumiała hamowaną z trudem wściekłość w oczach Briana.

- Nic się jej nie stało. Zadbalesz o to.

- Jeszcze nie skończyłem. - Powiedział to tak spokojnie, że Adelia tylko zmrużyła oczy, gdy jego pięść wylądowała znów na brzuchu Tarmacka. Mężczyzna osunął się na kolana.

- Przestań! - Nie widząc innego sposobu, Keeley wkroczyła między obu mężczyzn i spróbowała odepchnąć Briana obiema rękami. Nie ruszyła go nawet o centymetr, ale jej gest odniósł skutek. - Wystarczy. Rozerwał mi tylko bluzkę. Jest pijany i popełnił głupstwo. Dostyc już, Brianie.

- Mylisz się. Nigdy nie będzie dość. Masz delikatną skórę, Keeley, a on ją naznaczył. Nigdy nie będzie dość.

Tarmack krztusił się i pluł zgięty wpool. Travis poderwał go na nogi.

- Proponuję, żebyś przeprosił moją córkę i wyniósł się stąd jak najszybciej, w przeciwnym razie pozwolę temu chłopcu jeszcze raz dać ci nauczkę.

Obolały Tarmack, czując w ustach smak własnej krwi, doznał jeszcze większego upokorzenia, gdy zobaczył przed sobą zamazane twarze gapiów.

- Idźcie do diabła. Ty i cała reszta. Zaskarżę was do sądu.

- Proszę bardzo - uśmiechnął się złowieszczo Travis. - Jesteś pijany i głupi, tak jak powiedziała moja córka. I podniosłeś na nią rękę.

- On na nią wrzeszczał, panie Grant - powiedział Lar-

ry, przepchnąwszy się przez tłum. - Słyszałem, jak jej groził, gdy szedłem zajrzeć do konia.

Travis przytrzymał Briana, który znów chciał się rzucić na Tarmacka. Czuł pod dłonią jego naprężone mięśnie.

- Zaczekaj - powiedział spokojnie i odwrócił się z powrotem do Tarmacka. - Trzymaj się z dala od wszystkiego co moje, Tarmack. Spróbuj tylko jeszcze raz dotknąć mojej córki, a to, co może zrobić ci Brian, będzie niczym w porównaniu z tym, co ja ci zrobię!

Podbudowany przypuszczeniem, że Brian jest teraz trzymany w ryzach, Tarmack otarł krew z twarzy grzbietem dłoni.

- I co z tego, że jej dotknąłem? Chciałem tylko zwrócić jej uwagę. Nie jest taka strasznie wymagająca co do tego, kto jej dotyka. Nie miała nic przeciwko temu, kiedy ten szmatławiec ją obmacywał.

Brian skoczył do przodu, ale Travis stał bliżej i zareagował równie szybko. Jego pięść tylko mignęła w powietrzu i wylądowała z trzaskiem na szczęce Tarmacka.

- Dee, zabierz Keeley do domu. - Travis powiódł spojrzeniem po gapiach. - Czy ktoś może wezwać ochronę?

- Nie powinniśmy były ich tam zostawiać. - Keeley przemierzała kuchnię w tę i z powrotem, wyglądając co chwila przez okno. - Czemu jeszcze ich nie ma?

- Kochanie, ty cała drzysz. Chodź tu, usiądź i napij się herbaty.

- Nie mogę. Co wstępuje w mężczyzn? Przecież starli-by tego idiotę na miazgę. Nie dziwię się raczej Brianowi, ale spodziewałabym się większej samokontroli po tacie.

Adelia obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

- Dlaczego?

- Zawsze jest taki opanowany. Ciebie widziałam kilka razy w akcji... - Skrzywiła się. - Bez urazy - dodała, po czym zobaczyła, że matka się uśmiecha.

- O urazie nie ma mowy. Mam charakter, powiedzmy, trochę barwniejszy niż twój ojciec. On zachowuje spokój i rozwagę, kiedy sytuacja tego wymaga. I zachował. Jakiś drań wyrządził krzywdę jego ukochanej córeczce i ją przstraszył.

- Jego ukochana córeczka omal nie wypatroszyła tego drania stalowym hacelem. - Keeley zaczerpnęła powietrza. - Nigdy przedtem nie widziałam żeby tatuś kogokolwiek uderzył albo nawet sprawiał wrażenie, że chce to zrobić.

- Nie używa pięści zbyt często, ponieważ nie musi. Z pewnością będzie z tego powodu bardzo przygnębiony. - Adelia zawahała się, po czym wskazała córce krzesło. - Usiądź na chwilę. Wiele lat temu - powiedziała - wkrótce potem, gdy zaczęłam tu pracować, robiłam coś wieczorem w stajni. Jeden ze stajennych był pijany. Przewrócił mnie na ziemię w boksie. Nie mogłam sobie z nim poradzić.

- Och, mamó.

- Zaczął drzeć na mnie ubranie, gdy wszedł twój ojciec. Myślałam, że go zabije. Nawet się nie zdenerwował, po prostu okładał go systematycznie pięściami, z zimną wściekłością, która była bardziej przerażająca od wybuchu gniewu. To właśnie zobaczyłam dzisiaj na twarzy Briana. - Delikatnie dotknęła ledwie widocznego siniaka na skroni Keeley. - Nie mogę go za to winić.

- Nie winię go. - Ujęła mocno dłonie matki. - Dzisiaj to było co innego. Tarmack wściekał się z powodu konia, chciał mnie przestraszyć.

- Groźby to groźby. Gdybym przyszła tam pierwsza, prawdopodobnie sama bym nie wytrzymała. Nie przejmuj się tak, kochanie.

- Staram się. - Wzięła herbatę i odstawiła ją z powrotem. - Mamo, to co Tarmack powiedział o Brianie, o obmacywaniu... To nie tak. Między nami nie o to chodzi.

- Wiem. Jesteś w nim zakochana.

- Tak. - Potwierdziła to z prawdziwą przyjemnością. - On też mnie kocha. Po prostu nie dojrzał jeszcze, by się do tego przyznać. Teraz martwię się, że tata... Atmosfera jest pełna napięcia i jeśli źle zrozumiał słowa tego drania... - Znowu wstała od stoki. - Czemu jeszcze ich nie ma?

Chodziła niespokojnie jeszcze przez dziesięć minut, po czym wzięła aspirynę, ponieważ czuła ucisk w skroniach. Wypiła filiżankę herbaty, próbując sobie wmówić, że jest całkiem spokojna.

Zerwała się gwałtownie, słysząc szuranie opon po zwi-rze. Dopadła do drzwi w samą porę, by zobaczyć przejeżdżającą ciężarówkę Briana i ojca parkującego samochód za domem.

- Ominęła mnie cała awantura. - Brandon powiedział to na pozór lekkim tonem, ale w jego oczach Keeley zauważyła ten sam niebezpieczny błysk co w oczach ojca. - Dobrze się czujesz?

- Dobrze. - Poklepała go po ramieniu, spojrzenie miała jednak zwrócone na ojca. Nie wyczytała nic z jego

twarży, gdy wysiadał z ciężarówki. - Całkiem dobrze - powtórzyła, idąc w jego kierunku.

- Wejdźmy do domu.

Opanowany, pomyślała znowu. Robiło to duże wrażenie i było nawet deprymujące, że potrafił do tego stopnia okiełznać gniew i furję.

- Zaraz przyjdę. Muszę zobaczyć się z Brianem. - Popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem, prosząc o zrozumienie. - Muszę z nim porozmawiać. Zaraz wrócę.

Uścisnęła lekko ramię ojca i pobiegła.

- Pozwól jej tam pójść, Travis - powiedziała stojąca w progu Adelia. - Musi się z tym uporać.

Spod zmrużonych powiek patrzył, jak jego córka biegnie do innego mężczyzny.

Keeley dogoniła Briana, zanim zdążył wejść na schody swego domu. Zawołała go, przyśpieszając kroku.

- Zaczekaj. Tak bardzo się martwiłam. - Chciała rzucić mu się w ramiona, on jednak się cofnął. - Co się stało?

- Nic. Twój ojciec wszystko załatwił. Facet nigdy już nie zakłóci twojego spokoju.

- Nie o to się martwię - odparła krótko. - Nic ci się nie stało? Zaczynałam już myśleć, że znalazłeś się w tarapatkach. Powinnam była zostać i wyjaśnić całą sytuację. Wszystko tak się pogmatwało.

- Nie znalazłem się w żadnych tarapatkach i nie ma czym się przejmować.

- To dobrze. Brianie, chciałam powiedzieć, że ja... O, Boże! Twoje ręce! - Chwyliła je, łzy napłynęły jej do oczu, gdy zobaczyła poranione kostki. - Tak mi przykro. Twoje biedne ręce. Chodźmy do domu, opatrzę je.

- Sam się tym zajmę.
- Trzeba oczyścić rany i...
- Nie chcę, żebyś ty to robiła.

Wyrwał jej ręce i zaklął, gdy zobaczył, jak Keeley blednie, a z jej oczu spływa pierwsza łza.

- Do diabła, przestań płakać.
- Czemu napadasz na mnie w taki sposób?

Poczuł się ogromnie nieszczęśliwy i pełen poczucia winy.

- Mam sporo rzeczy do zrobienia. - Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach. Do wyrzutów sumienia dołączyła się wściekłość. - Nie chciałaś, żebym stanął w twojej obronie!

- O czym ty mówisz?

- Jestem dość dobry, by kochać się z tobą albo pomagać przy koniach. Ale nie wolno mi stanąć w twojej obronie.

- To nonsens. - Teraz łzy popłynęły jej strumieniem. Była to reakcja na wydarzenia ostatnich kilku godzin. - Czy miałam stać spokojnie i przyglądać się, jak zatłuczesz go na śmierć?

- Tak - odparł gniewnie, chwytając ją za ramiona. - To była moja sprawa. Odebrałaś mi prawo do jej załatwienia i w rezultacie pozwoliłaś, żeby ojciec wszystkim się zajął. A powinienem był załatwić to ja sam, nawet jeśli jestem szmatławcem.

- Co tu się dzieje? - Po raz drugi tego dnia Travis, a wraz z nim Adelia, trafił na ostrą wymianę zdań i krzyki. I tym razem zobaczył zalaną łzami twarz córki. Przeniósł zagniewane spojrzenie na Briana. - Co tu się, u diabła, dzieje?

- Nie mam pojęcia. - Keeley otarta łzy, gdy Brian ją puścił. - Ten idiota, zdaje się, myśli, że podzielam opinie Tarmacka o nim, ponieważ nie wycofałam się i nie pozwoliłam, żeby go zatłukł na śmierć. Najwyraźniej uraziłam jego dumę, sprzeciwiając się temu. - Spojrzała ze znużeniem na matkę. - Jestem zmęczona.

- Idź do domu - polecił Travis. - Chcę porozmawiać z Brianem.

- Przestań traktować mnie znów jak dziecko. To moja sprawa. Moja i...

- Nie mów tym tonem do swojego ojca! - Ostra uwaga Briana wywołała różne reakcje. Keeley wytrzeszczyła na niego oczy, Travis zmarszczył w zamyśleniu brwi, a Adelia uśmiechnęła się szeroko.

- Przepraszam, ale mam dość przerywania mi, wydawania poleceń i karcenia mnie jak krnąbrnego ośmioletniego dziecka.

- To nie zachowuj się jak dziecko - powiedział Brian. - Moja rodzina nie jest może wytworna, ale nauczono nas szacunku.

- Nie rozumiem, co...

- Cicho bądź!

Keeley zaniemówiła ze zdumienia.

- Przepraszam za wywołanie kolejnej awantury - powiedział Brian do Travisa. - Nie odzyskałem jeszcze całkiem panowania nad sobą. Nie podziękowałem ci jeszcze za wyjaśnienie całej sprawy ochroniarzom.

- Na miejscu było dość ludzi, którzy widzieli, co się stało. Nie byłoby żadnych kłopotów. Przynajmniej ty byś ich nie miał.

- Przed chwilą byłeś zły, że ojciec załatwił całą sprawę. Brian nie raczył nawet spojrzeć na Keeley.
- Ogólnie biorąc, jestem zły.
- Ach, tak, doskonale. - Ponieważ ten dzień był wyraźnie burzliwy, Keeley poddała się temu nastrojowi. - Czyli jesteś po prostu w złym okresie. Ten głupek uroił sobie, że ja uważam go za niegodnego, by bronił mnie przed pijanym tchórzem, znęcającym się nad słabszymi. Dobra, mam dla ciebie nowinę, ty twardogłowy irlandzki dupku.

Zacisnęła pięść i uderzyła kilkakrotnie w pierś mężczyzny.

- Świetnie się broniłam sama.
- Ty półirlandzki uparty ptasi mózdzku, on jest przeszło dwa razy większy od ciebie.
- Jakoś sobie radziłam, ale doceniam twoją pomoc.
- Guzik prawda! To tak jak z innymi sprawami. Musisz wszystko robić sama. Nikt nie jest taki bystry jak ty, taki zdolny, taki sprytny. Miło jest gwizdnąć na mnie, jeśli potrzebujesz odmiany.

- Tak właśnie myślisz? - Była tak wściekła, że głos jej się załamywał. - Że kochałam się z tobą dla rozrywki? Ty podły, niegodziwy, obrzydliwy draniu!

Omam nie rzuciła się na niego z pięściami, ale Travis wkroczył między nich, chwytając Briana za koszulę.

- Powiniennem rozedrzeć cię na strzępy - powiedział spokojnym, rzeczowym tonem.
- Och, Travisie. - Adelia przycisnęła powieki palcami.
- Tato, nie waż się. - Nie wiedząc, co począć, Keeley zamachała rękami. - Mam pomysł. Może pobijemy się dziś wszyscy do nieprzytomności i skończymy z tym?

- Masz prawo - rzekł Brian, patrząc Travisowi prosto w oczy i stojąc z opuszczonymi rękami.

- Akurat! Jestem dorosłą kobietą. Dorosłą kobietą - powtórzyła Keeley, uderzając lekko pięścią w ramię ojca. - To ja mu się narzucałam.

Poczuła jakąś przewrotną satysfakcję, gdy ojciec przeniósł na nią lodowate spojrzenie.

- To prawda. Ja mu się narzucałam, ja go pragnęłam, ja do niego przyszłam i go uwiodłam. I co teraz?

- Nieważne, jak do tego doszło. Ja mam doświadczenie, a ona nie. Nie miałem prawa jej tknąć, zdaję sobie z tego sprawę. Na twoim miejscu spuściłbym mi potężne lanie.

- Nie ma mowy o żadnym laniu. - Adelia podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu męża. - Kochanie, czy ty jesteś ślepy? Nie widzisz, co się dzieje? Daj spokój chłopcu. Wiesz doskonale, że będzie tu stał i pozwoli ci, żebyś okładał go pięściami, a tobie nie da to najmniejszej satysfakcji.

Nie, Travis nie był ślepy. Zrozumiał, że jego mała córeczka stała się kobietą innego mężczyzny. Mężczyzny, który wyraźnie czuł się równie nieszczęśliwy i zakłopotany całą sprawą jak on.

- Co zamierzasz?

- Mogę wyjechać w ciągu godziny.

Rozbawienie miało gorzko-słodki smak.

- Doprawdy?

- Tak. - Po raz pierwszy Brian uświadomił sobie, że nigdy nie spakuje do swej torby podróźnej wszystkiego, czego potrzebuje, czego pragnie. - Rewers doskonale sobie poradzi, zanim znajdziesz nowego trenera.

Dumny irlandzki uparciuch, pomyślał Travis, a głośno powiedział:

- Zawiadomię cię, kiedy zostaniesz zwolniony, Donnelly. Dee, czy mamy jeszcze tamtą śrutówkę w domu?

- Och, jasne - odrzekła bez chwili namysłu. Chyba nigdy nie była bardziej dumna z mężczyzny, którego poślubiła, i nie czuła do niego większej miłości. - Myślę, że potrafiłabym jej użyć.

Tak, rozbawienie ma gorzko-słodki smak, pomyślał Travis, patrząc, jak Brian staje się błydy jak ściana.

- Dobrze wiedzieć. Zawsze mnie cieszy, że moje dzieci umieją rozpoznać i docenić dobrą jakość. - Puścił Briana i powiedział do Keeley: - Porozmawiamy później.

Łzy zebrały się znów pod jej powiekami, gdy patrzyła za odchodzącymi rodzicami, widziała, jak ojciec bierze matkę za rękę, potwierdzając więź, która zawsze między nimi istniała.

- Walczyłam o wiele rzeczy - powiedziała cicho. - Pracowałam na wiele rzeczy, pragnęłam wielu rzeczy. Zawsze krył się za tym jakiś cel. - Odwróciła się, gdy Brian podszedł niepewnie do schodków i usiadł na nich. - On cię nie zastrzeli, Brianie, jeśli postanowisz, że nadal musisz uciekać.

- Myślę, że wszyscy trochę się pogubiliśmy. To był bardzo emocjonujący dzień.

- Rzeczywiście.

- Wiem, kim jestem, Keeley. Drugim synem w rodzinie, należącej nawet nie do średniej klasy, wywodzącej się z niedawnej biedoty. Mój ojciec trochę za bardzo lubił alkohol i konie, matka zawsze padała na nos ze zmęczenia.

Wiem, kim jestem. Cholernie dobrym trenerem koni wyścigowych. Nigdy nie pracowałem w jednym miejscu dłużej niż trzy lata. - Podniósł głowę. W jego spojrzeniu malowało się znużenie i zarazem nieufność.

- Porozmawiajmy o ptasich mózdkach. - Keeley westchnęła i podeszła do Briana. - Wiem, kim jestem - najstarszą córką wspaniałych rodziców. Miałam ten przywilej, że chowałam się w domu pełnym miłości.

Gdy się nie odezwał, podniosła rękę i pogłaskała jego zwichrzone włosy.

- Wiem, kim jestem. Jestem dobrą nauczycielką konnej jazdy i zapuściłam tutaj korzenie. Potrafię zrobić wiele rzeczy, ale zrozumiałam, że nie chcę tego robić sama. Pragnę cię zatrzymać, Brianie - powiedziała cicho, ujmując w dłonie jego twarz. - Próbowałam cię usidlić od chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że cię kocham.

Chwycił ją za nadgarstki, ścisnął je mocno, zanim wstał.

- Mieszasz różne sprawy. Mówiłem ci, że seks skomplikuje sytuację.

- Owszem, mówiłeś. Ponieważ jesteś jedynym mężczyzną, z którym byłam, skąd miałabym znać różnicę między seksem a miłością? Nie liczy się, że jestem inteligentną i świadomą swoich pragnień kobietą. Wiem, że jesteś tym pierwszym i jedynym, ponieważ tylko ciebie kocham. Brianie...

Podeszła bliżej. W jej oczach pojawił się błysk rozbawienia, gdy się odsunął.

- Zdecydowałam się. Wiesz, jaka jestem uparta.
- Trenuję konie twojego ojca.

- I co z tego? Moja matka była stajennym.

- To zupełnie co innego.

- Czemu? Och, dlatego że jest kobietą. Jestem idiotką, że nie rozumiem, iż nie możemy się kochać, budować wspólnego życia. Gdybyś to ty był właścicielem Royal Meadows, a ja pracowałabym u ciebie, wszystko byłoby w porządku.

- Przestań ze mnie szydzić.

- Nie mogę. - Rozłożyła ręce. - Jesteś śmieszny, ale i tak cię kocham. Naprawdę starałam się podejść do tej sprawy rozsądnie. Lubię mieć wszystko zaplanowane, cel wytyczony. Ale... - wzruszyła z uśmiechem ramionami - ...z tobą mi to nie wyszło. Patrzę na ciebie i serce podpowiada mi, żebym nie rezygnowała. Tak bardzo cię kocham, Brianie. Nie możesz mi tego powiedzieć? Nie możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć?

Musnął palcami siniak wysoko na jej skroni. Pragnął się nią opiekować.

- Gdybym to zrobił, nie byłoby już odwrotu.

- Tchórz. - Dostrzegła płomienny błysk w jego oczach i pomyślała, że miło jest tak dobrze go znać.

- Nie przyprzesz mnie do muru.

- Zobaczymy. - Napierała na niego, zmuszając do cofania się po schodach. - Przemyślałam dzisiaj wiele spraw, Brianie. Boisz się mnie, boisz się tego, co do mnie czujesz. To ty zawsze robiłeś uniki, gdy byliśmy wśród ludzi, odsuwałeś się, kiedy wyciągałam do ciebie rękę. Sprawiałeś mi tym wielką przykrość.

Jej słowa wyraźnie go zbulwersowały.

- Nigdy nie zrobiłem tego umyślnie.

- Wiem. Nie mogłam nic poradzić na to, że się w tobie zakochałam. Twardogłowy o miękkim sercu. Nie zdołałam ci się oprzeć.

- Nie jestem ani snobem, ani tchórzem.

- Obejmij mnie. Pocałuj. Powiedz.

- Do diabła! - Chwycił ją za ramiona i trzymał tak, nie mogąc się zdecydować, by ją odepchnąć lub przytulić. - To stało się, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, dosłownie w pierwszej sekundzie. Weszłaś do sali, a we mnie serce zamarło. Jak gdyby piorun we mnie strzelił.

- Czemu mi nie powiedziałaś? Dlaczego kazałaś mi czekać?

- Myślałem, że mi przejdzie.

- Przejdzie? - Uniosła brwi. - Jak ból głowy?

- Może. - Odsunął ją i odszedł kilka kroków, by popatrzeć na wzgórze.

Keeley zamknęła oczy i pozwoliła, by wiatr rozwiewał jej włosy, chłodził policzki. Gdy całkiem się uspokoiła, otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Czasami ból głowy bywa bardzo uporczywy.

- Nie musisz mi tego mówić. Nigdy nie chciałem mieć niczego na własność - powiedział, wciąż odwrócony do niej plecami. - To kwestia zasad. Kiedy mężczyzna postanawia gdzieś osiaść na stałe, sytuacja się zmienia.

Sytuacja się zmienia, powtórzył w myśli. Może Keeley ma rację, że przez całe życie uciekał? Ale czy nie trafił w końcu tam, gdzie było mu przeznaczone?

Wierzył w przeznaczenie.

- Mam odłożone pieniądze. Nawet sporo, ponieważ nigdy dużo nie wydawałem. Wystarczy na zbudowanie

domu albo przynajmniej na rozpoczęcie budowy. Chciała-
byś pewnie, żeby to było gdzieś blisko - z powodu szkoły,
rodziny.

Musiła znowu zamknąć oczy. Łzy tylko by go zdener-
wowały.

- Zwykle cenię sobie takie szczegóły, ale w tej chwili
nie są one najważniejsze. Czy powiesz mi wreszcie, Bri-
anie? Tak bardzo potrzebuję usłyszeć, że mnie kochasz.

- Zbieram się w sobie. - Odwrócił się do niej. - Nigdy
nie przypuszczałem, że zechcę założyć rodzinę. Pragnę
mieć z tobą dzieci, Keeley. Proszę, nie płacz.

- Staram się. Prędkiej.

- Nie popędzaj mnie w takiej sprawie. - Podszedł do
niej. - Nie chcę mieć własnych koni, ale mogę uczynić
wyjątek dla tego jednego, którego mi -dziś podarowałaś.
Będzie czymś w rodzaju symbolu. Nie wierzyłem w niego,
nie przypuszczałem, że pobiegnie po zwycięstwo. Nie
wierzyłem też w ciebie. Daj mi rękę.

- Powiedz mi. - Wyciągnęła rękę i uściśnięła mocno
jego dłoń.

- Nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie. Bę-
dziesz pierwsza i ostatnia. Kocham cię od pierwszego wej-
rzenia, i to coraz mocniej, miłość do ciebie jest czymś
żywym, co zamieszkało we mnie na stałe.

- To wszystko, co chciałam usłyszeć. - Przytuliła jego
dłoń do policzka. - Ożeń się ze mną, Brianie.

- Do jasnej cholery! Czy pozwolisz mi, żebym popro-
sił cię o rękę?

Przygryzła wargę, powstrzymując śmiech przez łzy.

- Przepraszam.

Śmiejąc się, porwał ją na ręce.

- Do licha, niech będzie. Jasne, że się z tobą ożenię.

- Natychmiast.

- Natychmiast. - Musnął wargami jej skroń. - Kocham cię, Keeley, i skoro masz taki ptasi mózdzek, by poślubić twarogłowego irlandzkiego dupka, pójdę teraz na górę i poproszę Trvisa o twoją rękę.

- Poprosisz mojego ojca... Brianie, naprawdę!

- Zrobię to w stosowny sposób. Może jednak zabiorę cię ze sobą na wypadek, gdyby znalazł tę śrutówkę.

Roześmiała się i potarła policzkiem o jego policzek.

- Obronię cię.

Postawił ją na ziemi i ruszyli oboje w stronę domu, mijając jesienne kwiaty o jaskrawych barwach, białe płoty i pola, na których konie biegały za swoimi cieniami.

Ujęli się mocno za ręce. Mieli wszystko.